

1. 985. 319 dm.

ARTHUR KOESTLER

CIEMNOŚĆ
W POŁUDNIU

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1983

ARTHUR KOESTLER

CIEMNOŚĆ

CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE

TOM 373

Przekład TYMON TERLECKI

ISBN 5-2168-0033-5

IMPRIMERIE EN FRANCE
Éditions: INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poligny, La Madeleine-Bois
par 78000 MAISON-LAFFITTE

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 377

ISBN 2-7168-0033-2

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

ARTHUR KOESTLER

CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE

Przełożył TYMON TERLECKI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1983

ARTHUR KOESTLER

CIEMNOŚĆ

Tytuł oryginalny:

„DARKNESS AT NOON”



11 1.985.319
Ⓐ chw.

© COPYRIGHT POUR LA LANGUE POLONAISE
BY INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., PARIS 1983

1983 W 550/1

PRZEDMOWA

Ci, którzy przeżyli te straszliwe lata wspominają je z dreszczem przerażenia; ich dzieci spoglądają na ten okres z mieszanymi uczuciami oburzenia i zakłopotania, nie mogąc zrozumieć, jak takie rzeczy mogły dzieć się w ich kraju; ich wnuki wreszcie patrzą na to wszystko jak na rodzaj koszmarnej bajki, która nie ma nic wspólnego z ich własnym życiem. Rubaszowowie i Iwanowowie zostali dawno już pościernie zrehabilitowani; Gletkinowie postarzeliz się, pobierają „renty dla zasłużonych”, uprawiają truskawki w ogródkach swoich podmoskiewskich dacz i wzdychają za przeszłością. Ich następcami w pomieszczeniach i biurach Łubianki są ubrani w drogie, zagraniczne ubrania, cyniczni, młodzi karierowicze, bezbarwni i nijacy; żeby nie wiem jak chcieli, nigdy nie zdołają dorównać w dyskusji Iwanowowi. Ale i tak argumenty Iwanowa nie wywarłyby żadnego wrażenia na dzisiejszych więźniach. Nie znajdzie się już dziś żadnego przekonanego marksisty w celach Lefortowa; ba, nie znajdzie się takiego wśród 16 milionów członków Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Dyktatura i terror partyjnej biurokracji zadowolają się uległością i biernym posłuszeństwem, zastępując całkowicie dyktaturę i terror o charakterze ideologicznym. Lecz aby zrozumieć, jak do tego doszło, aby zrozumieć logiczną nieuniknionosć tej zmiany musimy ciągle i ciągle powracać do lat trzydziestych, do wydarzeń opisanych w tej książce.

Książka Artura Koestlera jest uderzająco współczesna i aktualna. Trudno uwierzyć, że została napisana prawie czterdzieści lat temu; jest oczywiste, że na zawsze pozostanie lekturą zakazaną w państwach komunistycznych.

Zachowanie ofiar moskiewskich procesów pokazowych z lat trzydziestych dotychczas stanowi psychologiczną zagadkę, która będzie pobudzać ciekawosć coraz do nowych historyków. Jakże mogło się stać, że „niezłomni rewolucjoniści”, którzy w przeszłości wytrzymywali ciężkie roboty i tortury, nagle przyznawali

się publicznie do absurdalnych rzekomych przewinień i kajali się, pokornie błagając o listosć, bez widocznego wstydu i zahamowań? Sławni przywódcy rewolucji, którzy poświęcili jej całe swe życie, raptem okazywali się „zaprzedanymi wrogom spis-kowcami”. Dlaczego przynajmniej nie wyszli na spotkanie śmierci z należytą godnością? Przecież żadna siła nie byłaby w stanie zmusić ich do milczenia na sali sądowej. A jednak znane są tylko dwa albo trzy przypadki ofiar, które próbowały zadać kłam oskarżeniom, a i to bez należytej energii.

Naturalnie byłoby naiwnością podpisanie się pod twierdzeniem Gletkina i większości marksistów na Zachodzie, jakoby wszystko to było kwestią „konstytucji fizycznej”. Tortury łamią ludzi, którzy chcą żyć, lecz nie tych, którzy gotowi są umrzeć w każdej chwili za sprawę, której zawierzyli i służą. Jest to niezmiernie istotny problem, ważny nie tylko dla psychologów. Mroczne lata trzydzieste stanowią dla współczesnych marksistów rodzaj przełomowego progu myślowego, ponieważ do owego okresu wszystko wydawało się układać zgodnie z teoretycznymi założeniami i dopiero od tej chwili zaczęły dziać się rzeczy sprzeczne z marksistowską teorią. Marksisiści utrzymują, że wszystkiemu winien był Stalin, który rzekomo zmusił państwo i partię do dokonania *volte face*. Jak to się stało, że zły Stalin sam jeden pociągnął za sobą dobrą partię? Jak mogło dojść do tego, że cała partia, z aresztowanymi przywódcami włącznie, czynnie dopomagała mu w jego dziele? I od jakiego to dokładnie momentu zaczęło „dziać się źle w państwie sowieckim”?

Koestler ukazuje z nieubłaganą logiką nierozzerwalną więź pomiędzy marksistowską teorią i praktyką w latach trzydziestych. Każdy, kto stawia dobro społeczne i zbiorowość ponad dobro jednostki, kto uważa, że jednostka winna być poświęcona w imię zbiorowego celu i kto poświęcił już wiele jednostek w imię tego celu musi uznać fakt, że i on też może być traktowany w ten sam sposób. Ktokolwiek poświęcił swoje JA na rzecz MY, musi stale i odważnie walczyć z wrogiem, lecz jeśli niespodziewanie znajdzie się w pozycji, kiedy to on sam jest wrogiem owego MY, natychmiast traci całą swoją siłę i staje się słabym JA. Jedyną rzeczą jakiej teraz pragnie jest stać się ponownie częścią MY i jeśli oznacza to, że musi publicznie wyrzec się swoich przekonań i przyznać rację absurdalnym oskarżeniom, uczyni to. Jeżeli honor zastąpi się pojęciem praktycznej celowości, jakież pozostaną hamulce?

Najwyższa idea ogólnej szczęśliwości i idealnego społeczeństwa usprawiedliwia wszelkie środki prowadzące do jej realizacji. Im trudniej osiągnąć ten cel, tym większa jest ilość koniecznych ofiar, jakie należy poczynić i tym straszliwsze są uzasadnione po temu środki. Trudno uświadomić sobie w pełni tę prostą prawdę w jej abstrakcyjnej formie, gdyż każdy myśli, że „ależ skąd, nigdy nie będę usprawiedliwiał złych środków pro-

wadzących do dobrego celu". Ale wyobraźmy sobie siebie w sytuacji, w której musimy zdecydować o tym, czy umrze stu czy też tysiąc ludzi. A co zrobimy, kiedy prowadząc samochód znajdziemy się w sytuacji, w której musimy przejechać jedną albo dwie osoby? Wybór wydaje się oczywisty. I tak niepostrzeżenie zaczynamy stosować „prawa działań arytmetycznych wobec istnień ludzkich”.

Lecz marksiści mówią nam, że przecież wszyscy stajemy ciągle wobec podobnego rodzaju sytuacji. Przez setki lat wyzysk redukował proletariąt do poziomu zwierzęcej egzystencji. Któż zaprzęta sobie głowę liczeniem pozbawionych życia zwierząt? A wojny, które — jak wiadomo — są wytworem kapitalizmu i powodują marnowanie istnień milionów istot ludzkich? Cała historia jest jednym ogromnym łańcuchem cierpień. Czyż nie możemy więc usprawiedliwić unicestwienia wyzyskiwaczy i imperialistów, mającego na celu uwolnienie ludzkości raz na zawsze od tego cierpienia?

Pomyślne przeprowadzenie tego niewiarygodnie trudnego zadania wymaga jednak, aby indywidualne JA podporządkowało się ogólnemu MY podobnie myślących. Zło i okrucieństwo wrogów klasowych może zostać pokonane przez ludzi, którzy sami są jeszcze bardziej źli i okrutni. Ich zwycięstwo będzie stanowić ich usprawiedliwienie.

Nic więc dziwnego, że oskarżeni w moskiewskich procesach pokazowych nie byli naiwnymi ofiarami lecz kryminalnymi przestępcami i niepoprawnymi kłamcami. Jeśli w atmosferze, w jakiej żyli, każdy pogląd który nie wyrażał właściwej postawy klasowej uważany był za działalność kontrrewolucyjną, a każdy pogląd niekomunistyczny *eo ipso* nie wyrażał właściwej postawy klasowej, trzeba było przyznać, że odchylenie od linii partii stanowiło zbrodnię. Wczorajsi kaci stawali się jutrzejszymi ofiarami, a cały kraj zmuszany był do współnictwa w zbrodni poprzez publiczne jej pochwalanie.

Marsz ku latom trzydziestym był systematyczny i planowy. Lata te stanowiły nieubłaganą, logiczną konsekwencję wynikającą z samej ideologii. Wina Rubaszowa została udowodniona za pomocą jego własnych teoretycznych formuł. Ta piekielna karuzela wyrosła z teorii wymyślonych przez „brodatych filozofów”.

Nigdzie nie widać tego jaśniej niż u Lenina. Państwo, powiada, to zawsze przemoc. Reprezentuje ono hegemonię jednej klasy nad drugą. A zatem użycie przemocy w interesie proletariatu jest usprawiedliwione i konieczne. I oto mamy usprawiedliwienie terroru.

Literatura i sztuka mają zawsze zabarwienie klasowe, powiada, zawsze stanowią oręż klasy panującej i panującej kultury, dlatego będziemy bezpośrednio kontynuować tradycje kulturalne w naszym robotniczym państwie poprzez dopuszczenie do głosu

tylko i wyłącznie sztuki proletariackiej. I oto mamy usprawiedliwienie cenzury.

Prywatna własność to to, co zostało skradzione robotnikom, a więc kradnij, co zostało skradzione! I wreszcie, według rozumowania Lenina, dlaczego nie usprawiedliwić morderstwa? Przecież w końcu człowiek jest istotą śmiertelną, dlaczego nie zabić go teraz? I tak musi kiedyś umrzeć.

Przypomnijmy sobie tylko reakcję Lenina na wybuchłe 10 lutego 1922 roku powstanie w Szui, kiedy to posłał do Politbiura następującą notatkę-instrukcję (czyż nie jest to scenariusz późniejszych procesów?):

„Niezależnie od jakichkolwiek okoliczności jest dla nas sprawą najwyższej wagi wejść w posiadanie cerkiewnych kosztowności przy użyciu najbardziej zdecydowanych i szybkich środków; czyniąc to, możemy zdobyć dla siebie zapas kilkuset milionów rubli w złocie. (Musimy pamiętać o niezmiernych bogactwach niektórych klasztorów i ławr). Bez tych zapasów trudno myśleć o jakiegokolwiek pracy państwowej w ogóle, a w szczególności o odbudowie gospodarki.

Teraz, i tylko teraz, kiedy zdarzają się przypadki ludożerstwa w miejscach dotkniętych głodem, a setki, jeśli nie tysiące ciał leżą na drogach, możemy (i dlatego musimy) przeprowadzić konfiskatę kosztowności cerkiewnych z największą i najbezwzględniejszą energią, nie licząc się z jakimikolwiek formami oporu.

Musimy posłać do Szui jednego z najbardziej energicznych, inteligentnych i sprawnych członków KC, lub jakiegoś innego przedstawiciela władz centralnych (lepiej jedną osobę niż kilka) i wyposażyć go w ustne instrukcje od jednego z członków Politbiura. Instrukcje te muszą wskazywać, że im więcej członków miejscowego kleru, drobnomieszczaństwa i burżuazji aresztuje on na podstawie zarzutu o bezpośredni lub pośredni udział w gwałtownym oporze wobec dekretu KC o konfiskacie kosztowności cerkiewnych, tym lepiej. Jak tylko zakończy on swoje zadanie, musi powrócić do Moskwy i osobiście zdać raport całemu Politbiuru lub dwom towarzyszom upoważnionym do tego przez Politbiuro. Na podstawie raportu Politbiuro wyda szczegółową instrukcję (również ustną) władzom sądowniczym, oznajmiając, że postępowanie przeciwko tym mieszkańcom Szui, którzy buntują się i przeszkadzają w niesieniu pomocy głodującym, powinno być prowadzone z maksymalną szybkością i zakończone rozstrzelaniem dużej ilości najbardziej wpływowych i niebezpiecznych członków Czarnej Sotni w Szui; a gdzie tylko będzie to możliwe, podobne sytuacje w Moskwie i innych ośrodkach cerkiewnych powinny być traktowane w taki sam sposób.

Im większą ilość członków reakcyjnej burżuazji i reakcyjnego kleru uda nam się rozstrzelać pod tym pretekstem, tym lepiej.

Musimy dopilnować wyznaczenia najlepszych i odpowiedzialnych funkcjonariuszy do przeprowadzenia takich akcji w najbogatszych ławrach, klasztorach i cerkwiach”.

Jest rzeczą ciekawą, że po wielu latach wspólnego działania nasi filozofowie nie mieli żadnych złudzeń co do moralności swoich współtowarzyszy. Kiedy Kamieniew i Zinowiew zostali oskarżeni o zamordowanie Kirowa, Bucharin powiedział: „No, wiemy co to są za ludzie; być może rzeczywiście coś w tym jest...”.

Tak jak „brodaci filozofowie” wychowali Stalina, czekista Iwanow wychował czekistę Gletkina, który go zamordował. Każda następna generacja była bardziej okrutna i coraz bardziej pozbawiona jakichkolwiek zasad: „neandertalczyki nowej ery”. Członkowie „starej gwardii” mogli tylko ze zdziwieniem zadawać sobie pytanie: „Skąd do diabła wzięli się ci ludzie?”. Na plakatach młodzież zawsze wygląda promiennie i niewinnie.

Pewien teoretyk Francuskiej Partii Komunistycznej powiedział mi, że wrogowie klasowi ponoszą dużo większą odpowiedzialność za okrucieństwa bolszewików aniżeli oni sami. Nigdy nie doszłoby do rozpętania czerwonego terroru, gdyby nie opozycja „białych”. Człowiek ten wydaje się całkiem na serio wierzyć, że we Francji nikt nie będzie przeciwstawiał się budowie komunizmu, który w swej wersji „komunizmu z ludzką twarzą” jest tutaj jak najbardziej do przyjęcia. Im bardziej szczerzy i przekonany o swojej racji jest człowiek, tym większych okropności i okrucieństw jest w stanie się dopuścić. Kiedy stanie w końcu przed „rewolucyjnym trybunałem”, przed który musi trafić, jeśli zachowa resztki szczerych uczuć, nie ujrzy tam już żadnej ludzkiej twarzy. Uśmiechnięci młodzi neandertalczyki, wychowankowie nowej moralności, z całą pewnością i bez trudu uznają go winnym i skazają.

Trudno się dziwić temu, że ludzie nie mogli tego wszystkiego zrozumieć na początku stulecia, kiedy ów system był dopiero w stadium początkowym. Ale naprawdę zdumiewające jest, że od tego czasu wszystko powtarzało się i powtarza w dziesiątkach krajów na całym świecie, w miejscach różniących się całkowicie historią, kulturą i religią, i ciągle jeszcze nie wydaje się być w pełni pouczające. Marksizm pozostaje modną rozrywką dla bogatych nierobów i uniwersyteckich profesorów we wszystkich krajach rozwiniętych, a dla ich uczniów w Wietnamie i Kambodży przetrwał w krwawą tragedię.

Zdolność człowieka do bezmyślnej obojętności jest nieograniczona. Nawet opakowania papierosów muszą być zaopatrywane w specjalne ostrzeżenia o szkodliwości palenia tytoniu. Dlaczego więc nie ma obowiązku drukowania na marksistowskiej literaturze stwierdzenia, że „przedstawione tutaj teorie, wprowadzane w praktykę w ciągu ostatnich 60 lat, przyprawiły o śmierć

dziesiątki milionów ludzi”? Czy profesorowie nie są zobowiązani do głoszenia prawdy o tej praktyce? Ależ skąd! Wystarczy tylko o tym napomknąć, a dowiemy się, że prawo do zatruwania umysłu ucznia jest niepodważalnym prawem nauczyciela.

Prawa człowieka, o których tyle zaczęło się mówić (włącznie z marksistami) są nierozzerwalnie związane z obowiązkiem i indywidualną odpowiedzialnością za wszystko, co dzieje się wokół nas. Spotkałem kiedyś w łagrze starszego człowieka, który został skazany za współudział w masowych mordach na Żydach podczas drugiej wojny światowej. Uważał swój wyrok za skrajnie niesprawiedliwy. „Ja przecież nikogo nie zabiłem. Otwierałem tylko drzwi do komory gazowej, których nawet nie musiałem zamykać, bo to należało do kogoś innego”. Jeżeli w ciągu 62 lat staliśmy się na tyle mądrzy, że potępiamy już czerwonych khmerów i terrorystów, to czyż nie nadszedł czas, abyśmy także potępiли tych, którzy „tylko otworzyli drzwi” owym zbrodniom?

Jestem przekonany, że książka Koestlera pozostanie aktualna nie tylko tak długo, jak długo istnieć będzie na świecie choćby jedna jedyna partia komunistyczna, lecz tak długo, jak długo ludzie będą dążyć do rewolucyjnej przebudowy społeczeństwa. Przecież ideologia komunistyczna jest tylko najbardziej konsekwentną, najbardziej skrajną formą tego dążenia.

I właśnie, jak gdyby chcąc podkreślić tę myśl bez wdawania się w szczegóły, Koestler umieścił na początku rozdziałów swojej książki motta — cytaty z różnych autorów żyjących w bardzo różnych czasach, z Dostojewskiego, Saint-Justa, Machiavellego i z żyjącego w XV wieku biskupa Dietricha von Nieheima.

Ktoś mógłby zapytać, co mają ze sobą wspólnego anarchiczne idee Dostojewskiego, idea zjednoczenia Włoch, tęsknota jakobinów do równości i braterstwa i idea Królestwa Bożego na Ziemi? Przez wszystkie te idee prześwieca dobrze znany motyw; wysiłki na rzecz gwałtownego przekształcenia życia powtarzają się w historii z uderzającą stałością. Owo dążenie do sprawiedliwości wydaje się na pozór jedną z najsilniejszych ludzkich namiętności, i dlatego też z największym trudem poddaje się kontroli rozumu. A więc w takim razie wysadzenie w powietrze rezydujących na Kremlu dyktatorów byłoby czymś jak najbardziej usprawiedliwionym? Na szczęście nie jest to zbyt popularna idea i mam nadzieję nigdy się taką nie stanie; świadomość rezultatów ostatniej fali „sprawiedliwości” jest jeszcze zbyt żywa w umysłach ludzi. Rezultaty te są jeszcze zbyt widoczne i być może z tego właśnie powodu ludzie w Związku Sowieckim zaczęli dokładnie od tego samego punktu, do którego dotarł Rubaszow; mam na myśli dialog z „milczącym rozmówcą”. Zrozumieli, że totalitaryzm nie może istnieć w próżni, lecz że podporę jego stanowi współudział w zbrodni, więc od wczesnych 60-tych lat coraz więcej i więcej z nich odmawia uczestnictwa w systemie sowieckim.

Najprostsze pragnienie człowieka, aby być wolnym od winy, bezpośredniej czy też pośredniej, zarówno w oczach potomnych jak i współczesnych, dało początek temu, co obecnie znane jest szeroko jako ruch na rzecz praw człowieka w ZSSR. Okazał się on niewyciężony w walce z największym systemem opresji na świecie, okazał się silniejszy od jakichkolwiek spisków czy politycznych intryg. Ale czy trzeba koniecznie aż tyle krwi i cierpień, aby to zrozumieć?

Czytałem tę świetną książkę w rosyjskim wydaniu, przeznaczonym do przemykania do Związku Sowieckiego, gdzie będzie czytana przez setki tysięcy ludzi. Czytałem ją w małym włoskim miasteczku, gdzie właśnie odbywał się hałaśliwy festyn komunistyczny, w którym brali radosny udział wszyscy mieszkańcy. Gdzie, zapytałem siebie, nastąpi pierwszy krach — tutaj czy tam?

Władimir BUKOWSKI

Wstęp Władimira Bukowskiego z edycji „Ciemności w południe” wydanej w roku 1980 przez klub książki THE FOLIO SOCIETY dla swoich członków (tłum. T.K.).

PIERWSZE PRZESŁUCHANIE

*„Kto ustalając dyktaturę nie zabije Brutusa,
albo kto ustanawiając republikę nie zabije
synów Brutusa — ten będzie panował tylko
krótki okres czasu”.*

MACHIAVELLI:
Discorsi.

*„O człowieku, człowieku — nie można żyć
bez odrobiny litości”.*

DOSTOJEWSKI:
Zbrodnia i kara.

PIERWSZE PRZESŁUCHANIE

„Nikt nie rządzi bez winy”.

St. Just

1

Drzwi celi zatrzasnęły się za Rubaszowem.

Stał jeszcze kilka sekund oparty o nie i zapalił papierosa. Na łóżku, po prawej stronie, leżały dwa dość czyste koce i siennik, który wyglądał jakby dopiero co wypchano go na nowo. Umywalnia, znajdująca się po lewej stronie, nie miała zatyczki, ale kurek działał. Stojący obok kubeł był świeżo odkażony i nie cuchnął. Mury po obu stronach celi były z solidnej cegły, zapewne tłumiącej odgłos stukania, ale miejsca, w których przeprowadzono rury ogrzewające i wodociągowe, były zalepione wapnem i dobrze przewodziły dźwięk; zresztą sama rura od ogrzewania wydawała się dobrym przewodnikiem dźwięku. Na wysokości oczu zaczynało się okno; można było patrzeć w dół na podwórze bez podciągania się na kratkach. Wszystko było w porządku.

Ziewnął, zdjął palto, zwinął je i położył na sienniku w miejsce poduszki. Spojrzał na podwórze. Śnieg skrzył się żółtawo w podwójnym świetle księżyca i latarni elektrycznych. Dokoła podwórza, wzdłuż murów, biegła wąska ścieżka oczyszczona ze śniegu dla codziennego spaceru. Świt jeszcze nie nadszedł; na przekór latarniom gwiazdy świeciły jasno i mroźnie. Po parapecie muru zewnętrznego, naprzeciw celi Rubaszowa żołnierz z pochyłonym karabinem przemierzał sto kroków tam i sto z powrotem; tupał przy każdym kroku, jakby maszerował na paradzie. Żółte światło latarni od czasu do czasu błyskało na bagnecie.

Ciągle jeszcze stojąc przy oknie, Rubaszow zdjął buty. Zdusił papierosa, położył niedopałek na ziemi obok łóżka i przez parę minut siedział bez ruchu na sienniku. Jeszcze wrócił do okna. Na podwórzu panowała ta sama cisza; wartownik właśnie zawracał; nad wieżą z karabinem maszynowym jaśniało pasmo Mlecznej Drogi.

Rubaszow wyciągnął się na pryczy i zawiązał w koc, leżący na wierzchu. Była piąta godzina, i prawdopodobnie w zimie nie wstawano tutaj przed siódmą. Był bardzo śpiący i po namyśle doszedł do przekonania, że na pewno nie zawołają go na przesłuchanie przed upływem trzech czy czterech dni. Zdjął binokle, położył je na kamiennej posadzce obok niedopałka, uśmiechnął się i zamknął oczy. Był ciepło otulony w koc i czuł się bezpiecznie; po raz pierwszy od wielu miesięcy nie bał się snów.

Kilka minut później, gdy dozorca zgasił światło od zewnątrz i zajrzał przez judasza do celi, Rubaszow, były Komisarz Ludowy, spał, obróciwszy się tyłem do ściany. Głowę wsparł na lewym, niezgiętym ramieniu, które sztywno wystawało z łóżka; tylko luźno zwisająca ręka drgała przez sen.

2

Kiedy godzinę temu dwaj urzędnicy Komisarjatu Spraw Wewnętrznych walili w drzwi Rubaszowa, aby go zaaresztować, śniło mu się właśnie, że go aresztują.

Stukanie przybierało na sile i Rubaszow usiłował się obudzić. Był już wprawiony do wyrywania się z nękającego koszmaru, bo sen o pierwszym jego aresztowaniu przez lata wracał co pewien czas i przetaczał się z regularnością mechanizmu zegarowego. Niekiedy, dużym wysiłkiem woli, potrafił zatrzymać mechanizm i wydobyć się z sennego rojenia własnymi siłami, ale tym razem to się nie powiodło; wyczerpany życiem ostatnich tygodni, pocił się i dyszał we śnie; mechanizm działał, obraz senny trwał.

Jak zawsze śniło mu się, że dobijano się do drzwi, że trzech ludzi mających go aresztować stało za nimi. Widział poprzez zamknięte drzwi jak stali na zewnątrz, łomocąc w oddrzwia. Mieli na sobie nowiuteńkie mundury, twarzowy strój gwardii pretoriańskiej Niemieckiego Dyktatora; na czapkach i rękawach nosili odznakę: agresywnie kolczasty krzyż; w wolnej ręce trzymali śmiesznie duże pistolety; pasy pachniały nową skórą. Teraz

weszli do pokoju, zbliżyli się do łóżka. Dwu z nich to przydługie wyrostki wiejskie z grubymi wargami i rybimi oczami; trzeci jest mały i tęgi. Stoją przy łóżku z pistoletami w rękę i ciężko nad nim dyszą. Jest zupełnie cicho, tylko mały grubas sapie astmatycznie. Potem, na jednym z górnych pięter, ktoś wyciąga zatyczkę umywalni i woda zaczyna miarowo ściekać przez rury w ścianie.

Mechanizm zegarowy dobiegał końca. Łomotanie w drzwi Rubaszowa stawało się coraz głośniejsze; dwaj ludzie, którzy przyszedli go aresztować, na zmianę walili w drzwi i chuchali w zmarznięte ręce. Ale Rubaszow nie mógł się obudzić, choć wiedział, że czeka go teraz scena szczególnie bolesna: tamci trzej stoją przy łóżku, a on próbuje nałożyć szlafrok. Rękaw wypchnął się na zewnątrz i nie może weń trafić ręką. Boryka się z nim daremnie, aż wreszcie ogarnia go jakby paraliż: nie może się ruszyć, choć wszystko zależy od tego, czy zdąży na czas wciągnąć rękaw. Ta dręcząca bezsilność trwa parę sekund. Rubaszow jęczy i czuje, jak mu zimny pot występuje na skronie, a walenie w drzwi dochodzi go przez sen, niby dalekie bicie w bęben; ręka pod poduszką drga w febrycznym usiłowaniu, aby znaleźć rękaw; aż wreszcie wyzwala go pierwsze ogłuszające uderzenie kolbą pistoletu w ucho...

Zwykle budził się z tym doskonale znanym odczuciem pierwszego uderzenia — po którym pozostała mu głuchota — odczuciem powtarzającym się i przeżytych setki razy. Przez chwilę jeszcze drżał i ręka, przyciśnięta poduszką, ciągle próbowała trafić do rękawa; bo na ogół, zanim obudził się całkowicie, musiał jeszcze przejść ostatnią, najgorszą fazę snu. Polegała ona na niewyraźnym, zamglonym poczuciu, że dopiero przebudzenie się jest właściwym snem i że w rzeczywistości ciągle jeszcze leży w ciemnej celi, na wilgotnej, kamiennej posadzce, z wiadrem stojącym przy nogach, z dzbankiem wody i kromką chleba tuż przy głowie...

I tym razem przez parę sekund trwał ten półsen, przewlekała się mglista niepewność, czy ręka namaca wiadro, czy też lampę na nocnym stoliku. Potem zapaliło się światło i mgła zniknęła. Rubaszow kilka razy głęboko odetchnął i, jak człowiek powracający do zdrowia, złożony ręce na piersi, cieszył się rozkosznym poczuciem wolności i bezpieczeństwa. Wytarł czoło i łysinę na czubku głowy prześcierałem i z powracającą już ironią spojrział w górę na oleoruk, wyobrażający przywódcę partii czyli Nr 1. Wisiał nad łóżkiem na ścianie jego pokoju — i na

ścianie każdego z pokoiów obok, nad lub pod jego własnym; na każdej ścianie tego domu, tego miasta, tego olbrzymiego kraju, za który Rubaszow walczył i cierpiał i który oto znowu przygarnął go do swego olbrzymiego, opiekuńczego łona. Obudził się już zupełnie; ale łomotanie w drzwi trwało bez ustanku.

3

Dwaj ludzie, którzy przyszedli aresztować Rubaszowa stali na zewnątrz w ciemnym korytarzu i naradzali się między sobą. W otwartych drzwiach windy stał dozorca Wasyli, który wskazał im drogę na górę i sapał z przerażenia. Był to stary, chudy człowiek; nad wystrzępionym kołnierzem wojskowego płaszcza, który narzucił na nocną koszulę, widać było szeroką, czerwoną bliznę, nadającą mu wygląd skrofuliczny. Był to ślad rany w szyję. Otrzymał ją w wojnie domowej, podczas której walczył w oddziale partyzantów Rubaszowa.

Później Rubaszowa wysłano za granicę i od czasu do czasu Wasyli słyszał o nim tylko z gazet, które mu córka czytała wieczorami. Czytywała przemówienia Rubaszowa na Kongresach; były długie i mało zrozumiałe i Wasylemu trudno w nich było odnaleźć wyobraźnią głos małego, brodatego dowódcy partyzantów, który znał tak wspaniałe przekleństwa, że chyba nawet Najświętsza Panienska Kazańska, słysząc je, musiała się uśmiechać. Wasyli zwykle zasypiał w połowie tych przemówień, ale budził się zawsze, gdy córka dochodziła do ostatnich zdań i do oklasków, przy których uroczyście podnosiła głos. Po każdym ze stereotypowych zdań końcowych, po każdym „Niech żyje Międzynarodówka!”, „Niech żyje Rewolucja!”, „Niech żyje Nr 1!” — Wasyli po cichu, tak, aby go córka nie usłyszała, dodawał z serca płynące „Amen”; potem zdejmował marynarkę, żegnał się ukradkiem i z nieczystym sumieniem szedł do łóżka. Nad jego łóżkiem wisiał także portret Nr 1, a obok niego fotografia Rubaszowa jako dowódcy partyzantów. Jeśli znajdą tę fotografię, to go pewnie też zabiorą.

Na schodach było zimno, ciemno i bardzo cicho. Młodszy z dwu ludzi Komisariatu dla Spraw Wewnętrznych zaproponował rozwalić zamek wystrzałem z rewolweru. Wasyli oparł się o drzwi windy; nie miał przedtem czasu porządnie wciągnąć butów i ręce mu tak drżały, że nie był w stanie zawiązać sznurówek. Starszy z tamtych dwu był przeciwny strzelaniu; aresztowanie miało się odbyć dyskretnie.

Obaj chuchnęli w zgrabiąte dłonie i znowu zaczęli grzmocić w drzwi; młodszy używał do tego kolby rewolweru. Parę piętér niżej jakaś kobieta zaczęła krzyżeć przejmującym głosem. „Powiedz jej, żeby zamknęła gębę”, zwrócił się młodszy do Wasylego. „Cicho tam”, odkrzyknął Wasyli. „To władza”. Kobieta uspokoiła się natychmiast. Młodzieniec zmienił metodę i zaczął obrabiać drzwi butami. Schody rozbrzmiewały hałasem; wreszcie drzwi się poddały.

Wszyscy trzej stanęli nad łóżkiem Rubaszowa, młodszy z pistoletem w ręku, starszy wyciągnięty sztywno, jakby stał na baczność; Wasyli zatrzymał się parę kroków za nimi, opierając się o ścianę. Rubaszow ścierał jeszcze pot z czubka głowy: patrzył na nich zaspanymi, przymrużonymi oczami krótkowidza. „Obywatelu Rubaszow, Mikołaju Salomonowiczu, aresztujemy was w imieniu prawa”, rzekł młodszy. Rubaszow namacał binokle pod poduszką i trochę się podniósł. Teraz, gdy nałożył szkła, oczy jego nabrały tego wyrazu, który Wasyli i starszy funkcjonariusz znali ze starych fotografii i kolorowych druków. Starszy wyprężył się na baczność jeszcze bardziej; młodszy, już wychowany wśród nowych bohaterów, zbliżył się o krok do łóżka: wszyscy trzej czuli, że powie albo zrobi coś brutalnego, by ukryć zakłopotanie.

— Schowajcie rewolwer, towarzyszu — rzekł Rubaszow. — Czego właściwie ode mnie chcecie?

— Słyszeliście przecież, że was aresztujemy — odparł chłopak. — Ubierzcie się i nie zwracajcie głowy.

— Czy macie nakaz? — zapytał Rubaszow.

Starszy wydobył z kieszeni jakiś papier, oddał go Rubaszowowi i znów stanął na baczność.

Rubaszow przeczytał go uważnie. — No dobrze — rzekł. — I tak się człowiek niczego z takiego papierka nie dowiaduje; niech was diabli wezmą.

— Ubierajcie się szybko — rzekł chłopak. Teraz się czuło, że jego brutalność przestała być sztuczna, ale była czymś przyrodzonym. Ładne wychowaliśmy pokolenie, pomyślał Rubaszow. Przypomniały mu się afisze propagandowe, na których młodzież była zawsze roześmiana. Czuł się bardzo zmęczony. „Zamiast bawić się rewolwerem, podajcie mi lepiej szlafrok”, powiedział do chłopaka. Ten się zaczerwienił, ale milczał. Starszy funkcjonariusz podał Rubaszowowi szlafrok. Rubaszow naciągnął rękaw. „Tym razem się przynajmniej udało”, powiedział z wymuszonym uśmiechem. Tamci trzej nie zrozumieli i nie odpowiedzieli.

Sledzili, jak powoli wstał z łóżka i zbierał pogniecione części garderoby.

Po tym jednym przejmującym krzyku kobiecym kamienica zapadła w ciszę, ale oni mieli wrażenie, że nikt z mieszkańców nie śpi, i że wszyscy wstrzymują oddech.

Potem usłyszeli, jak na jednym z górnych pięter ktoś wyciągnął zatyczkę i woda zaczęła równomiernie ściekać rurami.

4

Auto, którym funkcjonariusze przyjechali, nowy model amerykański, stało przed bramą. Było jeszcze ciemno; szofer zapalił światła, ulica spała albo udawała, że śpi. Wsiadli, wpierw chłopak, następnie Rubaszow, potem starszy funkcjonariusz. Szofer, także w mundurze, zapuścił motor. Za rogim kończyła się asfaltowa nawierzchnia; byli jeszcze w centrum miasta, dookoła nich wznosiły się wysokie nowoczesne kamienice, dziewięcio- czy dziesięciopiętrowe, ale ulice były zwyczajnymi drogami polnymi i zalegało je zamrożone błoto ze śniegiem, cienko nawianym w bruzdy.

Szofer jechał powoli, ale auto, mimo wspaniałych resorów, skrzypiało i jęczało jak fura.

— Jedź szybciej — powiedział chłopak, który nie mógł wytrzymać ciszy, panującej w aucie.

Szofer, nie oglądając się, wzruszył ramionami. Kiedy przed chwilą Rubaszow wsiadał do auta, obrzucił go chłodnym i nieprzyjaznym spojrzeniem. Rubaszow miał kiedyś wypadek: kierowca ambulansu popatrzył wtedy w taki sam sposób. Jazda powolna a w podskokach, wśród wymarłych ulic, przy światłach reflektorów, chwiejących się na przodzie — była trudna do zniesienia. „Jak to daleko?” zapytał Rubaszow, nie patrząc na swoich towarzyszy. O mały włos nie dodał: „do szpitala”. „Przeszło pół godziny”, odpowiedział starszy w mundurze. Rubaszow wygrzebał z kieszeni papierosy, włożył jeden do ust i automatycznie wszystkich poczęstował. Młodzieniec odmówił gwałtownie, starszy wziął dwa i dał jednego szoferowi. Szofer zasalutował lekko i — trzymając jedną ręką kierownicę — podał wszystkim ognia.

Rubaszowowi zrobiło się źle na sercu; jednocześnie był zły na siebie. W sam raz pora do rozczulania się, pomyślał. Ale nie mógł się oprzeć pokusie rozmawiania i wzbudzenia wokół siebie odrobiny ludzkiego ciepła. „Szkoda wozu”, powiedział. „Za

auta sprowadzane z zagranicy płaci się sporą ilością złota, a po pół roku jazdy na naszych drogach są do niczego”.

„Słusznie. Nasze drogi są jeszcze bardzo marne”, rzekł starszy funkcjonariusz. Rubaszow wyczuł z tonu, że tamten zrozumiał jego bezbronność. Poczł się jak pies, któremu rzucono kość; postanowił nic więcej nie mówić. Ale nagle chłopak odezwał się agresywnym tonem:

— Może w państwach kapitalistycznych są lepsze? —

Rubaszow uśmiechnął się. — Byliście kiedy za granicą? — zapytał.

— Wiem i tak, jak tam wygląda — rzekł chłopak. — Nie próbujcie mi opowiadać cudów.

— Za kogo wy mnie właściwie bierzecie? — zapytał Rubaszow bardzo spokojnym głosem. Ale nie mógł się powstrzymać i dodał: — Powinniście się jednak trochę poduczyć historii Partii.

Chłopak zamilkł i z uporem wpatrywał się w plecy szofera. Nikt już nie mówił. Kierowca po raz trzeci zmienił bieg i klnąc zwiększył szybkość. Minęli w podrygach przedmieścia; wygląd nędznych chałup w niczym się tu nie zmienił. Nad ich krzywymi sylwetkami wisiał nieruchomo błądy i zimny księżyc.

5

Światło elektryczne paliło się na wszystkich korytarzach nowego, wzorowego więzienia. Leżało chłodno na żelaznych galeriach, na nagich, bielonych ścianach, na drzwiach cel, oznaczonych kartkami z nazwiskiem i na czarnych otworach judaszów. To bezbarwne światło i ostry dźwięk kroków, rozlegających się bez echa na kamiennej posadzce, były dla Rubaszowa czymś tak dobrze znanym, że przez kilka sekund pozwolił sobie na złudzenie, że śni znowu. Usiłował w siebie wmówić, że to wszystko jest nierealne. Jeśli uda mi się uwierzyć, że śnię, to wszystko stanie się naprawdę snem, myślał.

Starał się o to tak intensywnie, że prawie dostał zawrotu głowy; aż nagle ogarnął go dławiący wstyd. Trzeba to wytrzymać, pomyślał. Wytrzymać do samego końca. Doszli do celi nr 404. Nad judaszem tkwiła kartka z jego nazwiskiem: Mikołaj Salomonowicz Rubaszow. Ładnie wszystko przygotowali, pomyślał; widok nazwiska na kartce zrobił na nim dziwne wrażenie. Chciał poprosić dozorcę o dodatkowy koc, ale drzwi już się za nim zatrzasnęły.

Dozorca zaglądał przez judasza do celi w regularnych odstępach czasu. Rubaszow leżał spokojnie na pryczy; tylko od czasu do czasu przez sen drgała jego ręka. Obok pryczy leżały binokle, a na kamiennej podłodze niedopałek.

O 7-mej rano — dwie godziny po przybyciu do celi nr 404 — obudziła Rubaszowa trąbka grająca pobudkę. Spał bez snów i głowę miał jasną. Trąbka powtórzyła trzy razy tę samą wrzaskliwą frazę. Drgające dźwięki wróciły echem i zamarły; pozostała złowroga cisza.

Dzień jeszcze całkiem nie nastał; w niewyraźnym świetle widać było miękkie zarysy umywalni i kubła. Kraty na oknach wyglądały jak czarny wzór, rzucony na brudne szkło; po lewej stronie, u góry, zbitą szybę zalepiono kawałkiem papieru. Rubaszow podniósł się, sięgnął po binokle i niedopalony papieros, leżący przy łóżku i znów się położył. Nasadził binokle i jakoś udało mu się na nowo rozżarzyć niedopałek. Cisza trwała. We wszystkich bielonych celach tego betonowego ula podnosili się jednocześnie ze wszystkich przyz ludzi, klnąc i po omacku ruszając się po kamiennej podłodze, ale z cel izolacyjnych nie dochodziły żadne odgłosy — tylko od czasu do czasu słychać było na korytarzu jakieś oddalające się kroki. Rubaszow wiedział, że znajduje się w izolatce i że pozostanie w niej aż do chwili rozstrzelania. Przeciągnął palce przez krótką, śpiczastą brodę, dopalił koniuszek papierosa i nie ruszał się.

„Zatem rozstrzelają mnie”, myślał. Ze zmrużonymi oczami przypatrywał się ruchom dużego palca u nogi, który sterczał prostopadle na końcu łóżka. Było mu ciepło, czuł się bezpieczny i bardzo zmęczony; nie miał nic przeciwko temu, by przedrzemać aż do śmierci tak jak teraz, byle by go tylko pozostawili w spokoju pod ciepłym kocem. „Więc rozstrzelają cię”, przemówił sam do siebie. Powoli poruszył palcami w skarpetce i przypomniał mu się wiersz, w którym było porównanie stóp Chrystusa do białego jelenia w krzewie cierniowym. Wytarł binokle o rękaw ruchem, dobrze znanym wszystkim jego wyznawcom. Ciepło koca napełniało go szczęściem prawie doskonałym: obawiał się tylko tego, że będzie musiał wstać i ruszyć się. „Więc zniszczą cię”, powiedział do siebie półgłosem i zapalił drugiego papierosa, choć pozostały mu już tylko trzy.

Pierwsze papierosy wypalane na czczo wywoływały czasem uczucie lekkiego podchmienia; i teraz rozpoznał w sobie ten szczególnie stan ekscytacji, w jakim był zawsze, ilekroć ocierał

się o śmierć. Zdawał sobie także sprawę z tego, że był to nastrój karygodny i, z pewnego punktu widzenia, niedopuszczalny, ale w tej właśnie chwili nie miał najmniejszej ochoty przychylić się do takiego zdania. Natomiast pilnie obserwował grę swoich palców w skarpetkach. Uśmiechnął się. Ogarnęła go fala gorącego współczucia dla własnego ciała, którego na ogół nie lubił, a perspektywa bliskiej zguby napełniała go rozkosznym uczuciem litości nad samym sobą.

„Stara gwardia zginęła”, powiedział do siebie. „Jesteśmy ostatni”. „Zniszczą nas”. „Za rok, za dzień, za chwilę, razem nie będzie nas...”, próbował sobie przypomnieć melodię do „Razem nie będzie nas...”, ale przychodziły mu na pamięć tylko słowa. „Stara gwardia zginęła”, powtórzył i próbował przypomnieć sobie twarze. Powiodło mu się to tylko w niewielkim stopniu. Pierwszego przewodniczącego Międzynarodówki, skazanego za zdradę, wywołał z pamięci tylko kawałek kamizelki w kratkę nad lekko zaokrąglonym brzuchem. Nie nosił on nigdy szelek, tylko paski skórzane. Drugi premier Państwa Rewolucyjnego, także skazany, w chwilach niebezpieczeństwa gryzł paznokcie... „Historia was zrehabilituje”, myślał Rubaszow bez głębszego przekonania. „Co historia może wiedzieć o gryzieniu paznokci?”

Pałił i myślał o umarłych i o upokorzeniu, jakie poprzedziło ich śmierć. A jednak nie potrafił się zdobyć na nienawiść do Nr 1, jakby był powinien. Często patrzył na oleodruk Nr 1, wiszący nad łóżkiem i próbował go nienawidzić. Między sobą nadawali mu wiele przydomków, ale pozostał mu w końcu — „Nr 1”. Zgroza, jaką wywoływał zasadzała się głównie na możliwości, że mógł mieć słuszość i że wszyscy ci, których posłał na śmierć, musieliby przyznać, nawet z kulą w karku, iż jest do pomyślenia, że on ma rację. Pewności nie było; pozostawało tylko odwołanie się do tej ironicznej wyroczni, zwanej Historią, która dopiero wtedy ogłasza wyroki, gdy szczęki odwołującego się do niej rozpadną się w próchno.

Rubaszow miał poczucie, że ktoś go podpatruje przez otwór judasza. Nie patrząc wiedział, że żrenica przywarta do otworu zagląda do celi; niedługo potem klucz zaskrzypiał w ciężkim zamku. Drzwi otworzyły się dopiero po chwili. Dozorca, stary człowiek w pantoflach, stanął w drzwiach.

— Czemuście nie wstali? — zapytał.

— Jestem chory — powiedział Rubaszow.

— Co wam jest? Nie można was zaprowadzić do doktora przed jutrzejszym dniem.

— Ząb mnie boli — rzekł Rubaszow
— Ząb was boli? — odpowiedział dozorca. Człapiąc wyszedł z celi i zatrzasnął drzwi.

Teraz przynajmniej będę mógł spokojnie leżeć, pomyślał Rubaszow, ale już mu to nie sprawiało przyjemności. Duszne ciepło koca zaczęło męczyć, więc go odrzucił. Próbował na nowo obserwować grę swoich palców u nóg, ale go to nudziło. Obie skarpetki miały dziury na pięcie. Chciał je zacerować, ale wstrzymał się na myśl o tym, że musiałby pukać do drzwi i żądać od dozorca igły i nici; igły prawdopodobnie i tak by odmówili. Nagle napadła go dzika chęć zobaczenia gazety. Była to chęć tak silna, że poczuł zapach farby drukarskiej i posłyszał szelest kart papieru. Może ubiegłej nocy wybuchła rewolucja, może zamordowano głowę państwa, może jakiś Amerykanin wynalazł sposób przeciwdziałania prawu grawitacji. Nie mogło jeszcze nic być o jego aresztowaniu; w kraju przez jakiś czas będą je zatajać, za granicą taka sensacja rozniesie się szybko i będą reprodukowali fotografie sprzed dziesięciu lat, wygrzebane z archiwów pism i ogłosią masę bzdur o nim i o Nr 1.

Nagle odechciało mu się gazety, natomiast tak samo namiętnie zapragnął wiedzieć, co się dzieje w mózgu Nr 1. Wyobraził go sobie przy biurku: ciężki i ponury, opiera się na łokciach i powoli dyktuje stenotypistce. Inni ludzie w czasie dyktowania przechadzają się po pokoju, puszczają kółka z dymu albo bawią się linią. Nr 1 nie rusza się, nie bawi się, nie robi kółek...

Rubaszow zauważył nagle, że sam spaceruje od jakichś pięciu minut; wstał z łóżka, nie zdając sobie z tego sprawy. Stare przyzwyczajenie niechodzenia nigdy po liniach płyt kamiennych znowu go pochwyciło i znowu znał na pamięć wzór posadzki. Ale jego myśli nie oderwały się ani na sekundę od Nr 1, który siedząc przy biurku i dyktując bez ruchu, zmienił się powoli we własny portret, w ten dobrze znany oleodruk, który wisi w tym kraju nad każdym łóżkiem czy kredensem i wpatruje się w ludzi różnymi oczami.

Rubaszow chodził po celi tam i z powrotem, od drzwi do okna i od okna do drzwi, między pryczą a umywalnią i kubłem, sześć i pół kroku w jedną, sześć i pół kroku w drugą stronę. Przy drzwiach zawracał na prawo, przy oknie na lewo; było to stare więzienne przyzwyczajenie; jeśli się nie zmieniało kierunku obrotów, to szybko dostawało się zawrotu głowy.

Co się działo w mózgu Nr 1? Wyobraził sobie przekrój tego mózgu, czyściutko namalowany szarą akwarelą na papierze,

rozpięty na desce i przytrzymany pluskiewkami. Zwoje szarej masy wzdymały się jak jelita, związały się dokoła siebie jak muskularne węże, stawały się niewyraźne i zamglone jak gwiazdne mgły spiralne na kartach astronomicznych... Co się działo w tych wzdętych, szarych zwojach? O dalekich mgławicach gwiazdnych wiedziało się wszystko, o tych zwojach nic. Dlatego prawdopodobnie historia jest bliższa wyroczeni aniżeli nauki ścisłej. Może kiedyś, kiedyś będzie się jej uczyło przy pomocy tabel statystycznych, uzupełnianych takimi przekrojami anatomicznymi. Nauczyciel napisze na tablicy jakąś formułkę matematyczną, odpowiadającą warunkom życia mas jakiegoś określonego narodu w jakimś okresie: „Tutaj, obywatele, widzicie obiektywne dane, które warunkowały ten proces historyczny”. I dalej, wskazując linią zamglony pejzaż między drugim a trzecim zwojem mózgu Nr 1: „A tutaj widzicie refleks subiektywny tych danych. On to właśnie, w drugiej ćwierci dwudziestego wieku spowodował zwycięstwo zasad totalistycznych w Europie Wschodniej”. Dopóki nie dojdziemy do takiego rozpoznania, polityka pozostanie potwornym dyletantyzmem, zwykłym przesądem i czarną magią...

Rubaszow usłyszał, że kilku ludzi maszeruje przez korytarz. Pierwsza jego myśl była: teraz zacznie się bicie. Zatrzymał się pośrodku celi, nasłuchując, ze sztywno wysuniętą brodą. Kroki maszerujących zatrzymały się przed jedną z sąsiednich cel, można było dosłyszeć cicho wydany rozkaz i brzęk kluczy. Potem zapadła cisza.

Rubaszow stał wyprostowany między łóżkiem a wiadrem, wstrzymał oddech i czekał na pierwszy krzyk. Pamiętał, że zwykle najgorszy był pierwszy krzyk, w którym przerażenie jeszcze górowało nad bólem fizycznym; to, co potem następowało było już łatwiejsze do zniesienia, człowiek się przyzwyczajał, a po pewnym czasie można było nawet z tonu i rytmu krzyków wywnioskować rodzaj stosowanej tortury. Pod koniec wszyscy prawie zachowywali się jednako, bez względu na różnice temperamentu i głosu: krzyki stopniowo słabły i przechodziły w jęk, przerywany zachłystywaniem się. Zwykle zaraz potem drzwi się zatrzaśniały. Znowu słyszało się brzęk kluczy i krzyk następnej ofiary rozbrzmiewał często, zanim jej dotknęli, już na sam widok ludzi stojących w drzwiach.

Rubaszow stał pośrodku celi i czekał na pierwszy krzyk. Wytańił binokle o rękaw i powiedział sobie, że cokolwiek się z nim stanie, to tym razem także nie będzie krzyczał. Powtórzył to postanowienie tak, jakby odmawiał różaniec. Stał i czekał;

krzyku nie było. Potem posłyszał brzęk, jakiś głos coś mówił po cichu, trzasnęły drzwi. Kroki ruszyły w kierunku następnej celi.

Rubaszow podszedł do judasza i wyjrzał na korytarz. Tamci stali prawie naprzeciw jego celi, pod numerem 407. Byli to: stary dozorca, dwaj pomocnicy, którzy ciągnęli kocioł z herbatą, trzeci, który niósł kosz z kawałkami ciemnego chleba i dwaj funkcjonariusze w mundurach z pistoletami. Bicia nie było, roznoszono śniadanie...

Nr 407 dawano właśnie chleb. Rubaszow nie widział go. Nr 407 stał prawdopodobnie w przepisowej pozycji, jeden krok od drzwi; Rubaszow dojrzał tylko część jego ramion i ręce. Ramiona były obnażone i bardzo cienkie; sterczały z drzwi na korytarz jak dwa równoległe patyki. Dłonie niewidzialnego Nr 407 były odwrócone do góry i, zaokrąglone, tworzyły jakby miskę. Kiedy wziął chleb, zamknął ręce i cofnął się w ciemność celi. Drzwi się zatrzasnęły.

Rubaszow odstąpił od otworu w drzwiach i zaczął na nowo chodzić tam i z powrotem. Przestał wycierać binokle o rękaw, nałożył je, odetchnął głęboko i z ulgą. Zaczął gwizdać i czekał na śniadanie. Cienkie ramiona i zaokrąglone dłonie utkwily mu trochę nieprzyjemnie w pamięci; przypominały mu z daleka coś, czego nie mógł bliżej określić. Zarysy tych wyciągniętych rąk, nawet cienie na nich leżące były mu znajome — znajome, a jednak uszły mu z pamięci, tak jak się zapomina starą melodię, czy zapach jakiejś wąskiej uliczki portowej.

7

Posuwający się pochód otworzył i zatrzasnął szereg drzwi, ale jeszcze nie jego własne. Rubaszow wrócił do judasza, by zobaczyć, czy nareszcie nadchodzą. Myślał z przyjemnością o gorącej herbacie: z kotła unosi się para, a na powierzchni pływają cienkie płatki cytryny. Zdjął binokle i przywarł oko do otworu. W jego polu widzenia znajdowało się sześć przeciwnych cel: numery 401 do 407. Nad celami biegła wąska, żelazna bariera; za nią były znów cele, te na drugim piętrze.

Pochód właśnie zawracał i szedł wzdłuż korytarza po prawej stronie; widać obchodzili wpierw numery nieparzyste, a potem parzyste. Teraz stanęli przed nr 408; Rubaszow widział tylko plecy tych dwu w mundurach z rewolwerami przy pasach; reszta pochodu stała poza zasięgiem jego wzroku. Drzwi się zatrzas-

nęły; podeszli do nr 406. Rubaszow znowu zobaczył parujący kocioł i pomocnika z koszem do chleba; zostało w nim już tylko kilka kromek. Drzwi nr 406 zatrzasnęły się natychmiast; cela była pusta. Pochód zbliżył się, przeszedł obok jego drzwi i zatrzymał się przy nr 402.

Rubaszow zaczął walić pięściami w drzwi. Zobaczył jak dwaj pomocnicy przy kotle spojrzeli wpierv po sobie, potem na jego drzwi. Dozorca otwierał zamek nr 402 i udawał, że nie słyszy. Dwaj umundurowani byli odwrócenii plecami do judasza w celi Rubaszowa. Teraz podawano chleb przez drzwi nr 402; pochód ruszył znowu, Rubaszow zaczął młócić głośnieji. Zdjął but i tłukł nim o drzwi.

Wyższy z dwu umundurowanych ludzi obrócił się, spojrzął tępo na drzwi Rubaszowa i znów się odwrócił plecami. Dozorca zatrzasnął drzwi nr 402. Pomocnicy przy kotle z herbatą stali, nie wiedząc co robić. Ten z umundurowanych, który się odwrócił, powiedział coś do dozorca. Wzruszając ramionami i pobrękując pękiem kluczy, przyczłapał on do drzwi Rubaszowa. Pomocnicy z kotłem szli za nim; pomocnik niosący chleb nachylił się do judasza i powiedział coś do nr 402.

Rubaszow cofnął się o krok od drzwi i czekał, żeby się otworzyły. Jego napięcie nagle ustąpiło; nie zależało mu już na tym, czy dadzą mu herbatę, czy nie. W drodze powrotnej przez korytarz herbata w kotle już przestała dymić, a płatki cytryny, pływające po resztkach blado-żółtego płynu, wyglądały na zwiędłe i wyżęte.

Przekrecono klucz w drzwiach, potem ukazała się żrenica w judaszu i zaraz zniknęła. Drzwi się rozwarły. Rubaszow usiadł na łóżku i zaczął naciągać but. Dozorca przytrzymał drzwi dla tego wysokiego w mundurze, który wszedł do celi. Głowę miał okrągłą, zupełnie ogoloną i oczy bez wyrazu. Jego sztywny mundur chrzęścił; buty tak samo; Rubaszowowi zdawało się, że czuje zapach skóry pasa od pistoletu. Zatrzymał się przy kuble i rozejrzał po celi, która, zdawało się, zmalala od jego obecności.

— Nie sprzątnęliście swojej celi — rzekł do Rubaszowa. — Chyba znacie przepisy.

— Dlaczego pominięto mnie przy śniadaniu? — zapytał Rubaszow, oglądając oficera przez binokle.

— Jeśli chcecie się ze mną kłócić, to musicie wstać — odpowiedział oficer.

— Nie mam najmniejszej ochoty kłócić się z wami, albo chociażby rozmawiać — rzekł Rubaszow i dalej sznurował but.

— W takim razie nie tłuczcie na przyszłość w drzwi bo

inaczej zastosuje się do was zwykłe przepisy dyscyplinarne — powiedział oficer. Znow rozejrzał się po celi. — Więzień nie ma ścierki do wycierania podłogi — zwrócił się do dozorca.

Dozorca powiedział coś pomocnikowi od chleba, który znikł biegiem w korytarzu. Dwaj inni pomocnicy stali w otwartych drzwiach i zaglądali ciekawie do celi. Drugi oficer był odwrócony tyłem, stał na korytarzu na rozkraczonych nogach i z rękami założonymi na krzyżu.

— Więzień nie ma także miski do jedzenia — rzekł Rubaszow, ciągle jeszcze wiążąc sznurowadło. — Przypuszczam, że chcecie mi oszczędzić kłopotu ze strajkiem głodowym. Podziwiam wasze nowe metody.

— Mylicie się — stwierdził oficer, patrząc na niego bez wyrazu. Na ogolonej głowie miał szeroką bliznę, a w klapie munduru wstążkę orderu Rewolucji. A więc brał udział w wojnie domowej, pomyślał Rubaszow. Ale to było dawno temu i teraz nie ma już znaczenia.

— Mylicie się. Pominięto was przy śniadaniu, bo zameldowaliście, że jesteście chorzy.

— Ból zęba — mruknął stary dozorca, opierający się o drzwi. Był ciągle w pantoflach, a mundur miał wygnieciony i poplamiony tłuszczem.

— Jak chcecie — rzekł Rubaszow. Miał już na końcu języka pytanie, czy to najnowsze osiągnięcie reżymu: leczenie chorych postem przymusowym, ale powstrzymał się. Miał dość tej całej sceny.

Pomocnik od chleba przyleciał, dysząc i machając brudną ścierką. Dozorca odebrał mu ścierkę i rzucił w kąt, obok kubła.

— Czy macie jeszcze jakieś życzenia? — zapytał oficer bez cienia ironii.

— Dajcie mi spokój i skończcie tę komedię — rzekł Rubaszow.

Oficer zwrócił się ku wyjściu, dozorca zabrzczał kluczami. Rubaszow podszedł do okna, odwracając się do nich tyłem. Kiedy drzwi się zatrzasnęły, przypomniał sobie, że zapomniał o najważniejszej rzeczy i jednym skokiem znalazł się z powrotem przy drzwiach.

— Papier i ołówek — krzyknął przez otwór judasza. Zdjął binokle i przywarł okiem do otworu, aby zobaczyć, czy się odwrócili. Krzyknął bardzo głośno, ale pochód sunął korytarzem, jakby nic nie słyszał. Ostatni szczegół, który Rubaszow zobaczył, to były plecy oficera z ogoloną czaszką, szeroki pas skórzany i przyczepiony doń futerał rewolweru.

Wrócił do swojej przechadzki po celi, sześć i pół kroku do okna, sześć i pół kroku z powrotem. Cała scena podnieciła go, powtarzał sobie każdy szczegół, wycierając binokle o rękaw. Próbował podtrzymać w sobie nienawiść, jaką przez parę minut poczuł do oficera z blizną; myślał, że umocni go to w nadchodzącej walce. Ale zamiast tego uległ znanemu i zgubnemu przymusowi stanięcia w pozycji przeciwnika i zobaczenia całej sceny oczami tamtego.

Oto siedzi, ten Rubaszow, na pryczy — drobny, zarośnięty i zarozumiały i w sposób wyraźnie prowokacyjny naciąga but na zapoconą skarpetkę. Ten cały Rubaszow ma oczywiście pewne zasługi i wielką przeszłość, ale co innego jest oglądać go na estradzie, podczas jakiegoś kongresu, a co innego na sienniku w celi więziennej. A więc to jest ten legendarny Rubaszow, myślał Rubaszow w imieniu oficera o oczach bez wyrazu. Krzyczy o śniadanie jak sztubak i nawet się nie wstydzi. Ciała niesprzątnięta. Dziury w skarpetkach. Kłótlivy intelektualista. Spiskował przeciw prawu i ustalonemu porządkowi: czy dla pieniędzy, czy dla zasad, to nie ma znaczenia. Nie robiliśmy rewolucji dla rządów. Prawda, że pomógł ją robić; ale wtedy był mężczyzną; teraz jest stary i zarozumiały, dojrzał do likwidacji. A może już wtedy był taki; rewolucja pełna była baniek mydlanych, które później prysnęły. Gdyby miał choć krztynę poczucia godności, byłby posprzątał celę.

Przez moment zastanowił się, czy może naprawdę powinien wytrzeć podłogę. Zatrzymał się pośrodku celi z wahaniem, potem nałożył binokle i przystanął przy oknie.

Na podwórzu było teraz jasno, szarawe światło miało żółty odcień, raczej przyjazny, zapowiadało nowy śnieg. Było około ósmej — od jego wejścia do celi upłynęły zaledwie trzy godziny. Mury, otaczające podwórzec, wyglądały na ściany baraków; wszystkie okna miały żelazne kraty, cele za nimi były zbyt ciemne, by móc do nich zaglądnąć. Nie można było nawet rozpoznać, czy ktoś stoi za oknem i, jak on, spogląda na śnieg na podwórzu. Śnieg był ładny, lekko przymarznięty; musiał skrzypieć, kiedy się po nim chodziło. Po obu bokach ścieżki, która biegła wzdłuż muru w odległości dziesięciu kroków, leżały wały odgarniętego śniegu. Na przeciwległym parapecie miarowo chodził wartownik. Przy jednym z obrotów splunął wielkim łukiem w śnieg; przechylił się przez mur, aby zobaczyć, gdzie trafił.

— Stara choroba — myślał Rubaszow. — Rewolucjoniści nie powinni myśleć za drugich.

— A może właśnie powinni? Może to jest konieczne?

— Jak można zmienić świat, jeśli się utożsamia siebie z każdym człowiekiem?

— Jak można bez tego zmienić świat?

— Ten kto rozumie i przebacza — jakież znajdzie motyw działania?

— Jakżeż znajdzie go bez tego?

— Rozstrzelają mnie — myślał Rubaszow. — Moje motywy nie będą dla nich miały żadnego znaczenia.

Oparł czoło o szybę. Podwórce było białe i ciche. Stał tak przez chwilę, nie myśląc i czując na czole chłód szkła. Stopniowo doszło do jego świadomości delikatne ale uporczywe, miarowe stukanie w mur celi.

Obrócił się, nasłuchując. Stukanie było tak ciche, że w pierwszej chwili nie mógł rozpoznać, od której strony się rozlegało. Gdy je łowił uchem, ustało. Zaczął sam pukać, wpieryw w ścianę nad kubłem, w kierunku celi nr 406, ale nie otrzymał odpowiedzi. Spróbował drugiej ściany, która go dzieliła od nr 402, nad łóżkiem. Otrzymał odpowiedź. Usiadł wygodnie na pryczy, aby mieć na oku judasza. Biło mu serce. Pierwsze nawiązanie kontaktu jest zawsze bardzo wzruszające.

Nr 402 stukał teraz miarowo: trzy razy z krótkimi przerwami, potem pauza, potem znów trzy razy, znów pauza i znów trzy razy. Rubaszow powtórzył tę serię dla wskazania, że słyszał. Starał się wykryć, czy jego partner zna „alfabet kwadratowy” — jeśli nie, dużo by było zachodu, zanim by go nauczył. Mur był gruby, źle przewodził dźwięk; musiał bardzo przybliżyć do niego głowę, a jednocześnie nie spuszczać z oczu judasza. Nr 402 miał wyraźnie dużą wprawę; stukał miarowo i bez pośpiechu, prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem, może ołówkiem.

Rubaszow wyszedł już z wprawy. Utrwalając w pamięci cyfry, próbował odtworzyć w pamięci czworobok liter podzielony na 25 okienek — pięć poziomych rzędów, w każdym po pięć liter. Nr 402 zastukał wpieryw trzy razy — to znaczy trzeci rząd: K do O; następnie raz; to znaczy pierwsza litera tego rzędu: K. Potem przerwa; potem cztery uderzenia — czwarty rząd: P — T; potem pięć uderzeń — piąta litera w rzędzie: T. Potem trzy razy, a potem pięć razy; a więc piąta litera trzeciego rzędu: O. Zatrzymał się.

KTO?

Praktyczny człowiek, myślał Rubaszow; od razu chce wie-

dzieć z kim ma do czynienia. Zgodnie z rewolucyjną etykietą, powinien był zacząć od jakiegoś rewolucyjnego dowcipu; potem podać informacje; potem rozmawiać o jedzeniu i tytoniu; znacznie później dopiero, po kilku dniach, jeśli w ogóle, przychodził czas na przedstawianie się wzajemne. Doświadczenie Rubaszowa ograniczało się jednak do krajów, w których Partia była prześladowanym, a nie prześladowcą, a członkowie Partii, ze względów konspiracyjnych, znali się tylko z imion — a i te zmieniali tak często, że imię traciło w końcu jakiegokolwiek znaczenie. Tutaj widać jest inaczej; Rubaszow zastanawiał się, czy podać swoje nazwisko. Nr 402 zaczął się niecierpliwić; znowu zastukał: KTO?

Dlaczego nie? pomyślał Rubaszow. Wystukał pełne imię i nazwisko: MIKOŁAJ SALOMONOWICZ RUBASZOW i czekał na efekt.

Długo nie było odpowiedzi. Rubaszow uśmiechnął się; doceniał wstrząs, dozany przez sąsiada. Czekał pełną minutę, potem drugą; wreszcie wzruszył ramionami i wstał z pryczy. Zaczął się znowu przechadzać po celi, ale za każdym nawrotem zatrzymywał się przy murze i nasłuchiwał. Ściana milczała. Wytańczał binokle o rękaw, powoli, zmęczonym krokiem podszedł do drzwi i wyjrzał przez judasza.

Korytarz był pusty; lampy elektryczne rozlewały swoje zwykłe, nudne światło; nie było słycać najśłabszego dźwięku.

Dlaczego Nr 402 zamilkł? Prawdopodobnie ze strachu; boi się kompromitacji przez Rubaszowa. Może Nr 402 jest niepolitycznym lekarzem albo inżynierem, który drży na myśl o niebezpiecznym sąsiedzie. Na pewno nie ma żadnego doświadczenia politycznego, bo nie byłby zaczął od pytania o nazwisko. Wyraźnie siedzi już od dłuższego czasu, wydoskonalił się w pukaniu i zżera go żądza dowiedzenia swojej niewinności. Wierzy jeszcze naiwnie, że jego osobista wina czy niewinność przedstawiają jakiegokolwiek znaczenie, nie ma najmniejszego pojęcia o wyższych sprawach, o które naprawdę chodzi. Siedzi teraz prawdopodobnie na pryczy i pisze po raz setny odwołanie do władz, które nigdy go nie przeczytają, albo setny list do żony, którego ona nigdy nie otrzyma; z rozpaczki zapuścił brodę — puszkiniowską, czarną brodę — przestał się myć i popadł w nałóg gryzienia paznokci i snucia na jawie marzeń erotycznych. Nie ma nic gorszego w więzieniu, jak świadomość własnej niewinności; uniemożliwia ona aklimatyzację i podkopuje ducha... Nagle stukanie rozległo się na nowo.

Rubaszow usiadł szybko na pryczy, ale przepuścił już pierwsze dwie litery. Nr 402 pukał teraz szybko i mniej wyraźnie, był widać bardzo podniecony:

„BRZE WAM TAK.

„Dobrze wam tak”.

To było nieoczekiwane. Nr 402 jest ugodowcem. Nienawidzi heretyków opozycji, wierzy, jak trzeba, że historia biegnie wytyczonymi koleinami, zgodnie z nieomylnym planem i wolą nieomylnego kierownika, Nr 1. Wierzy, że aresztowanie go jest tylko następstwem nieporozumienia i że wszystkie katastrofy ostatnich lat — od Chin do Hiszpanii, od głodu do wytracenia starej gwardii — były albo godnym pożalowania przypadkiem, albo skutkiem diabelskich machinacji Rubaszowa i jego przyjaciół z opozycji. Puszkinowska broda Nr 402 rozwiła się w powietrzu; przybrał teraz twarz ogoloną i fanatyczną; celę utrzymuje w nieskazitelnej czystości i skrupulatnie przestrzega wszystkich przepisów. Dyskusja z nim nie miałaby żadnego sensu; należy do gatunku takich, których nie można niczego nauczyć. Ale zrywanie jedyne go i może ostatniego kontaktu ze światem także nie ma sensu.

KTO? wystukał Rubaszow bardzo wyraźnie i powoli.

Odpowiedź była gwałtowna i urywana:

NIE WASZA RZECZ.

JAK CHCECIE, odstukał Rubaszow i wstał, aby na nowo podjąć przechadzkę po celi, w przekonaniu, że rozmowa jest skończona. Ale stukanie znów się rozległo, tym razem bardzo mocno i głośno — Nr 402 zdjął widać but, aby nadać swoim słowom większej wagi:

NIECH ŻYJE JEGO CESARSKA MOŚĆ!

Ach tak, pomyślał Rubaszow. Więc istnieją jeszcze prawdziwi i autentyczni kontrrewolucjoniści — a myśmy myśleli, że występują dziś tylko w mowach Nr 1, jako kozły ofiarne jego niepowodzeń. I oto siedzi tu taki z krwi i kości, alibi dla Nr 1, wrzeszczący, według wszelkich reguł: Niech żyje Monarcha...

AMEN, wystukał Rubaszow, uśmiechając się. Odpowiedź przyszła natychmiast, jeszcze głośniejsza, jeśli to było możliwe:

SWINIA!

Rubaszow świetnie się bawił. Zdjął binokle i, chcąc zmienić ton, zastukał metalowym brzegiem z przeciąganą i wytworną intonacją:

NIE ZROZUMIAŁEM.

Nr 402 popadł w szal. Walił SOBAK? —, ale do końcowego

A już nie doszedł. Zamiast tego, uspokoiwszy się nagle, wystukał:

DLACZEGO WAS ZAMKNĘLI?

Co za wzruszająca prostota... Twarz Nr 402 znowu uległa przemianie. Teraz był to młody oficer gwardii, przystojny i głupi. Może nawet nosi monokl. Rubaszow wystukał binoklami:

NIEPOROZUMIENIA POLITYCZNE.

Krótką przerwą. Nr 402 silił się wyraźnie na sarkastyczną odpowiedź. Nareszcie znalazł:

BRAWO! WILKI POŻERAJĄ SIĘ NAWZAJEM.

Rubaszow nie odpowiedział. Miał dość tej zabawy i zaczął znowu spacerować. Ale oficer pod 402 się rozgadał. Zastukał: RUBASZOW...

CO? odpowiedział Rubaszow.

Nr 402 jakby się ociągał; wreszcie przyszło dość długie zdanie:

KIEDY SPALIŚCIE OSTATNI RAZ Z KOBIETĄ?

Nr 402 zapewne nosi monokl; prawdopodobnie nim właśnie stuka, a obnażone oko mruga nerwowo. Rubaszow nie czuł odrazy. Ten człowiek przynajmniej pokazał siebie bez osłonek; to bardziej zabawne, aniżeli gdyby wystukiwał monarchistyczne manifesty. Rubaszow zastanawiał się przez chwilę, potem wystukał:

TRZY TYGODNIE TEMU.

Odpowiedź przyszła natychmiast:

OPOWIEDZCIE.

No, to już naprawdę za dużo dobrego. W pierwszej chwili Rubaszow chciał przerwać konwersację, ale przypomniał sobie, że ten człowiek może się kiedyś przydać jako ogniwo łączące z nr 400 i dalszymi celami. Cella po lewej stronie była najwyraźniej pusta. Łańcuch się tam urywał. Rubaszow wyteżył pamięć. Przypomniał sobie przedwojenną piosenkę, zasłyszaną za studenckich czasów w jakimś kabarecie, w którym panie w czarnych pończochach tańczyły francuskiego kankana. Westchnął z rezygnacją i wystukał binoklami:

PIERSI ŚNIEŻYSTE KSZTAŁTU CZAR OD SZAMPANA...

Miał nadzieję, że to będzie odpowiednia nuta. Widać trafił, bo Nr 402 nalegał:

DALEJ SZCZEGÓŁY.

Teraz na pewno skubie nerwowo wąsy. Musi mieć małe wąsy z podkreślonymi końcami. Niech go diabli wezmą; jedyne ogniwo łączności; trzeba z nim utrzymywać kontakt. O czym

oficerowie rozmawiają w kantine? O kobietach i koniach. Rubaszow wytarł binokle o rękaw i wystukał sumiennie:

UDA JAK U DZIKIEJ KLACZY.

Zatrzymał się, wyczerpany. Mimo najlepszej chęci, nie potrafił już nic więcej wymyśleć. Ale Nr 402 był bardzo zadowolony.

BYCZY Z WAS CHŁOP! wystukał z zachwytem. Na pewno śmieje się do rozpuku, choć nic nie słychać; bije się po udach i podkręca wąsa, choć nic nie widać. Bezosobowa nieprzyzwoitość niemej ściany stała się dla Rubaszowa żenująca.

DALEJ, nalegał Nr 402.

Już nie mógł. TO WSZYSTKO — wystukał Rubaszow i natychmiast pożałował. Nie wolno zniechęcać Nr 402. Ale na szczęście Nr 402 nie dawał się zniechęcić. Uparcie stukał monoklem:

DALEJ — PROSZĘ, PROSZĘ...

Rubaszow nabrał znowu wprawy na tyle, że nie musiał już liczyć uderzeń; przemieniał je automatycznie na głoski i słowa. Zdawało mu się, że słyszy nawet ton głosu, jakim Nr 402 prosi o dalszy materiał erotyczny. Prośba się powtórzyła:

PROSZĘ — PROSZĘ...

Nr 402 jest widać jeszcze młody — może wychowany na wygnaniu, pochodzący ze starej rodziny wojskowej, odesłany do tego kraju za fałszywym paszportem — i wyraźnie bardzo się męczy. Pewnie skubie swój mały wąsik, wsadził monokl z powrotem do oka i gapi się zrozpaczony na bieloną ścianę.

WIĘCEJ — PROSZĘ, PROSZĘ.

... Zrozpaczony gapi się na niemą, bieloną ścianę, na plamy od wilgoci, które powoli przybierają kształty kobiety z piersiami jak czary od szampana i udami dzikiej klaczy.

MÓWCIE JESZCZE — PROSZĘ.

Może kłęczy na pryczy ze złożonymi rękami — jak więzień z nr 408, który złożył dłonie, aby odebrać swoją porcję chleba.

I teraz nareszcie Rubaszow zrozumiał, co ten gest mu przypomniiał — błagalny gest chudych, wyciągniętych rąk. Pietà...

Pietà... Muzeum w jednym z miast Niemiec Południowych, w poniedziałek po południu. Poza Rubaszowem i młodzieńcem, z którym się spotyka, nie ma żywej duszy; rozmowa odbywa

się na okrągłej pluszowej kanapie, pośrodku pustej sali, której ściany są obwieszane tonami ciała kobiecego w wykonaniu mistrzów flamandzkich. Rok 1933, pierwsze miesiące terroru, tuż przed aresztowaniem Rubaszowa. Ruch poniósł klęskę, jego członkowie zostali wyjęci spod prawa, zaszczuci i zakatowani na śmierć. Partia przestała być organizacją polityczną; była już tylko tysiącramiennym i tysięcyłowym ciałem, spływającym krwią. Podobnie jak włosy i paznokcie człowieka rosną jeszcze po jego śmierci, tak i w poszczególnych komórkach, muskułach i członkach już umarłej Partii zdarzały się jeszcze jakieś odruchy.

Po całym kraju były rozsiane grupki ludzi, którzy przeżyli katastrofę i prowadzili dalej działalność podziemną. Spotykali się w piwnicach, lasach, na stacjach kolejowych, w muzeach, w klubach sportowych. Zmieniali ciągle miejsce noclegu, a także nazwiska i tryb życia. Znali się tylko z imion i nigdy nie pytali o adres. Życie każdego było w rękach partnera i nikt nikomu nie ufał ani na źdźbło. Wydawali broszury, w których usiłowali przekonać siebie i innych, że jeszcze żyją. Ażeby dowieść, że jeszcze żyją, przyczajali się nocą w ciasnych, podmiejskich ulicach i wypisywali na murach stare slogany. Ażeby dowieść, że jeszcze żyją, wdrapywali się o świcie na kominy fabryczne i rozwijali na nich starą flagę. Nieliczni tylko czytali te broszury i szybko je wyrzucali, bo słowa umarłych przejmowały ich zgrozą; gdy koguty piał, nie było już sloganów na murach i flagi z kominów były ściągnięte; ale zawsze wracały. Bo w całym kraju żyły grupki ludzi, którzy sami siebie nazywali „nieboszczykami na urlopie” i którzy resztę życia poświęcali udowadnianiu, że tego życia jeszcze nie stracili.

Pojedyncze grupy nie komunikowały się między sobą; powiązania nerwowe Partii były zerwane i każda grupa działała na swoją rękę. Stopniowo jednak zaczęły się wysuwać czułki. Z zagranicy przybywali poważni przedstawiciele firm z fałszywymi paszportami i walizkami o podwójnych dnach; byli to kurierzy. Zwykle wylapywano ich, poddawano torturom i ścinano; wchodzili na ich miejsce inni. Partia nie żyła, nie mogła się już ani ruszać, ani oddychać, ale jej włosy i paznokcie jeszcze rosły; przywódcy puszczali przez jej sztywne ciało prądy galwanizujące, które powodowały spazmatyczne skurcze członków.

Pietà... Rubaszow zapomniał o Nr 402 i odmierzał swoje sześć i pół kroku tam i sześć i pół kroku na powrót; widział siebie znowu w muzeum — które pachniało kurzem i woskiem — na okrągłej, pluszowej kanapie. Przyjechał na miejsce spotkania prosto z dworca i przybył o parę minut za wcześniej. Był

prawie pewien, że go nie śledzono. Walizkę z próbkami najnowszych narzędzi dentystycznych jakiejś holenderskiej firmy zostawił w garderobie. Siedzi teraz na okrągłej, pluszowej kanapie, przypatruje się przez binokle zwałom zwiotczającego ciała na ścianach i czeka.

Młodzieniec, nazywany Ryszardem, ówczesny przywódca grupy partyjnej w tym mieście, spóźnił się o kilka minut. Nigdy nie widział Rubaszowa ani Rubaszow jego. Przeszedł już dwie puste sale, kiedy dojrzał Rubaszowa siedzącego na okrągłej kanapie. Rubaszow trzymał na kolanach książkę, „Fausta” Goethego w wydaniu Reclam Universal. Młodzieniec zauważył książkę, szybko rozglądnięt się dokoła i usiadł koło Rubaszowa. Był dość nieśmiały, usiadł na brzegu kanapy, w odległości około pół metra od Rubaszowa, trzymając czapkę na kolanach. Był z zawodu ślusarzem i miał na sobie czarne, odświętne ubranie; wiedział, że bluza robocza zwróciłaby w muzeum uwagę.

— No — powiedział — przepraszam za spóźnienie.

— W porządku — rzekł Rubaszow. — Zróbmy wpierw przegląd waszych ludzi. Czy macie listę?

Młodzieniec, zwany Ryszardem, potrząsnął głową. — Nie noszę przy sobie list — odparł. — Mam wszystko w głowie — adresy i wszystko.

— Dobrze — rzekł Rubaszow. — Ale co będzie, jeśli was złapią?

— Na ten przypadek — powiedział Ryszard — dałem listę Anusi. Anusia to moja żona, wiecie.

Przerwał, przełknął ślinę i grdyka mu się poruszyła; dopiero wtedy spojrzął Rubaszowowi po raz pierwszy w twarz. Rubaszow zauważył że ma zapalenie oczu; lekko wystające gałki oczne pokrywała sieć czerwonych żyłek; mimo niedzielnego, czarnego ubrania szyja i policzki były nieogolone. — Anusię wczoraj aresztowali, wiecie — powiedział wpatrując się w Rubaszowa; i Rubaszow widział w jego oczach tępą, dziecinną nadzieję, że on, kurier Komitetu Centralnego, dokona cudu i pomoże.

— Ach tak? — rzekł Rubaszow i wytarł binokle o rękaw. — To znaczy, że lista jest w rękach policji.

— Nie — odpowiedział Ryszard — moja szwagierka była w mieszkaniu, jak po nią przyszli, wiecie, i Anusi udało się wetknąć jej tę listę. W jej rękach jest zupełnie bezpieczna, wiecie; to wprawdzie żona policjanta, ale nasz człowiek.

— Dobrze — rzekł Rubaszow. — Gdzieście byli, gdy aresztowali waszą żonę?

— To było tak — zaczął Ryszard. — Od trzech miesięcy, wicie, nie sypiam już w moim mieszkaniu. Mam kolegę, który jest operatorem w kinie; mogę chodzić do niego, a jak przedstawienie się skończy, to śpię w jego kabynie. Wchodzi się tam po schodkach strażackich prosto z ulicy. No i ma się kino za darmo... Przerwał i przełknął ślinę. — Anusia miała zawsze darmowe bilety przez tego kolegę, wicie, i jak światło gaśło, to odwracała głowę do kabiny projekcyjnej. Ona mnie wprowadzie widzieć nie mogła, ale czasem, jak na ekranie było bardzo jasno, to ja jej twarz widziałem całkiem wyraźnie...

Przerwał. Naprzeciwko niego wisiał „Sąd ostateczny”: cherubiny z loczkami i okrągłymi zadkami wlatywały w burzliwe niebo, trąbiąc na puzonach. Na lewo od Ryszarda wisiał piórkowy rysunek jakiegoś niemieckiego malarza; Rubaszow widział go tylko częściowo — resztę zasłaniała poręcz pluszowej kanapy i głowa Ryszarda — wąskie ręce Madonny, wzniesione do góry, zaokrąglone, tworzące jakby czarę, i kawałek nieba, pokryty poziomymi kreskami. Więcej nie mógł zobaczyć, bo głowa Ryszarda, kiedy mówił, tkwiła bez ruchu w jednej pozycji na lekko pochylonej, zaczerwienionej szyi.

— Naprawdę? — rzekł Rubaszow. — Ile lat ma wasza żona?

— Siedemnaście — odpowiedział Ryszard.

— Dzieci macie? — zapytał Rubaszow, unosząc lekko głowę, ale i teraz nie zobaczył więcej z rysunku.

— Pierwsze jest w drodze — rzekł Ryszard. Siedział bez ruchu, jakby był z ołowiu.

Zrobiła się przerwa, potem Rubaszow kazał mu przepowiedzieć listę członków Partii. Nazwisk było około trzynaście. Zadał mu kilka pytań i zapisał szereg adresów w książeczce zamówień dla holenderskiej firmy instrumentów dentystycznych. Wpisywał je w puste miejsca, pozostawione w długim spisie miejscowych dentystów i porządnym obywateli, który zestawiał według książki telefonicznej. Gdy z tym skończyli, Ryszard powiedział:

— Chciałbym wam teraz opowiedzieć pokrótce o naszej pracy, towarzyszu.

— Proszę — rzekł Rubaszow. — Słucham.

Ryszard opowiadał. Siedział w pozycji lekko pochylonej, niedaleko Rubaszowa, na wąskiej pluszowej kanapie, z rękami złożonymi na kolanach, w odświętnym ubraniu; przez cały ciąg sprawozdania nie zrobił ani jednego ruchu. O flagach rozwiniętych na kominach, o napisach na murach i broszurkach, rozrzucanych

w klozetach fabryk opowiadał w sposób sztywny i rzeczowy, jak buchalter zdający rachunki. Naprzeciwko niego aniołki grające na puzonach wlatywały w burzliwe niebo, za jego głową niewidzialna Maria Panna wyciągała swe wąskie ręce; ze wszystkich ścian gapiły się na nich olbrzymie piersi, uda i biodra.

Piersi kształtu czar od szampana, przypomniał sobie Rubaszow. Zatrzymał się na trzeciej czarnej tafli, licząc od okna celi, i chwilę nadśluchiwał, czy Nr 402 jeszcze stuka. Było zupełnie cicho. Rubaszow podszedł do judasza i spojrzał naprzeciwko na Nr 407, który wyciągnął ręce, aby wziąć chleb. Zobaczył szare, stalowe drzwi celi nr 407 z małym, czarnym judaszem. Światło elektryczne na korytarzu paliło się jak zawsze; było martwo i cicho; trudno było uwierzyć, że za tymi wszystkimi drzwiami żyją ludzie.

Gdy młodzieniec, którego zwano Ryszardem składał sprawozdanie, Rubaszow nie przerwał mu ani słowem. Z trzydziestu mężczyzn i kobiet, które Ryszard zebrał wokół siebie po katastrofie pozostało już tylko siedemnaścioro. Dwoje, pomocnik w fabryce ze swoją dziewczyną, rzuciło się z okna, kiedy po nich przyszli. Jeden uciekł — opuścił miasto, znikł bez śladu. Dwu podejrzewano, że są szpiegami policji, ale dowodów na to nie było. Trzech opuściło Partię na znak protestu przeciwko polityce Komitetu Centralnego; dwu z nich założyło nową grupę opozycyjną, trzeci przeszedł do Umiarkowanych. Pięciu zaaresztowano ubiegłego wieczoru, między nimi także Anusię; wiadomo było, że dwu z tych pięciu w każdym razie już nie żyje. Pozostało więc siedemnaścioro, aby nadal rozprowadzać broszurki i pisać na murach.

Ryszard opowiedział to wszystko bardzo szczegółowo, ażeby Rubaszow dokładnie zrozumiał wszystkie personalne powiązania i okoliczności, które miały szczególne znaczenie; nie wiedział, że Komitet Centralny miał w grupie swojego człowieka, który Rubaszowowi już dawno podał większość tych informacji. Nie wiedział także, że tym człowiekiem był właśnie jego kolega, operator filmowy, w którego kabinie sypiał; ani też, że ten człowiek był od dawna w bardzo poufanych stosunkach z Anusią, jego żoną, którą poprzedniego wieczoru zaaresztowano.

O tym wszystkim Ryszard nie wiedział; ale Rubaszow wiedział. Ruch był rozbity, ale Wydział Wywiadu i Kontroli jeszcze działał; była to może jedyna jeszcze działająca komórka i w tym czasie Rubaszow stał na jej czele. Odświętnie ubrany młodzieniec o byczym karku także i o tym nie wiedział; wiedział tylko,

że zabrano Anusię i że obowiązkiem było nadal roznosić broszurki i pisać na murach; i że Rubaszowowi, który jest członkiem Komitetu Centralnego Partii można ufać, jak własnemu ojcu; ale że nie wolno uzewnętrzniać swoich uczuć ani zdradzać słabości. Kto jest miękki i sentymentalny, nie nadaje się do roboty i trzeba się go pozbyć — wydalić z ruchu, skazać na samotność i ciemność świata zewnętrznego.

Na korytarzu słychać było zbliżające się kroki. Rubaszow podszedł do drzwi, zdjął binokle i przywarł okiem do judasza. Dwaj funkcjonariusze z rewolwerami przy pasach prowadzili przez korytarz młodego chłopca; za nimi szedł stary dozorca z pękiem kluczy. Chłop miał jedno oko podbite i zaschniętą krew na górnej wardze; przechodząc, wytarł rękawem zakrwawiony nos; twarz jego była płaska i bez wyrazu. Trochę dalej, w tym samym korytarzu, już poza polem widzenia Rubaszowa, otwarto a potem zatrzaśnięto jakieś drzwi. Potem funkcjonariusze i dozorca wrócili sami.

Rubaszow przechadzał się po swojej celi. Widział siebie siedzącego obok Ryszarda na okrągłej pluszowej kanapie; znowu miał odczucie ciszy, jaka zapadła, kiedy chłopak skończył sprawozdanie. Nie ruszał się; siedział z rękami złożonymi na kolanach i czekał. Siedział, jak ktoś, kto się wypowiadał i teraz czeka na wyrok ojca-spowiednika. Rubaszow przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Potem powiedział:

— Dobrze. Czy to wszystko?

Chłopak przytaknął; jabłko adamowe poruszyło się w górę i w dół.

— Jest wiele rzeczy niejasnych w waszym sprawozdaniu — rzekł Rubaszow. — Mówiliście kilkakrotnie o ulotkach i broszurkach, które robiliście sami. Znamy je i treść ich była ostro krytykowana. Jest tam kilka zdań, których Partia absolutnie nie może uznać.

Ryszard patrzył na niego z przerażeniem: zaczerwienił się. Rubaszow widział, jak skóra na kościach policzkowych się rozgrzała, a sieć czerwonych żyłek w zapalonych oczach przybrała ciemniejszą barwę.

— Z drugiej strony — ciągnął dalej Rubaszow — przysłałiśmy wam wielokrotnie do rozdziału nasz materiał drukowany, w tym specjalne kieszonkowe wydanie oficjalnego pisma Partii. Te przesyłki do was doszły.

Ryszard przytaknął. Żar z jego twarzy nie ustępował.

— Ale nie rozprzewadziliście tego materiału; nawet nie wspomnieliście o nim w waszym sprawozdaniu. Zamiast tego

rozdzielaliście materiał przygotowany przez was, bez kontroli i zgody Partii.

— A-ale przecież musieliśmy tak zrobić — wykrztusił Ryszard z najwyższym wysiłkiem. Rubaszow przyjrzał mu się uważnie przez binokle; nie zauważył przedtem, że chłopak się jąka. — Dziwne — pomyślał — to już trzeci przypadek w ciągu dwu tygodni. Ilość ułomnych w naszej Partii jest zadziwiająca. Może powodują to warunki, w jakich musimy pracować — a może też ruch sam sprzyja selekcji ułomnych...

— Z-zrozumcie, t-towarzyszu — mówił Ryszard z coraz większą rozpaczą — t-ton waszej propagandy był fałszywy, b-bo —

— Mówcie spokojnie — rzekł Rubaszow nagle bardzo ostrym tonem — i nie odwracajcie się w stronę drzwi.

Na salę wszedł wysoki młodzieniec w czarnym mundurze gwardii przybocznej reżymu ze swoją dziewczyną. Była to pulchna blondynka; trzymał ją za szerokie biodro, ona założyła mu ramię na szyję. Nie zwracali uwagi na Rubaszowa i jego towarzysza. Zatrzymali się przed trąbiącymi aniołami, stając tyłem do kanapy.

— Mówcie dalej — powiedział Rubaszow spokojnym, cichym głosem i automatycznie wyciągnął z kieszeni papierośnicę. Zaraz przypomniał sobie, że w muzeach nie wolno palić i schował ją z powrotem. Chłopak siedział, jak rażony prądem elektrycznym, i wpatrywał się w tamtą parę. — Mówcie dalej — rzekł Rubaszow spokojnie. — Czy jąkaliście się już jako dziecko? Odpowiadajcie i nie patrzcie w tamtą stronę.

— Cz-czasami — wykrztusił z wielkim trudem Ryszard.

Para sunęła wzdłuż rzędu obrazów. Zatrzymali się przed aktem jakiejś bardzo tłustej kobiety, leżącej na jedwabnej sofie i patrzącej wprost na widza. Mężczyzna zapewne powiedział coś śmiesznego, bo dziewczyna zachichotała i spojrzała przelotnie w stronę dwu postaci na kanapie. Znowu poszli trochę dalej, do martwej natury z bażantów i owoców.

— Cz-czy nie lepiej wyjść? — zapytał Ryszard.

— Nie — odpowiedział Rubaszow. Bał się, że jak tylko wstaną, chłopiec w podnieceniu zacznie się zachowywać podejrzanie. — Zaraz sobie pójdą. Siedzimy plecami do światła; nie widzą nas wyraźnie. Odetchnijcie kilka razy spokojnie głęboko. To pomaga.

Dziewczyna nie przestawała chichotać i para zbliżała się powoli do wyjścia. Przechodząc zwrócili się oboje w stronę Rubaszowa i Ryszarda. Mieli już wyjść ze sali, kiedy dziewczyna wskazała palcem piórkowy rysunek „Piety”; przystanęli,

aby mu się przyglądać. — Cz-czy to bardzo rażące, jak się jąkam? — zapytał Ryszard po cichu, wpatrując się w podłogę.

— Trzeba panować nad sobą — odrzekł krótko Rubaszow. Nie mógł pozwolić na jakąkolwiek poufałość w tej rozmowie.

— Z-za chwilę b-będzie lepiej — powiedział Ryszard, i jego grdyka znów się gwałtownie poruszyła. — Anusia zawsze się śmiała ze mnie z tego powodu, w-wiecie?

Jak długo para była na sali, Rubaszow nie mógł kierować rozmową. Plecy mężczyzny w mundurze przykuwały go do miejsca obok Ryszarda. Wspólne niebezpieczeństwo przemogło nieśmiałość chłopca; przysunął się nawet trochę bliżej Rubaszowa.

— Ale lubiła mnie na swój s-sposób — ciągnął dalej, szepcąc, z innym podnieceniem, jakby spokojniejszym. — N-nigdy właściwie nie wiedziałem dokładnie, o c-co jej chodzi. Dziecka nie chciała, a-ale nie mogła się go pozbyć. M-może jej nic nie robią, skoro jest w ciąży. T-to widać już zupełnie wyraźnie, w-wiecie. Jak myślicie, czy kobiety w ciąży biją t-także?

Brodą wskazał mężczyznę w mundurze. W tej samej chwili mężczyzna nagle obrócił głowę w stronę Ryszarda. Przez chwilę przyglądali się sobie. Młody człowiek w mundurze szepnął coś do dziewczyny; ona także się obróciła. Rubaszow znów chwycił za papierosnicę, ale tym razem wypuścił ją z ręki jeszcze w kieszeni. Dziewczyna powiedziała coś i pociągnęła młodzieńca za sobą. Bez pośpiechu wyszli razem z sali, mężczyzna raczej z ociąganiem. Znów było słyhać za drzwiami chichot dziewczyny i ich oddalające się kroki.

Ryszard odwrócił głowę i odprowadził ich wzrokiem. Dzięki temu ruchowi Rubaszow mógł lepiej zobaczyć rysunek; widział teraz cienkie ramiona Dziewicy aż po łokcie. Były chude, jak ramiona małej dziewczynki, unosiły się, jakby nie miały żadnej wagi, w stronę niewidzialnego krzyża.

Rubaszow spojrział na zegarek. Chłopak odsunął się od niego odrobinę.

— Musimy kończyć — rzekł Rubaszow. — Jeśli was dobrze rozumiem, powiedzieliście, że z rozmysłem nie rozprowadzaliście naszych materiałów, bo treść ich wam nie odpowiadała. Ale nam znowu nie odpowiadała treść waszych ulotek. Rozumiecie chyba towarzyszu, że z tego wynikają pewne konsekwencje.

Ryszard spojrział na niego zapalonymi oczami. Potem spuścił głowę. — W-wiecie przecież sami, że materiał, który przesyłaliście, roił się od głupstw — powiedział bezdźwięcznym głosem. Nagle przestał się jąkać.

— Nic o tym nie wiem — rzekł oschle Rubaszow.

— Pisaliście, jakby się nic nie stało — mówił Ryszard tym samym znudzonym głosem. — Rozbili Partię w puch, a wy wypisywaliście frazesy o naszej niezmierzłej woli zwycięstwa — takie same kłamstwa, jakich było pełno w komunikatach w czasie Wielkiej Wojny. Komukolwiek się to pokazywało, spulwał z pogardą. Chyba sami to wiecie.

Rubaszow przyjrzał się chłopakowi, który teraz siedział pochylony w przód, z łokciami na kolanach, brodę opierając na czerwonych pięściach. Odpowiedział sucho:

— Już po raz drugi przypisujecie mi poglądy, które są mi obce. Muszę was prosić, abyście więcej tego nie robili.

Ryszard spojrział na niego z niedowierzaniem zaczerwienionymi oczami.

— Partia przechodzi ciężki kryzys. Inne partie rewolucyjne przechodziły jeszcze cięższe. Czynnikiem decydującym jest niezłomna wola. Ktokolwiek się w tej chwili załamie albo zachwieje, nie należy do naszych szeregów. Ktokolwiek stwarza atmosferę paniki, oddaje usługę naszym wrogom. Nie ma żadnego znaczenia, jakie motywy nim kierują. Przez swoją postawę staje się niebezpieczny dla naszego ruchu i musi być odpowiednio potraktowany.

Ryszard ciągle jeszcze siedział z brodą opartą na pięściach, twarzą odwrócony do Rubaszowa.

— Więc stałem się niebezpieczny dla ruchu — rzekł. — Oddaję usługi wrogowi. Prawdopodobnie płacą mi za to. I Anusi także...

— W waszych ulotkach — ciągnął dalej Rubaszow tym samym oschłym tonem — przyznaliście się, że to wy byliście ich autorem — w waszych ulotkach często wracały takie zdania: ponieśliśmy klęskę, Partia przeszła przez katastrofę, musimy zacząć od początku i zmienić naszą politykę od podstaw. To jest defetyzm. To demoralizuje i paraliżuje ducha walki naszej Partii.

— Ja wiem tylko to — rzekł Ryszard — że ludziom trzeba mówić prawdę, bo i tak ją znają. Zgrywanie się przed nimi jest śmieszne.

— Ostatni Kongres Partyjny — Rubaszow prowadził rzecz dalej — stwierdził w swojej rezolucji, że Partia nie poniosła klęski, wykonała tylko odwrót strategiczny, i że nie ma najmniejszego powodu do zmiany poprzedniej linii politycznej.

— Bzdury — powiedział Ryszard.

— Jeśli tym tonem będziecie mówić dalej — stwierdził Ru-

baszow — to obawiam się, że będziemy musieli przerwać rozmowę.

Ryszard milczał przez chwilę. Na sali zaczęło się ściemniać, zarysy aniołów i kobiet na ścianach robiły się coraz bardziej niewyraźne i mgliste.

— Przepraszam — rzekł Ryszard. — Chciałem powiedzieć, że przywódcy Partii się mylą. Mówicie o „odwrocie strategicznym”, kiedy połowę naszych ludzi wybito, a reszta jest tak zachwycona tym, że jeszcze żyje, iż masami przechodzi na tamtą stronę. Tutaj nikt nie rozumie waszych rezolucji rozszczeplających włos na czworo, które wy, siedząc poza tym wszystkim, fabrykujecie...

Rysy Ryszarda zamazywały się w gęstniejącym półmroku. Zrobił przerwę, potem dodał:

— Przypuszczam, że Anusia także dokonała wczoraj „strategicznego odwrotu”. Proszę was, zrozumcie. My tutaj żyjemy, jak w dżungli...

Rubaszow czekał, czy zechce jeszcze coś powiedzieć, ale Ryszard milczał. Ściemniało się teraz gwałtownie. Rubaszow zdjął binokle i wytarł je o rękaw.

— Partia nie myli się nigdy — powiedział. — Wy możecie się pomylić i ja. Ale nie Partia. Partia, towarzyszu, to coś więcej, aniżeli wy i ja i tysiące innych takich, jak wy i ja. Partia to wcielenie idei rewolucyjnej w naszej historii. Historia nie zna skrupułów i wątpliwości. Nieporuszona i nieomylna dąży do swego celu. Na każdym zakręcie zostawia za sobą błoto, które do niej przylega i trupy topielców. Historia wie, czego chce. Nie robi błędów. Kto nie ma bezwzględnej wiary w historię, nie należy do szeregów Partii.

Ryszard nic nie odpowiedział: z głową opartą na pięściach nie odwracał swojej nieporuszonej twarzy od Rubaszowa. Ponieważ milczał, Rubaszow ciągnął dalej:

— Przeciwwstawiliście się rozprowadzeniu naszego materiału; zdusiliście głos Partii. Rozsyłaliście ulotki, których każde słowo było szkodliwe i fałszywe. Pisaliście: „Należy zebrać rozbitków ruchu rewolucyjnego i połączyć wszystkie siły wrogie tyranii; trzeba skończyć z naszymi starymi kłótniami wewnętrznymi i na nowo zacząć wspólną walkę”. To było złe. Partia nie śmie się łączyć z Umiarkowanymi. To właśnie oni w najlepszej wierze zdradzili nasz ruch niezliczoną ilość razy i zrobią to znowu przy najbliższej okazji i przy okazji, która się nadarzy po tej najbliższej. Kto idzie na kompromis z nimi, grzebie Rewolucję. Pisaliście: „Kiedy dom się pali, wszyscy muszą pomóc przy gaszeniu

pożaru: jeśli będziemy się nadal kłócić o doktrynę, spalimy się wszyscy razem doszczętnie". To było złe. Zwalczamy ogień wodą; tamci zwalczają go oliwą. Dlatego, zanim połączymy nasze straże, musimy wpiery ustalić jaki sposób jest słuszny: gaszenie wodą czy oliwą. W ten sposób nie można prowadzić polityki. Nie można robić polityki namiętnością i rozpaczą. Linia Partii jest dokładnie wytyczona, jak wąska ścieżka w górach. Najmniejsze odchylenie w prawo czy w lewo strąca nas w przepaść. Powietrze jest rozrzedzone: kto doznaje zawrotu głowy, jest stracony.

Mrok stał się tak gęsty, że Rubaszow nie mógł już rozpoznać rąk na rysunku. Dzwonek odezwał się dwukrotnie, ostro i przenikliwie; za kwadrans zamkną muzeum. Rubaszow spojrział na zegarek; wciąż jeszcze nie powiedział decydującego słowa, po którym będzie koniec wszystkiego. Ryszard siedział koło niego bez ruchu, z łokciami na kolanach.

— Tak, na to nie mam odpowiedzi — rzekł wreszcie, i znów jego głos był bezdźwięczny i zmęczony. — To na pewno prawda, co mówicie. I to o tej ścieżce górskiej, to bardzo piękne. Ale ja wiem tylko, że nas pobili. Ci, którzy jeszcze pozostali, opuszczają nas. Może dlatego, że na tej naszej górskiej ścieżce jest za zimno. Tamci — mają orkiestrę i wesołe sztandary i siedzą wokół pięknego, ciepłego ognia. Może dlatego wygrali. Może dlatego my idziemy na złamanie karku.

Rubaszow słuchał w milczeniu. Chciał wiedzieć, czy młodzieńiec ma jeszcze coś do powiedzenia, zanim on sam wygłosi zdanie ostateczne. Cokolwiek Ryszard by powiedział, wyrok się już nie zmieni: ale mimo to czekał.

Ciężka sylwetka Ryszarda coraz bardziej zacierала się w mroku. Odsunął się jeszcze dalej; siedział przygarbiony, z opuszczonymi barkami i twarzą prawie całkiem ukrytą w dłoniach. Rubaszow tkwił na kanapie wyprostowany i czekał. W górnej szczęce czuł lekki, ćmiący ból: prawdopodobnie dziurawy kieł. Po chwili usłyszał głos Ryszarda:

— Co teraz będzie ze mną?

Rubaszow namacał językiem bolący ząb. Czuł potrzebę dotknięcia go palcem, zanim wypowie wyrok, ale powstrzymał się. Powiedział spokojnie:

— Mam wam zakomunikować, Ryszardzie, że zgodnie z uchwałą Komitetu Centralnego, nie jesteście więcej członkiem Partii.

Ryszard się nie ruszał. Rubaszow znów czekał chwilę, zanim

wstał. Ryszard siedział nadal. Podniósł tylko głowę, spojrzął na niego i zapytał:

— Czy po to przyjechaliście?

— Głównie po to — rzekł Rubaszow. Chciał iść, ale wciąż jeszcze stał przed Ryszardem i czekał.

— Co teraz będzie ze mną? — zapytał Ryszard. Rubaszow nie odpowiedział. Po chwili Ryszard rzekł:

— Przypuszczam, że teraz nie mogę już korzystać z kabiny mego przyjaciela?

Rubaszow ociągał się przez chwilę, potem powiedział: —

— Raczej nie.

Natychmiast pożałował, że to powiedział i nie był pewny, czy Ryszard zrozumiał sens tego zdania. Spojrzął na ciągle siedzącą postać:

— Lepiej będzie, jeśli wyjdziemy stąd oddzielnie. Bądźcie zdrowi.

Ryszard wyprostował się, ale wciąż siedział. W półmroku Rubaszow mógł się domyślić wyrazu zapalonych, lekko wypukłych oczu; ale właśnie ten niewyraźny obraz niezgrabnej, siedzącej postaci wżarł mu się w pamięć na zawsze.

Opuścił salę i minął następną, tak samo pustą i ciemną. Kroki jego skrzypiały na parkietowej posadzce. Dopiero przy wyjściu uprzytomnił sobie, że zapomniał spojrzeć na obraz „Piety”; teraz pozostanie mu w pamięci tylko fragment złożonych rąk i części cienkich ramion aż po łokcie.

Zatrzymał się na schodach, prowadzących w dół do drzwi wejściowych. Ząb bolał teraz trochę ostrzej; na dworze było zimno. Owinął mocniej szyję wypłowiałym szarym szalem wełnianym. Latarnie na dużym, spokojnym placu przed muzeum już się paliły; o tej porze niewielu ludzi było na ulicy; przez aleję wysadzaną platanami jechał z łoskotem wąski tramwaj, dzwoniąc od czasu do czasu. Rubaszow myślał o tym, czy uda mu się dostać taksówkę.

Na ostatnim stopniu dogonił go zadyszany Ryszard. Rubaszow szedł dalej, nie przyśpieszając i nie zwalnając kroku, nie odwracając głowy. Ryszard był od niego o głowę wyższy i o wiele szerszy, ale szedł z pochylonymi plecami, usiłował się pomniejszyć przy boku Rubaszowa i iść małymi krokami. Zrównawszy się, powiedział:

— Czy to miało być ostrzeżenie, kiedy odpowiedzieliście „raczej nie” na zapytanie, czy mogę nadal mieszkać u mego przyjaciela?

Rubaszow ujrzał taksówkę, zbliżającą się z jasno płonącymi

lampami. Zatrzymał się na krawężniku i czekał, żeby podjechała. Ryszard stał obok niego. — Nie mam wam nic więcej do powiedzenia, Ryszardzie — rzekł i zawołał taksówkę.

— T-towarzyszu, p-przecież mnie nie z-zadenuncjujecie, towarzyszu... — wyjąkał Ryszard. Taksówka zwolniła, teraz była już tylko o jakieś dwadzieścia kroków od nich. Ryszard stał zgarbiony przed Rubaszowem; złapał go za rękaw palta i pochyliwszy się mówił mu teraz prosto w twarz; Rubaszow czuł jego oddech i lekka wilgoć pokryła mu czoło.

— Nie jestem wrogiem Partii — mówił Ryszard. — Nie możecie mnie zostawić wilkom na pożarcie, t-towarzyszu...

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku; kierowca na pewno usłyszał ostatnie słowa. Rubaszow obliczył szybko, że odsyłanie go nie miało sensu; parę kroków dalej stał policjant na stanowisku. Kierowca, mały, stary człowiek w kurtce skórzanej patrzył na nich obojętnie.

— Na dworzec — rzekł Rubaszow i wsiadł. Kierowca wyciągnął prawą rękę w tył i zatrzasnął za nim drzwi. Ryszard stał na krawężniku z czapką w ręku; grdyka biegła mu gwałtownie. Taksówka ruszyła; jechała w stronę policjanta. Rubaszow wolał się nie oglądać, ale wiedział, że Ryszard wciąż jeszcze stoi na krawężniku, wpatrując się w czerwone światła na tyle taksówki.

Parę minut jechali ruchliwymi ulicami; taksówkarz odwrócił się kilka razy, jakby się chciał przekonać, że jego pasażer nie znikł. Rubaszow zbyt mało znał miasto, aby wiedzieć, czy naprawdę jadą na stację. Ulice stawały się coraz mniej ruchliwe; przy końcu jakiejś szerokiej ulicy ukazał się masywny budynek z dużym oświetlonym zegarem; zatrzymali się przed stacją.

Rubaszow wysiadł; taksówki w tym mieście nie miały jeszcze liczników. — Ile? — zapytał.

— Nic — odpowiedział kierowca. Twarz miał starą i pomarszczoną; wyciągnął z kieszeni skórzanej kurtki brudny czerwony gałgan i ceremonialnie wytarł nim nos.

Rubaszow przyjrzał mu się uważnie przez binokle. Był pewien, że tej twarzy nigdy przedtem nie widział. Kierowca schował chustkę. — Takim jak pan, proszę pana, nigdy nic nie liczę — rzekł i zaczął coś majstrować koło hamulca. Nagle wyciągnął rękę. Była to ręka starego człowieka, ze zgrubiałymi żyłami i czarnymi paznokciami. — Szczęść wam Boże — powiedział, uśmiechając się raczej głupkowato do Rubaszowa. — Gdyby pana przyjaciel kiedykolwiek czegoś potrzebował — stoję zawsze koło muzeum. Może mu pan posłać mój numer.

Rubaszow spostrzegł, że po prawej stronie jakiś tragarz opierał się o latarnię i patrzył na nich. Nie podjął wyciągniętej ręki szofera. Wcisnął w nią monetę i bez słowa wszedł na dworzec.

Musiał godzinę czekać na odejście pociągu. W bufecie wypił jakąś podłą kawę; ząb mu dokuczał.

W pociągu zaczął drzeć i śniło mu się, że musi biec przed lokomotywą. W lokomotywie stali Ryszard i kierowca taksówki; chcieli go przejechać, bo oszukał ich na cenie przejazdu. Koła zbliżały się coraz bardziej i bardziej, a nogi odmawiały posłuszeństwa.

Obudził się z uczuciem mdłości i z zimnym potem na czole: współpasażerowie w przedziale przyglądali mu się z lekkim zdziwieniem. Na dworze była noc; pociąg pędził przez ciemny, wrogi kraj, sprawę z Ryszardem trzeba było doprowadzić do końca, ząb bolał.

W tydzień potem Rubaszowa aresztowano.

10

Rubaszow wsparł czoło o szybę i rzucił okiem w dół, na podwórze. Nogi go bolały i miał lekki zawrót głowy od krążenia tam i na powrót. Spojrzał na zegarek; za kwadrans dwunasta; przechadzał się po celi prawie cztery godziny bez przerwy, od chwili kiedy „Pietà” przypomniła mu się po raz pierwszy. Nie dziwiło go to; znał aż nadto dobrze więzienne marzenia na jawie, odurzające działanie bielonych ścian celi. Przypomniawsobie młodszego towarzysza, pomocnika fryzjerskiego z zawodu, który mu opowiadał, że w drugim, najgorszym roku siedzenia śnił z otwartymi oczami przez siedem godzin bez przerwy; w tym stanie zrobił dwadzieścia osiem kilometrów w celi długości pięciu kroków i nawet nie zauważył, że miał odparzone stopy.

Tym razem jednak naszło go to dosyć wcześniej; natóg schwycił go od razu już pierwszego dnia, gdy poprzednio zaczynało się to zwykle dopiero po kilku tygodniach. Zadziwiające było także, że myślał o przeszłości; chroniczni marzyciele na jawie roili w więzieniu przeważnie o przyszłości, o przeszłości zaś tylko w takiej postaci, jaką mogła być przybrać, a nigdy tej, w jakiej ją rzeczywiście przeżyli. Rubaszow był ciekaw, jakie jeszcze niespodzianki zgotuje mu jego aparat umysłowy. Wiedział z doświadczenia, że bliskość śmierci zawsze zmienia

mechanizm myślenia i powoduje najbardziej nieoczekiwane reakcje — na wzór ruchów kompasu w pobliżu pola magnetycznego.

Niebo ciągle było brzemienne śniegiem, który lada chwila miał spaść; w podwórzu, na oczyszczonej ścieżce, dwu mężczyzn odrabiało swój codzienny spacer. Jeden z nich spojrzał kilkakrotnie w górę, ku oknu Rubaszowa — prawdopodobnie rozeszła się już wiadomość o jego zaarrestowaniu. Był to człowiek wychudzony, z żółtą cerą i zajęczą wargą, w cienkim palcie deszczowym, które mocno obcisnął dokoła ramion, jakby mu było zimno. Drugi mężczyzna był starszy i otulił się w koc. W czasie spaceru nie rozmawiali z sobą, a po dziesięciu minutach przyszedł po nich funkcjonariusz w mundurze z pałką gumową i rewolwerem i zaprowadził ich z powrotem do budynku.

Drzwi, w których funkcjonariusz na nich czekał, znajdowały się dokładnie naprzeciwko okna Rubaszowa; zanim zamknęły się one za człowiekiem z zajęczą wargą, odwrócił głowę jeszcze raz i spojrzał w górę, w stronę Rubaszowa. Na pewno go nie widział, bo okna widziane z podwórza musiały być zupełnie ciemne; ale oczy jego zatrzymały się przez chwilę na szybach, jakby czegoś szukał. Widzę ciebie i nie znam cię; ty mnie nie widzisz a jednak wyraźnie znasz mnie, myślał Rubaszow. Usiadł na łóżku i zastukał do Nr 402.

KTO TO JEST?

Myślał, że Nr 402 jest chyba obrażony i nie odezwie się.

Ale oficer widać nie był pamiętliwy; odpowiedział natychmiast.:

POLITYCZNY.

Rubaszow zdziwił się; zdawało mu się, że chudy mężczyzna z zajęczą wargą musi być przestępcą.

Z WASZEGO RODZAJU? — zapytał.

NIE — **Z WASZEGO**, odstukał Nr 402, uśmiechając się prawdopodobnie z cichym zadowoleniem. Następne zdanie było głośniejsze — może wystukane monoklem.

ZAJĘCZA WARGA, MÓJ SĄSIAD, BYŁ WCZORAJ TORTUROWANY.

Rubaszow milczał przez chwilę i wytarł binokle o rękaw, choć nimi tylko stukał. Chciał wpierw zapytać „dlaczego”, ale zamiast tego wystukał:

JAK?

402 odstukał lakonicznie:

ŁAŻNIA PAROWA.

Rubaszowa kilkakrotnie bito w czasie pobytu w więzieniu, ale o tym sposobie wiedział tylko z opowiadań. Nauczył się, że

każda znana tortura była do wytrzymania; jeśli się wiedziało dokładnie z góry, co człowieka czeka, wszystko można było znieść, jak operację — na przykład, jak wyrwanie zęba. Naprawdę straszne było tylko to, czego się nie zna, to co nie dopuszczało możliwości przewidzenia własnej reakcji i obliczenia siły oporu. A najgorszy był strach, że w takim przypadku człowiek może zrobić czy powiedzieć coś, czego nie sposób będzie odwołać.

DLACZEGO? — zapytał Rubaszow.

NIEPOROZUMIENIA POLITYCZNE — odstukał Nr 402 ironicznie.

Rubaszow nałożył z powrotem binokle i poszukał w kieszeni papierośnicy. Zostały mu już tylko dwa papierosy. Potem zastukał:

A CO Z WAMI?

DZIĘKUJĘ, WSZYSTKO W PORZĄDKU... — odstukał Nr 402 i przerwał rozmowę.

Rubaszow wzruszył ramionami; zapalił przedostatniego papierosa i wrócił do przechadzki po celi. Dziwne, że to co go czekało przepełniało go niemal uciechą. Czuł, jak odstępuje go bezpłodna melancholia, jak głowa się rozjaśnia, jak nerwy się naprężają. Umył nad umywalką twarz, ramiona i piersi zimną wodą, wypłukał usta i wytarł się chustką do nosa. Zagwizdał parę taktów i uśmiechnął się — fałszował zawsze beznadziejnie, a nie dawniej niż kilka dni temu ktoś do niego powiedział: „Gdyby Nr 1 był muzykalny, już dawno miałyby pretekst, żeby was rozstrzelać”.

— I tak to zrobi — odpowiedział wtedy, nie wierząc w to, co mówi.

Zapalił ostatniego papierosa i z jasnym umysłem zaczął ustalać linię postępowania, gdy zawołają go na przesłuchanie. Czuł takie samo pogodne i spokojne zaufanie do samego siebie, jak wtedy, gdy jako student szedł na szczególnie trudny egzamin. Przypomniawszy sobie każdy szczegół dotyczący przedmiotu „łaźnia parowa”. Wyobraził sobie taką sytuację w każdym detalu i starał się rozpoznać doznania fizyczne, jakich należało się spodziewać, aby je pozbawić tajemniczości. Najważniejsze było nie dać się złapać znienacka. Wiedział teraz już z całą pewnością, że im się to nie uda, tak jak i innym się nie udało; wiedział, że nie powie niczego, czego nie zechce. Pragnął tylko, by już szybko zaczęli.

Przypomniawszy mu się sen: Ryszard i stary kierowca taksówki w pogoni za nim, bo uważali, że ich oszukał i zdradził.

Zapłacę, co jestem winien, myślał z niezręcznym uśmiechem.

Ostatni papieros już się dopalał, parzył palce, trzeba go było opuścić na ziemię. Już go chciał zdeptać, ale się rozmyślił; schylił się, podniósł go i powoli wcisnął żarzący się ogarek w wierzch ręki, między niebieskie wężyki żył. Wytrzymał ten zabieg dokładnie pół minuty, kontrolując czas na sekundniku zegarka. Był zadowolony z siebie: przez całe trzydzieści sekund ręka jego nie drgnęła ani razu. Wrócił do przechadzki.

Oko, które obserwowało go od kilku sekund przez otwór judasza, zniknęło.

11

Procesja obiadowa przeszła korytarzem; znowu ominięto celę Rubaszowa. Chciał sobie oszczędzić upokorzenia i nie wyglądał na korytarz, nie wiedział więc, co dawali na obiad, ale zapach jedzenia napełnił celę i był smakowity.

Rubaszow poczuł silną chęć zapalenia papierosa. Musiał jakoś zdobyć papierosy, aby móc się skupić; było to ważniejsze od jedzenia. Odczekał pół godziny po rozdaniu obiadu i zaczął bębnić w drzwi. Znowu minął kwadrans, zanim przyczłapał dozorca.

— Czego chcecie? — zapytał zwykłym, kwaśnym tonem.

— Papierosów z kantyny — rzekł Rubaszow.

— Czy macie bony więzienne?

— Odebrano mi pieniądze przy wejściu — stwierdził Rubaszow.

— To musicie czekać aż je wam zamienią na bony.

— Jak długo to trwa w waszej wzorowej instytucji? — zapytał Rubaszow.

— Możecie napisać skargę — brzmiała odpowiedź starego.

— Wiecie dokładnie, że nie mam ani papieru ani ołówka — rzekł Rubaszow.

— Na zakup materiałów piśmiennych potrzebne są bony — odpowiedział dozorca.

Po znanym ucisku w piersiach i uczuciu dławienia w gardle Rubaszow poznał, że traci panowanie nad sobą, ale wziął się w garść. Starzec zauważył, że oczy Rubaszowa błysnęły gwałtownie spoza binokli; przypomniało mu to oleodruki przedstawiające Rubaszowa w mundurze i szeroko rozpowszechnione za dawnych czasów; uśmiechnął się ze starczą złośliwością i cofnął o krok.

— Ty kupo gnoju — wyrzekł Rubaszow powoli, odwrócił się i stanął przy oknie.

— Złóż doniesienie, że użyliście ubliżających wyrazów — dosłyszał za sobą głos starego; potem drzwi się zatrzasnęły.

Rubaszow wytarł binokle o rękaw i czekał, póki jego oddech się nie uspokoi. Musi zdobyć papierosy, inaczej nie będzie mógł wytrzymać. Zmusił się do odczekania dziesięciu minut. Potem zastukał do Nr 402:

CZY MACIE TYTOŃ?

Musił chwilę czekać na odpowiedź. Nareszcie przyszła, wyraźnie i jasno wystukana:

NIE DLA WAS.

Rubaszow wrócił powoli do okna. Widział, jak młody oficer z podkreconym wąsikiem, z monoklem wetkniętym w oko, patrzy z głupim uśmiechem na ścianę, która ich dzieli; oko za soczewką jest jakby szklane, czerwona powieka wywrócona do góry. Co się w tej głowie dzieje? Prawdopodobnie myśli: Ale mu dałem. Może też: Ty łotrze, ilu moich ludzi zastrzeliłeś?

Rubaszow patrzył na białą ścianę; czuł, że tamten stoi za nią odwrócony do niego twarzą; zdawało mu się, że słyszy jego przyśpieszony oddech. Tak, ilu rozstrzelałem takich jak ty, ciekaw jestem? Naprawdę nie pamiętał; było to już dawno, dawno temu, w czasie wojny domowej, musiało ich być chyba z siedemdziesięciu albo stu. I co z tego? To było w porządku; to było w zupełnie innej płaszczyźnie, aniżeli przypadek Ryszarda, i dzisiaj zrobiłby zupełnie to samo. Nawet gdyby z góry wiedział, że rewolucja wysunie w końcu Nr 1 na czoło? Nawet wtedy.

Z tobą, myślał Rubaszow i patrzył na białą ścianę, za którą stał tamten — zapalił prawdopodobnie papierosa i dmuchał na nią dymem — z tobą nie mam żadnych rozrachunków. Tobie nic nie jestem winien. Ciebie i mnie nie łączy żadna wspólna moneta i żaden język polityczny... Czego chcesz teraz?

Bo Nr 402 zaczął znowu stukać. Rubaszow wrócił do ściany... **POSYŁAM WAM TYTOŃ**, usłyszał. Potem, już słabiej, słyszał, jak Nr 402 walił w drzwi, aby przywołać dozorcę.

Rubaszow wstrzymał oddech; po paru minutach usłyszał zbliżanie się człapiących kroków. Dozorca nie otworzył drzwi Nr 402, tylko zapytał przez otwór judasza:

— Czego chcecie?

Rubaszow nie słyszał odpowiedzi, choć bardzo byłby rad usłyszeć głos Nr 402. Potem starzec odpowiedział głośno, tak, aby Rubaszow mógł słyszeć:

— Nie wolno; to jest sprzeczne z regulaminem.

Znów Rubaszow nie dosłyszał odpowiedzi. Potem dozorca powiedział:

— Zrobię doniesienie, że użyliście ubliżających wyrazów. — Jego kroki pociągnęły się po kamiennych flizach i zgubiły się w korytarzu.

Przez chwilę trwała cisza. Potem Nr 402 zastukał:

MARNE WASZE WIDOKI.

Rubaszow nie odpowiedział. Chodził tam i z powrotem czując, jak pożądanie tytoniu drażni wysuszone tkanki gardła. Myślał o Nr 402.

— A jednak postąpiłbym znowu tak samo — powiedział do siebie. — To było potrzebne i słuszne. A może jestem ci jednak coś winien? Czy trzeba płacić także za to, co było słuszne i potrzebne?

Suchość w gardle się wzmacniała. Czuł ucisk na czole; chodził niespokojnie tam i na powrót i w trakcie rozmyślenia wargi zaczęły się same poruszać.

Czy trzeba płacić także za sprawiedliwe czyny? Czy istnieje jeszcze inna miara poza miarą rozsądku?

Może człowiek sprawiedliwy dźwiga najcięższy dług; jeśli by go zmierzyć tamtą, inną miarą? Może jego dług liczy się podwójnie — bo tamci inni nie wiedzieli, co czynią?...

Rubaszow zatrzymał się na trzeciej czarnej płycie od okna.

Co to? Tchnienie manii religijnej? Uprzytomnił sobie, że od kilku minut mówi półgłosem do siebie. A nawet teraz, kiedy siebie obserwował, jego usta, niezależnie od woli, poruszyły się i powiedziały:

— Zapłacę.

Po raz pierwszy od chwili swego aresztowania Rubaszow był przerażony. Poszukał papierosów. Ale nie miał już ani jednego.

Znów zaczęło się delikatne stukanie w ścianie nad łóżkiem. Nr 402 miał dla niego wiadomość:

ZAJĘCZA WARGA PRZESYŁA WAM POZDROWIENIA.

Przed oczyma stanęła mu żółta, wzniesiona w górę twarz mężczyzny: wiadomość wzbudziła w nim nieprzyjemne uczucie. Zastukał:

JEGO NAZWISKO?

Nr 402 odpowiedział:

NIE CHCE POWIEDZIEĆ. ALE PRZESYŁA WAM POZDROWIENIA.

W ciągu popołudnia Rubaszow czuł się jeszcze gorzej. Miał co pewien czas atak gorączki. Zaczął go także na nowo boleć ząb — prawy kieł, połączony z nerwem ocznym, orbitalis. Nie jadł nic od chwili aresztowania, ale głodu nie czuł. Próbował zebrać myśli, przeszkadzały mu w tym zimne dreszcze, wstrząsające ciałem i rosnące podrażnienie w gardle. Myśli obracały się na zmianę wokół dwu biegunów — rozpacznego pożądania papierosa i zdania: „zapłać”.

Zalały go wspomnienia; szumiały i brzęczały cicho w uszach. Twarze i głosy wypływały na powierzchnię i znów znikwały; każdy wysięk, aby zatrzymać któryś z tych obrazów, sprawiał mu ból: każde dotknięcie przeszłości było dolegające i przykre. Całe jego ubiegłe życie to był ruch, Partia; terażniejszość i przyszłość także należą do Partii, są nierozzerwalnie związane z jej losem; ale jego przeszłość jest po prostu przeszłością Partii. I oto nagle właśnie ta przeszłość stanęła pod znakiem zapytania. Ciepłe, oddychające ciało Partii zdawało się pokryte ranami — rozjątrzonymi ranami, krwawiącymi stygmatami. Kiedyż w historii i gdzie byli święci tak ułomni? Czy istniała kiedy jakaś dobra sprawa gorzej reprezentowana? Jeśli Partia stanowiła wcielenie woli historycznej, znaczy to, że sama historia była pełna błędów.

Rubaszow wpatrywał się w wilgotne plamy na ścianach celi. Zerwał koc z pryczy i owinął nim ramiona; przyśpieszył kroku i maszerował tam i na powrót krótkimi, szybkimi krokami, gwałtownie zavrcając przy drzwiach i przy oknie; ale dreszcze nie ustawały. Trwał szum w uszach, pomieszany z niewyraźnymi, miękkimi głosami; Rubaszow nie był w stanie rozpoznać, czy dochodzą one z korytarza czy też były to przywidzenia. To orbitalis, tłumaczył sobie; to ten złamany korzeń kła. Muszę jutro o tym powiedzieć doktorowi, ale tymczasem trzeba załatwić masę innych spraw. Trzeba znaleźć przyczynę niedomogów Partii. Wszystkie nasze założenia są dobre, ale nasze osiągnięcia są złe. Żyjemy w chorym stuleciu. Rozpoznaliśmy i chorobę i jej przyczyny z dokładnością mikroskopową, ale gdziekolwiek przyłożyliśmy lancet, pojawiły się nowe wrzody. Wola nasza była twarda i czysta, naród powinien nas być kochać. Zamiast tego naród nas nienawidzi. Dlaczego jesteśmy dla wszystkich wstrętni, przez wszystkich znienawidzeni?

Przyszliśmy do was z prawdą, ale w ustach naszych brzmiała ona jak kłamstwo. Daliśmy wam wolność, ale w rękach naszych

wygląda ona jak bicz. Przynieśliśmy wam nowe życie, a gdzie głos nasz się rozlegnie, drzewa usychają i słysząc tylko szelest zwiedłych liści. Przyszliśmy do was z obietnicą przyszłości, ale język nasz się plątał i słyszeliście tylko szczekanie...

Dygotał. Przed oczami stanął mu obraz, duża fotografia w drewnianej ramie: delegaci na pierwszy Kongres Partii. Siedzieli przy długim stole z drzewa, niektórzy wspierając się na łokciach, niektórzy trzymając ręce na kolanach; brodaci i poważni, wpatrywali się w soczewkę fotografa. Nad każdą głową było małe kółko z numerem, odnoszącym się do nazwiska wydrukowanego u dołu. Wszyscy byli uroczyści, tylko przewodniczący miał w skośnych, tatarskich oczach wyraz chytry i ubawiony. Rubaszow siedział drugi na prawo od niego, na nosie miał binokle. Nr 1 był gdzieś u końca stołu, kanciasty i ciężki. Wyglądali razem jak zebranie jakiejś prowincjonalnej rady miejskiej, a przygotowywali największą rewolucję w historii ludzkości. Stanowili wtedy garść ludzi zupełnie nowego gatunku: wojujący filozofowie. Byli tak obeznani z więzieniami każdego miasta europejskiego, jak komiwojażerowie z hotelami. Marzyli o władzy po to, by władzę obalić; o rządzeniu człowiekiem po to, by go odzwyczaić od tego, że się nim rządzi. Wszystkie ich myśli stały się czynem i wszystkie ich marzenia oblekły się w ciało. Gdzie są teraz? W każdym z tych mózgów, które przyczyniły się do zmiany biegu świata, tkwiła ołowiana kula. U niektórych w czole, u innych w karku. Pozostało ich już tylko dwu czy trzech, rozsianych po świecie, znużonych. I on, i Nr 1.

Był zmarznięty i marzył o papierosie. Widział siebie znów w starym porcie belgijskim, w towarzystwie wesołego Małego Loewy, który miał niewielki garb i palił rybacką fajkę. Poczł zapach portu, mieszaninę gnijących alg i nafty; posłyszał melodyjne uderzenie zegara na wieży starego domu cechowego, zobaczył wąskie uliczki z wysuniętymi piętrami domów, gdzie za dnia prostytutki portowe wywieszały z poddaszy upraną bieliznę.

Było to w dwa lata po sprawie z Ryszardem. W więzieniu nie zdołali Rubaszowowi niczego dowieść. Milczał, kiedy go bili, milczał, kiedy mu wytkukli zęby, naruszyli słuch i rozbili szkła. Milczał ciągle, zaprzeczał wszystkiemu wytrwale, ostrożnie i z zimną krwią kłamał. Chodził tam i z powrotem po swojej celi, czołgał się po kamieniach ciemnego karceru, bał się i ciągle pracował nad swoją obroną; a kiedy zimna woda przywracała go do przytomności, szukał tylko papierosa i znowu kłamał. Nie dziwiła go w tych dniach nienawiść tych, którzy go torturo-

wali i nie zastanawiał się nad tym, dlaczego wydaje im się tak wstrętny. Cały mechanizm prawny dyktatury zgrzytał zębami, a jednak nie mogli mu niczego dowieść. Po zwolnieniu odleciał samolotem do swego kraju — do ojczyzny Rewolucji. Odbywały się na jego cześć przyjęcia, radosne wiece i parady wojskowe. Nawet Nr 1 kilka razy pokazał się z nim publicznie.

Nie był w ojczyźnie przez wiele lat i uderzyły go zmiany, jakie się dokonały. Połowa brodatych mężczyzn z fotografii zniknęła. Nie wolno było wymieniać ich nazwisk, nie wolno było ich wspominać inaczej, jak wśród przekleństw — z wyjątkiem starca ze skośnymi, tatarskimi oczami, dawnego przywódcy, który zdołał umrzeć w porę. Czczono go jako Boga-Ojca, a Nr 1 jako jego Syna, ale szeptano pokątnie, że sfałszował testament starca, aby objąć dziedzictwo. Ci z brodaczy, uwiecznionych na fotografii, którzy jeszcze byli przy życiu, zmienili się nie do poznania. Nie nosili zarostu, byli znużeni i rozczarowani, pełni cynicznej melancholii. Od czasu do czasu Nr 1 sięgał po nową ofiarę spośród nich. Wtedy wszyscy bili się w piersi i chórem odmawiali pokutę za grzechy.

Po dwu tygodniach, kiedy jeszcze chodził o kulach, Rubaszow poprosił o nowe zadanie za granicą. „Coś wam się śpieszy”, powiedział Nr 1, przyglądając mu się zza obłoków dymu. Mimo dwudziestu lat wspólnego przywództwa w Partii ciągle byli ze sobą na stopie formalnej. Nad głową Nr 1 wisiał portret Starca; obok wisiała kiedyś fotografia z numerowanymi głowami, ale teraz znikła. Rozmowa była krótka, trwała tylko kilka minut, jednak na rozstanie Nr 1 ścisnął mu rękę szczególnie serdecznie. Rubaszow jeszcze długo potem rozmyślał nad znaczeniem tego uścisku i nad wyrazem dziwnie znaczącej ironii, z jaką Nr 1 przyglądał mu się spoza dymnej chmury. Rubaszow wykuszykał na swoich kulach z pokoju; Nr 1 nie odprowadził go do drzwi.

Następnego dnia wyjechał do Belgii. Na okręcie trochę odpoczął i zaczął myśleć o swoim zadaniu.

Mały Loewy z rybacką fajką wyszedł na jego powitanie. Był miejscowym przywódcą sekcji Partii, grupującej pracowników portowych; Rubaszow od razu go polubił. Loewy pokazywał przybyszowi doki i kręte uliczki portu z taką dumą, jakby je sam budował. W każdym barze miał znajomych: robotników portowych, marynarzy i prostytutki; wszędzie stawiano mu picie, a on pozdrawiał wszystkich podniesieniem fajki do ucha. Nawet policjant, regulujący ruch na rynku, mrugnął do niego, kiedy przechodzili, a towarzysze-marynarze z zagranicznych okrętów, którzy nie umieli się wyjęzyczyć, klepali go czule po garba-

tych plecach. Rubaszow patrzył na to wszystko z lekkim zdziwieniem. Nie, Mały Loewy nie był ani wstrętny ani zniechęcony. Sekcja pracowników portowych tego miasta była jedną z najlepiej zorganizowanych sekcji Partii na świecie.

Wieczorem Rubaszow, Mały Loewy i jeszcze kilku siedzieli w jednej z knajp portowych. Był z nimi niejaki Paweł, sekretarz organizacyjny sekcji. Był to ex-zapaśnik, łysy, ze śladami ospy, z dużymi, sterczącymi uszami. Pod paltem nosił czarny sweter marynarski, a na głowie czarny melonik. Potrafił ruszać uszami, podnosząc w górę melonik i opuszczając go znowu. Towarzyszył mu niejaki Bill, były marynarz, który napisał powieść na temat życia marynarzy, był sławny przez rok i został szybko zapomniany; teraz pisał artykuły dla pism partyjnych. Reszta to byli robotnicy portowi, mężczyźni mocni i szybko pijący. Ciągłe wchodzili nowi ludzie, siadali lub stawali przy stoliku, płacili za kolejkę trunków i odchodzili. Tłusty właściciel knajpy, gdy tylko miał chwilę wolną, dosiadał się do nich. Umiał grać na harmonijce. Piło się sporo.

Mały Loewy przedstawił Rubaszowa jako towarzysza „stamtąd”, nie dając żadnego dalszego objaśnienia. Mały Loewy był jedyny, który wiedział, kim on jest naprawdę. Ponieważ ludzie przy stoliku widzieli, że Rubaszow czy nie ma ochoty do zwierzenia się, czy też ma powody po temu, żeby nie mówić, nie zadawali zbyt wielu pytań, a te, które stawiali, odnosiły się do warunków życia „tam”, do płac, sprawy rolnictwa, rozwoju przemysłowego. Wszystko co mówili wskazywało na zadziwiająco znajomość szczegółów technicznych, która szła w parze z równie zadziwiającą nieznajomością sytuacji ogólnej i atmosfery politycznej „tam” panującej. Pytali o rozwój produkcji w lekkim przemyśle stalowym, jak dzieci, które się dopytują o dokładną wielkość winogron w Canaan.

Stary robociarz portowy, który przez dobrą chwilę stał przy barze i nie zamawiał nic do picia, póki Mały Loewy nie zaprosił go do nich na kieliszek, powiedział do Rubaszowa, uściśnawszy mu rękę: „Bardzo jesteście podobni do starego Rubaszowa”. „To mi już często mówiono”, odpowiedział Rubaszow. „Stary Rubaszow — to fajny facet”, rzekł starzec, wychylając kieliszek. Było to zaledwie w miesiąc po wypuszczeniu Rubaszowa na wolność i w niespełna sześć tygodni, od kiedy miał pewność, że będzie żył po tym wszystkim. Tłusty właściciel baru grał na harmonijce. Rubaszow zapalił papierosa i zamówił kolejkę dla wszystkich. Wypili jego zdrowie i zdrowie ludzi „stamtąd”, a sekretarz Paweł podniósł na uszach i opuścił melonik.

Później Rubaszow i Mały Loewy zostali w jakiejś kawiarni przez chwilę sami. Właściciel zaciągnął rolety, postawił krzesła na stołach i drzemał nad kontuarem. Wtedy Mały Loewy zaczął opowiadać Rubaszowowi historię swego życia. Rubaszow go o to nie prosił i od razu przewidywał, że jutro wynikną z tego komplikacje: nie mógł na to nic poradzić, że wszyscy towarzysze odczuwali gwałtowną potrzebę opowiadania mu swoich dziejów. Właściwie chciał iść, ale nagle poczuł się bardzo zmęczony — przeliczył się jednak ze swymi siłami. Został więc i słuchał.

Okazało się, że Mały Loewy nie pochodzi z tego kraju, choć włada językiem jak tubylec i choć zna wszystkich. Urodził się w jakimś mieście Niemiec Południowych, wyuczył się stolarstwa, grywał na gitarze i miewał odczyty o darwinizmie na wycieczkach niedzielnych klubu młodzieży rewolucyjnej. W niespokojnych miesiącach, poprzedzających dojście dyktatury do władzy, kiedy Partia odczuwała nagłą potrzebę broni, właśnie w tym mieście zainscenizowano bezczelny kawał: pewnej niedzieli, po południu, z gmachu policji w najbardziej ruchliwym punkcie miasta wywieziono ciężarówką pięćdziesiąt karabinów, dwadzieścia rewolwerów i dwa lekkie karabiny maszynowe wraz z amunicją. Ludzie z ciężarówki przedstawili jakiś rozkaz na piśmie, pokryty stemplami urzędowymi, i przyjechali w towarzystwie dwu rzekomych policjantów w prawdziwych mundurach. Później tę broń znaleziono w innym mieście przy przeszukiwaniu garażu, należącego do jednego z członków Partii. Sprawa się nigdy całkowicie nie wyjaśniła, a w dzień po tym zdarzeniu Mały Loewy znikł z miasta. Partia przyrzekła mu paszport i papiery osobiste, ale ta rzecz się nie udała. To znaczy, posłaniec wyższych sfer Partii, który miał mu doręczyć paszport i pieniądze na podróż, nie zjawił się w umówionym miejscu.

— Tak jest u nas zawsze — dodał Mały Loewy filozoficznie. Rubaszow milczał.

Mimo to Mały Loewy zdołał się wymknąć i jakoś przekroczyć granicę. Ponieważ wyszedł nakaz aresztowania go i ponieważ w każdej policji była wywieszona jego fotografia ze zniekształconymi plecami, przez kilka miesięcy musiał kluczyć po kraju. Kiedy wyruszył na spotkanie z towarzyszem z „wyższych kół”, miał w kieszeni pieniędzy akurat na trzy dni. „Zawsze myślałem, że tylko w książkach ludzie żują korę drzewną”, powiedział. „Najsmaczniejsze są młode platany”. To wspomnienie przynagliło go, aby wstać i pójść do kontuaru po parę kiełbasek. Rubaszowowi przypomniały się zupki więzienne i strajki głodowe, więc mu dotrzymał towarzystwa.

Wreszcie Mały Loewy przeszedł granicę francuską. Ponieważ nie miał paszportu, zaarrestowano go po kilku dniach, kazano przenieść się do innego kraju i zwolniono. „Równie dobrze mogli mi kazać pojechać na księżyc”, zauważył. Zwrócił się o pomoc do Partii; ale Partia w tym kraju nie знаła go i oświadczyła, że wpieryw musi zasięgnąć informacji w jego kraju rodzinnym. Poszedł więc dalej; po paru dniach znów go zaarrestowano i skazano na trzy miesiące więzienia. Odsiedział wyrok, a swemu towarzyszywi celi, jakiemuś włóczędze, zrobił cykl odczytów na temat rezolucji, uchwalonych przez ostatni Kongres Partynjny. Włóczęga w zamian za to wtajemniczył go w sposób łapania kotów i sprzedawania ich skór. Kiedy minęły trzy miesiące, odstawiono go w nocy do granicy belgijskiej. Żandarmi zaopatrzyli go w chleb, ser i paczkę francuskich papierosów. „Idź prosto przed siebie”, powiedzieli. „Za pół godziny będziesz w Belgii. Jeśli cię kiedykolwiek złapiemy tutaj, urwiemy ci łeb”.

Przez wiele tygodni Mały Loewy włóczył się po Belgii. Znowu zwrócił się o pomoc do Partii, ale odpowiedź była taka sama, jak we Francji. Ponieważ znudziły mu się płatany, więc spróbował handlu kocimi skórkami. Złapać kota było dość łatwo, a za jedną skórę, jeśli była z kota młodego i nieparszywego, otrzymywał równowartość połowy bochenka chleba i całej paczki tytoniu do fajki. Jednak między złapaniem a sprzedażą trzeba było dokonać dosyć nieprzyjemnej operacji. Jeszcze najszybciej szło, jeśli w jedną garść brało się uszy kota, w drugą ogon i łamało kręgosłup na kolanie. Z początku robiło się człowiekowi niedobrze; z czasem przyzwyczaił się i do tego.

Na nieszczęście po kilku tygodniach Małego Loewy znów zaarrestowano, bo w Belgii także wymagano dokumentów osobistych. W odpowiednich odstępach nastąpiło orzeczenie wydające z kraju, wypuszczenie, drugie aresztowanie, kryminal. A potem, pewnej nocy, żandarmi belgijscy odstawili go do lasu na granicy Francji. Dali mu chleba, sera i paczkę belgijskich papierosów. „Idź prosto”, powiedzieli. „Za pół godziny będziesz we Francji. Jeśli cię kiedykolwiek tutaj złapiemy, urwiemy ci łeb”.

W ciągu następnego roku przeschuglowano Małego Loewy trzy razy tam i z powrotem przez granicę, przy współudziale władz francuskich czy też belgijskich. Domyślał się, że tę samą zabawę uprawiano od lat z setkami takich, jak on. Jeszcze i jeszcze raz zgłaszał się do Partii, bo najwięcej zależało mu na tym, by nie stracić łączności z ruchem. „Nie otrzymaliśmy od waszej organizacji żadnego zawiadomienia o waszym przyjeździe”.

odpowiadano mu w Partii. „Musimy czekać na odpowiedź na nasze zapytania. Jeśli jesteście członkiem Partii, musicie się podporządkować dyscyplinie partyjnej”.

Tymczasem Mały Loewy dalej uprawiał handel kocimi skórami i dawał się przerzucać przez granicę tam i z powrotem. W tym samym czasie w jego kraju doszła do władzy dyktatura. Minął jeszcze jeden rok, i Mały Loewy był w troszkę gorszym stanie z przyczyny przymusowych podróży, zaczął pluć krwią i majaczyć o kotach. Przywidywało mu się, że wszystko pachnie kotami: jedzenie, fajka i nawet poczciwe stare prostytutki, które go czasem przygarniały. „Jeszcze nie nadeszła odpowiedź na nasze zapytania”, powiadano mu w Partii. Po dalszym roku okazało się, że wszyscy towarzysze, którzy by mogli byli udzielić potrzebnych informacji o Małym Loewy, zostali albo zabici, albo zamknięci, albo zniknęli bez śladu. „Niestety, nie możemy nic dla was zrobić”, powiedziała Partia. „Nie powinniście byli przychodzić bez oficjalnego zawiadomienia. Może nawet wyruszyliście bez pozwolenia Partii. Cóż my o tym wiemy? Wielu szpiegów i prowokatorów usiłuje wcisnąć się w nasze szeregi, Partia musi być ostrożna”.

„Po co mi o tym opowiadacie?”, zapytał Rubaszow. Żałował, że nie wyszedł wcześniej.

Mały Loewy napaścił sobie piwa z kurka i wykonał fajkę zwykły gest pozdrowienia. „Bo to pouczające”, powiedział. „Bo to typowy przykład. Mógłbym wam przytoczyć setki innych. W ten sposób wykończyliśmy w ciągu lat najlepszych spośród nas. Partia kamienieje coraz bardziej. Partia ma w każdym członku reumatyzm i żylaki. W ten sposób nie robi się rewolucji”.

Mógłbym coś więcej powiedzieć na ten temat, myślał Rubaszow, ale nic nie powiedział.

Historia Małego Loewy skończyła się jednak nieoczekiwanie dobrze. W czasie odsiadki jednego z niezliczonych wyroków dano mu na towarzysza celi eks-siłowca Pawła. W tym czasie Paweł był robotnikiem portowym; w więzieniu siedział za to, że podczas rozruchów strajkowych przypomniał sobie przeszłość siłowca i zastosował do policjanta chwyt znany pod nazwą podwójnego Nelsona. Polegało to na wsunięciu od tyłu rąk pod pachy przeciwnika, spleceniu ich na jego karku i przyginaniu jego głowy w dół tak długo, aż kręgi zaczynały trzeszczeć. Na arenie otrzymywał za to zawsze szumne oklaski, ale teraz dowiedział się z żalem, że w walce klas podwójny Nelson nie ma

zastosowania. Mały Loewy i eks-siłacz Paweł zaprzyjaźnili się ze sobą.

Okazało się, że Paweł jest sekretarzem administracyjnym Sekcji Pracowników Portowych Partii; kiedy ich wypuszczono, wystarał się dla Małego Loewy o papiery i robotę i przeprowadził ponowne włączenie do Partii. Mały Loewy mógł więc znowu wygłaszać odczyty dla robotników portowych na temat darwinizmu i ostatniego Kongresu Partii tak, jakby się nic nie stało. Był szczęśliwy, zapomniał o kotach i rozżaleniu na biurokratów Partii. Po pół roku został Sekretarzem Politycznym miejscowej sekcji. Tak więc wszystko skończyło się szczęśliwie.

I Rubaszow, choć czuł się stary i zmęczony, życzył sobie z całego serca, aby rzeczywiście skończyło się szczęśliwie. Ale wiedział dokładnie po co go tutaj przysłano, a nie nauczył się w życiu tylko jednej cnoty rewolucyjnej, to znaczy cnoty samookłamywania. Spokojnie przypatrywał się Małemu Loewy przez binokle. I kiedy Mały Loewy, nie rozumiejąc sensu tego spojrzenia i czując lekkie zażenowanie pozdrowił go fajką, Rubaszow myślał o kotach. Z przerażeniem zauważył, że nerwy go zawodziły i że być może wypił za dużo, bo nie mógł się uwolnić od obsesji, iż powinien schwytać Małego Loewy za uszy i za nogi i razem z tymi zniekształconymi plecami przełamać na kolanie. Czuł się niedobrze i wstał, aby wyjść. Mały Loewy odprowadził go do domu; domyślał się, że Rubaszow miał atak depresji i milczał pełen szacunku.

W tydzień później Mały Loewy się powiesił.

Między tym wieczorem a śmiercią Małego Loewy mieścił się szereg zupełnie niedramatycznych zebrań komórki partyjnej. Rzecz była całkiem prosta.

Dwa lata temu Partia zwróciła się z wezwaniem do robotników całego świata, aby przez stosowanie bojkotu politycznego i ekonomicznego zwalczali nową dyktaturę, która się ustaliła w samym sercu Europy. Nie powinno się kupować towarów przychodzących z kraju wroga, nie powinno się przepuszczać żadnych transportów dla jego olbrzymiego przemysłu zbrojeniewego. Poszczególne sekcje Partii wykonały ten nakaz z zapałem. Robotnicy portowi w tym małym porcie odmówili ładowania czy rozładowania transportów, przybywających z tego kraju czy przeznaczonych dla niego. Dołączyły się do nich inne związki

zawodowe. Podtrzymanie takiego strajku było trudne; dochodziło do starć z policją, w których byli ranni i zabici.

Jeszcze nie było wiadomo, jak się ta walka skończy, kiedy zawinęła do portu mała flota, złożona z pięciu dziwnych, przestarzałych, czarnych transportowców. Każdy z nich nosił imię jednego z wielkich przywódców Rewolucji, pięknie wymalowane na rufie dziwacznymi literami, których używa się „tam”, a z ich masztów powiewała rewolucyjna flaga. Strajkujący robotnicy powitali je entuzjastycznie. Natychmiast zabrali się do rozładowywania transportu. Po kilku godzinach wyszło na jaw, że transport składał się z pewnych rzadkich kruszców i był przeznaczony dla przemysłu wojennego kraju pod bojkotem.

Sekcja pracowników portowych zwołała natychmiast zebranie zarządu, na którym doszło do bójki. Spór objął ruch całego kraju. Prasa reakcyjna wykorzystywała z szyderstwem ten incydent. Policja zaprzestała usiłowań złamania strajku, ogłosiła neutralność i pozostawiła samym robotnikom portowym rozstrzygnięcie, czy wyładują transport dziwnej czarnej floty, czy też nie. Przywództwo Partii odwołało strajk i nakazało wyładować transport. Na usprawiedliwienie kroku Ojczyzny Rewolucji przytaczało rozsądne tłumaczenia i chytne argumenty, ale przekonało tylko niewielu. W sekcji nastąpił rozłam; większość starych członków wyszła. Przez wiele miesięcy Partia była tylko cieniem siebie, ale powoli, w miarę rosnącej nędzy w przemyśle, zaczęła odzyskiwać siły i popularność.

Minęły dwa lata. Inna głodna dyktatura na południu Europy zaczęła wojnę dla rabunku i podboju w Afryce. Znowu Partia zarządziła bojkot. Tym razem odzew był bodaj jeszcze bardziej entuzjastyczny, niż poprzednio. Bo tym razem same rządy prawie wszystkich krajów na świecie postanowiły odciąć napastnikowi dopływ surowców.

Bez surowców, a zwłaszcza bez nafty, napastnik był stracony. Taki był stan rzeczy, kiedy znów wyruszyła w podróż dziwna, mała, czarna flota. Największy z jej statków nosił imię człowieka, który podnosił głos przeciwko wojnie i który został zabity; na masztach powiewały flagi Rewolucji, a na dnie spoczywała ropa, przeznaczona dla napastnika. Flotę dzielił od portu tylko jeden dzień podróży, a Mały Loewy i jego przyjaciele jeszcze nic nie wiedzieli o tym, że się zbliża. Zadaniem Rubaszowa było ich na to przygotować.

Pierwszego dnia nic nie powiedział — badał tylko teren. Drugiego dnia rano zaczęła się dyskusja w lokalu zebrania Partii. Był to duży, nagi, nieporządkny pokój, umeblowany z tym

brakiem staranności, dzięki któremu biura Partii w każdym mieście wydają się bliźniaczo podobne. Jest to skutek częściowo biedy, głównie jednak ascetycznej i ponurej tradycji. Ściany pokrywały stare plakaty wyborcze, slogany polityczne i ogłoszenia pisane na maszynie. W jednym kącie stał stary, zakurzony powielacz. W drugim leżała kupa starych ubrań, przeznaczonych dla rodzin strajkujących; obok tego stopy żółknących ulotek i broszur. Długi stół składał się po prostu z dwu równoległych desek, położonych na kozłach. Okna były zamazane farbą, jak w niewykończonym budynku. Nad stołem zwisała z sufitu goła żarówka na sznurku, a obok niej lep na muchy. Dokoła stołu siedzieli: garbaty Mały Loewy, były atleta Paweł, pisarz Bill i jeszcze trzech innych.

Rubaszow mówił dłuższą chwilę. Otoczenie było mu znajome; dzięki jego tradycyjnej szpetocie czuł się w nim jak w domu. W tym otoczeniu był od nowa w pełni przekonany o potrzebie i użyteczności swojej misji i nie rozumiał, dlaczego poprzedniego wieczora w kawiarni miał jakieś skrupuły. Obiektywnie i nie bez pewnego zapału tłumaczył prawdziwy stan rzeczy, nie wyłuszczając jeszcze właściwych powodów swego przybycia. Bojkot światowy napastnika nie udał się z powodu obłudy i żarłoczności rządów europejskich. Niektóre z nich podtrzymywały jeszcze pozory bojkotu, inne już nawet tego nie robiły. Napastnik potrzebował nafty. Dawniej Kraj Rewolucji zaspakajał znaczną część tych potrzeb. Jeśli wstrzyma teraz dostawę, inne kraje natychmiast wskoczą łączywie w tę lukę: właściwie czekają tylko na to, by Kraj Rewolucji zepchnąć z rynków światowych. Romantyczne gesty utrudniłyby więc tylko rozwój przemysłu „tam”, a wraz z tym ruchu rewolucyjnego na całym świecie. Wniosek jest więc jasny.

Paweł i trzech robociarzy portowi przytaknęli. Byli to ludzie myślący powoli; wszystko co mówił towarzysz „stamtąd”, brzmiało przekonująco; był to oczywiście wywód czysto teoretyczny, nie mający dla nich bezpośredniego znaczenia. Nie wiedzieli o co mu konkretnie chodziło; żadnemu z nich nie przyszła na myśl czarna flotylla, zbliżająca się do portu. Tylko Mały Loewy i pisarz o skurczonej twarzy szybko spojrzeli na siebie. Rubaszow to zauważył. Zakończył odrobinę oschlej, bez ciepła w głosie:

— To wszystko co mam wam do powiedzenia, jeśli chodzi o zasadę. Oczekujemy, że wykonacie postanowienia KC i wytłumaczycie mniej politycznie rozwiniętym towarzyszom wszystkie

za i przeciw tej sprawie, jeśliby który z nich miał jakieś wątpliwości. Tymczasem nie mam nic więcej do powiedzenia.

Przez chwilę była cisza. Rubaszow zdjął binokle i zapalił papierosa. Mały Loewy swobodnym tonem powiedział:

— Dziękujemy przedmówcy. Czy ktokolwiek ma jakieś pytania?

Nikt się nie zgłosił. Po chwili jeden z trzech robotników portowych powiedział niezgrabnie:

— Nie ma chyba o czym mówić. Towarzysze „tam” wiedzą chyba, co robią. My, oczywiście, musimy dalej prowadzić bojkot. Możecie nam ufać. Z naszego portu nic się do tych świni nie przedostanie.

Jego dwaj koledzy przytaknęli. Atleta Paweł potwierdził: — Stąd — nic — zrobił groźną minę i dla kawału poruszał uszami.

Rubaszow przez chwilę przypuszczał, że znalazł się w obliczu grupy opozycyjnej; powoli zaczął pojmować, że tamci nie rozumieli, o co mu chodzi. Spojrzał na Małego Loewy w nadziei, że wyjaśni nieporozumienie. Ale Mały Loewy miał oczy spuszczone i milczał. Nagle pisarz powiedział z nerwowym tikiem:

— Czy nie moglibyście tym razem wybrać sobie innego portu dla waszych drobnych transakcji? Czy musi to zawsze spadać na nas?

Robotnicy spojrzeli na niego zdziwieni; nie rozumieli, co nazywa „transakcją”; myśl o małej, czarnej flocie, która przez mgłę i dym zbliżała się ku ich wybrzeżom, była od nich dalsza niż kiedykolwiek. Ale Rubaszow był przygotowany na to pytanie:

— Ten port jest zarówno politycznie, jak i geograficznie najbardziej wskazany — powiedział. — Stąd towar pójdzie dalej drogą lądową. Oczywiście nie mamy powodu do ukrywania czegokolwiek: niemniej będzie lepiej, jeśli się uniknie sensacji, którą prasa reakcyjna mogłaby wykorzystać.

Pisarz znów szybko spojrzął na Małego Loewy. Dokerzy patrzyli na Rubaszowa, nic nie rozumiejąc; widziało się, jak powoli usiłują rozgryźć o co idzie. Nagle Paweł odezwał się zmienionym, ochrypłym głosem:

— O czym wy właściwie mówicie?

Wszyscy zwrócili oczy na niego. Kark mu nabiegł krwią, patrzył na Rubaszowa wytrzeszczonymi oczami. Mały Loewy zrobił powściągliwą uwagę:

— Dopiero teraz zauważyłeś?

Rubaszow spojrział wpierv na jednego, potem na drugiego i rzekł spokojnie:

— Opuściłem szczegóły. Pięć transportowców Komisariatu Handlu Zagranicznego powinno przybyć tutaj jutro rano, jeśli pogoda dopisze.

Nawet teraz minęło jeszcze kilka minut, zanim wszyscy zrozumieli. Nikt się słowem nie odezwał. Wszyscy patrzyli na Rubaszowa. Potem Paweł podniósł się powoli, cisnął czapką o ziemię i wyszedł z pokoju. Dwu z kolegów oglądnęło się za nim. Nikt nie mówił. Potem Mały Loewy odchrząknął i rzekł:

— Towarzysz-mówca wytłumaczył nam właśnie powody tej transakcji: jeśli oni nie dostarczą towaru, ktoś inny to zrobi. Kto chce jeszcze mówić?

Robotnik, który odezwał się przed chwilą, poprawił się na krześle i powiedział:

— Znamy tę piosenkę. Jak jest strajk, to zawsze się znajdują tacy, którzy mówią: jeśli nie pójdę do pracy, to inni mi ją zabiorą. Dość się tego nasłuchaliśmy. Tak mówią łamistrajki.

Znowu nastąpiła przerwa. Słysząc było, jak na zewnątrz zatrzasnęły się drzwi za Pawłem. Potem Rubaszow powiedział:

— Towarzysze, sprawy naszego rozwoju przemysłowego „tam” idą przed wszystkim innym. Sentymentalizm nie doprowadzi nas do niczego. Namyślcie się.

Robotnik wysunął brodę naprzód i powiedział:

— Jużeśmy się namyślili. Mamy tego dosyć. Wy „tam” musicie dawać przykład. Cały świat od was tego oczekuje. Gadacie o solidarności, o poświęceniu i dyscyplinie, a jednocześnie używacie swojej floty do zwykłego łamania strajku.

W tym miejscu Mały Loewy podniósł nagle głowę; był błydy; pozdrowił Rubaszowa fajką i rzekł cicho i bardzo szybko:

— To co towarzysz powiedział, jest to także i moje zdanie. Czy ktokolwiek ma jeszcze coś do powiedzenia? Posiedzenie jest skończone.

Rubaszow wykuszytykał na kulach. Wypadki potoczyły się przepisową i niechybną koleją. Podczas gdy staroświecka flota zawijała do portu, Rubaszow wymienił kilka telegramów z odpowiednimi władzami „tam”. Po trzech dniach przywódcy sekcji robotników portowych zostali wydaleny z Partii, a Mały Loewy napiętnowany w oficjalnym organie Partii jako *agent provocateur*.

Po dalszych trzech dniach Mały Loewy się powiesił.

Noc była jeszcze gorsza. Rubaszow do świtu nie zmrużył oka. Dreszcze wstrząsały nim w regularnych odstępach czasu; ząb mocno pulsował. Zdawało mu się, że wszystkie komórki skojarzeniowe jego mózgu były obolałe i zapalone; a mimo to znajdował się jakby pod bolesnym przymusem wywoływania obrazów i głosów. Myślał o młodym Ryszardzie w odświętym, czarnym ubraniu, z zaczerwienionymi oczyma: „Nie możecie mnie przecież rzucić wilkom na pożarcie, towarzyszu...”. Myślał o małym, ułomnym Loewy: „Kto jeszcze ma coś do powiedzenia...”.

Tak wielu miałoby coś do powiedzenia. Bo ruch nie czuł skrupułów; zdązał do celu niewzruszony, a trupy topielców zostawiał na zakrętach drogi. Droga ta była pełna załamania i zakrętów; takie było prawo istnienia ruchu. Ktokolwiek nie był w mocy iść jego zygzakowatym szlakiem, był wyrzucany na brzeg, bo takie jest prawo obowiązujące w ruchu. Motywy jednostki nie mają dla niego znaczenia. Jej sumienie go nie obchodzi ani nie troszczy się on o to, co się dzieje w głowie i sercu pojedynczego człowieka. Partia zna tylko jedną zbrodnię: odchylenie od wytyczonego kursu, i tylko jedną karę: śmierć. Śmierć nie jest dla ruchu czymś tajemniczym; nie ma w sobie nic wzniosłego: jest logicznym rozwiązaniem różnic politycznych.

Dopiero w pierwszych godzinach ranka Rubaszow zasnął wyczerpany na swojej pryczy. I tym razem obudziła go trąbka, zapowiadając nowy dzień; wkrótce potem przyszedł po niego stary dozorca z dwoma funkcjonariuszami w mundurze, aby go zaprowadzić do doktora.

Rubaszow liczył na to, że uda mu się przeczytać kartki z nazwiskami na drzwiach celi, zajętej przez Zajęczą Wargę i celi nr 402, ale poprowadzono go w odwrotnym kierunku. Cella po prawej stronie była pusta. Była to jedna z ostatnich w tym końcu korytarza; skrzydło cel izolacyjnych było odcięte ciężkimi betonowymi drzwiami, które stary otworzył po długich zachodach. Szli teraz przez długą galerię; Rubaszow i stary dozorca z przodu, dwaj umundurowani z tyłu. Tutaj kartki na drzwiach każdej celi zawierały szeregi nazwisk; z cel dochodziły głosy rozmów, śmiech a nawet śpiew; Rubaszow domyślił się od razu, że znaleźli się w oddziale dla drobnych przestępców.

Minęli fryzjernię, której drzwi stały otworem; gołono właśnie jakiegoś więźnia o ostrym, ptasim profilu starego skazańca;

dwóm chłopom golono głowy: wszyscy odwrócili się z zaciekawieniem, gdy Rubaszow przechodził w towarzystwie eskorty. Doszli do drzwi, na których widniał czerwono namalowany krzyż. Dozorca zapukał grzecznie i wszedł wraz z Rubaszowem; umundurowani czekali na zewnątrz.

Przychodnia była mała i nieprzewietrzona; czuć było karbol i tytoń. Wiadro i dwie miski były po brzegi zapełnione tamponami waty i brudnymi bandażami. Lekarz siedział przy stole, odwrócony do nich tyłem, czytał gazetę i zjadał chleb ze smalcem. Gazeta leżała na stosie instrumentów, szczypic i strzykawek. Kiedy dozorca zamknął drzwi, lekarz powoli się odwrócił. Był łysy i miał wyjątkowo małą czaszkę, pokrytą białym puchem, który Rubaszowowi przypominał strusia.

— Mówi, że boli go ząb — powiedział starzec.

— Ząb? — rzekł lekarz, nie patrząc na Rubaszowa. — Otwórzcie usta, szybko.

Rubaszow spojrział na niego przez szkła.

— Chciałbym zaznaczyć, że jestem więźniem politycznym i mam prawo do poprawnego traktowania.

Lekarz zwrócił się do dozorca:

— Co to za ptaszek?

Dozorca wymienił nazwisko Rubaszowa. Rubaszow poczuł jak okrągłe, strusie oczy zatrzymały się na nim przez sekundę. Potem lekarz powiedział:

— Macie spuchnięty policzek. Otwórzcie usta.

W tej chwili Rubaszow nie czuł bólu zęba. Otworzył usta.

— Po lewej stronie górnej szczęki nie macie już w ogóle zębów — rzekł lekarz, wsadzając palec do ust Rubaszowa. Nagle Rubaszow zbladł i musiał się oprzeć o ścianę.

— To to — stwierdził lekarz. — Korzeń prawego kła jest odłamany i został w szczęce.

Rubaszow odetchnął głęboko raz po raz. Ból pulsował od szczęki do oka i przenikał w tył czaszki. Każdy przyływ krwi zaznaczał się jako pojedyncze uderzenie, powtarzające się w regularnych odstępach.

Lekarz usiadł znowu i rozłożył gazetę. — Jeśli chcecie, mogę wam ten korzeń wyrwać — rzekł, odgryzając kawałek chleba ze smalcem. — Nie mamy tutaj oczywiście żadnych środków znieczulających. Operacja może potrwać od pół do całej godziny.

Rubaszow słyszał głos lekarza jak przez mgłę. Oparł się o ścianę i oddychał głęboko. — Dziękuję — powiedział. — Nie teraz. Myślał o Zajęcej Wardze, „łaźni parowej” i śmiesznym

wczorajszym odruchu, kiedy zagasił papierosa na swojej ręce. Będzie niedobrze, pomyślał.

Wróciwszy do celi, rzucił się na pryczę i natychmiast zasnął.



Kiedy roznoszono zupę w południe, już go nie pominięto; od tego czasu regularnie otrzymywał posiłki. Ból zęba osłabł i nie przekraczał granicy wytrzymałości. Rubaszow miał nadzieję, że wrzód przy korzeniu pękł sam.

W trzy dni później zaprowadzono go po raz pierwszy na przesłuchanie.

14

Była godzina jedenasta rano, kiedy przyszli po niego. Z uroczystej miny dozorca Rubaszow domyślił się od razu, dokąd idą. Poszedł z nim z pogodną niedbałością, jaka zawsze spadała na niego w chwilach niebezpieczeństwa, niby nieoczekiwany dar łaski. Szli tą samą drogą, co trzy dni temu do lekarza. Betonowe drzwi znowu się otworzyły i zatrzasnęły. Dziwne, myślał Rubaszow, jak szybko człowiek się przyzwyczaja do życia w atmosferze napięcia; zdawało mu się, że powietrzem tego korytarza oddycha już od lat, że duszna atmosfera wszystkich więzień, które kiedykolwiek poznał, była właśnie tutaj skoncentrowana.

Przeszli koło fryzjera i minęli drzwi lekarza, które były zamknięte; stało przed nimi trzech więźniów, pod strażą zaspanego dozorca, czekając na swoją kolejkę.

Poza drzwiami doktora zaczynał się teren Rubaszowowi jeszcze nieznanym. Zeszli kręconymi schodami, prowadzącymi do podziemi. Co może być tam na dole — składy, cele karne? Rubaszow usiłował odgadnąć, zainteresowany jak ekspert. Wygląd tych schodów wzbudził w nim niemiłe uczucie.

Minęli wąskie podwórko bez okien; był to ślepy kanał, dość ciemny, ale rozpięta nad nim otwarte niebo. Po drugiej stronie podwórka korytarze były pogodniejsze; drzwi nie były już z betonu, ale z malowanego drzewa i miały metalowe klamki; funkcjonariusze mijali ich w pośpiechu; za jakimiś drzwiami grało radio; za innymi stuknęła maszyna do pisania. Był to wydział administracyjny.

Zatrzymali się przed ostatnimi drzwiami, na końcu korytarza;

dozorca zapukał. W pokoju ktoś rozmawiał przez telefon; jakiś spokojny głos zawołał: „Chwileczkę, proszę” i dalej cierpliwie odpowiadał do słuchawki: „tak jest” i „oczywiście”. Głos wydawał się Rubaszowowi znajomy, ale nie mógł go rozpoznać. Był to głos męski, przyjemny, lekko zachrypnięty; na pewno gdzieś go dawniej słyszał.

„Proszę”, odezwał się głos; dozorca otworzył drzwi i natychmiast je znowu za Rubaszowem zamknął. Rubaszow zobaczył biurko; za nim siedział jego stary przyjaciel z lat szkolnych i dawny dowódca batalionu, Iwanow; przyglądał mu się z uśmiechem, odkładając słuchawkę.

— Więc spotkaliśmy się znowu — rzekł Iwanow.

Rubaszow stał jeszcze przy drzwiach. — Cóż za miła niespodzianka — rzekł oschle.

— Siadaj — rzekł Iwanow, zapraszając grzecznie. Wstał; stojąc był od Rubaszowa o pół głowy wyższy. Patrzył na niego z uśmiechem. Usiedli obaj — Iwanow za biurkiem, Rubaszow przed nim. Chwilę przypatrywali się sobie z nieukrywaną ciekawością — Iwanow z prawie czułym uśmiechem, Rubaszow wyczekująco i czujnie. Wzrok jego ześliznął się pod stół, na prawą nogę Iwanowa.

— O, to jest zupełnie w porządku — rzekł Iwanow. — Proteza z automatycznymi stawami i chromowanym, nierdzewnym pokryciem; mogę pływać, jeździć konno, prowadzić auto i tańczyć. Papierosa?

Podsunał Rubaszowowi drewniane pudełko.

Rubaszow spojrzął na papierosy i przypomniał sobie pierwszą wizytę w szpitalu wojskowym, gdzie Iwanowowi amputowano nogę. Iwanow prosił go, aby zdobył dla niego weronał i w dyskusji, która trwała całe popołudnie usiłował dowieść, że każdy człowiek ma prawo do samobójstwa. Rubaszow poprosił go w końcu o czas do namysłu i tej samej nocy przeniesiono go na inny odcinek frontu. Spotkał Iwanowa dopiero po latach. Patrzył teraz na papierosy w drewnianym pudełku. Były robione ręcznie, z amerykańskiego tytoniu, lekkiego i jasnego.

— Czy to jest ciągle jeszcze wstęp nieoficjalny, czy też zaczęła się już wojna? — zapytał Rubaszow. — Jeśli to drugie, nie wezmę papierosa. Znasz przepisy etykiety.

— Bzdury — rzekł Iwanow.

Uśmiechnął się i niewinnie wskazał lewą rękę Rubaszowa. Na wierzchu, między niebieskimi żyłami, na miejscu, w którym trzy dni temu zagasił papierosa była blizna wielkości miedziaka. Przez chwilę obaj patrzyli na rękę Rubaszowa, leżącą na jego

kolanach. Skąd on o tym wie? myślał Rubaszow. Kazał mnie podglądać. Czuł więcej wstydu niż złości; po raz ostatni ciągnął się głęboko papierosem i wyrzucił go. — Jeśli chodzi o mnie, część nieoficjalna jest skończona — powiedział.

Iwanow puszczał kółka z dymu i przyglądał mu się z tym samym czule ironicznym uśmiechem. — Nie bądź agresywny — powiedział.

— Bądź wyrozumiały — rzekł Rubaszow. — Czy to ja zaaresztowałem ciebie, czy to wyście mnie zaaresztowali?

— Myśmy ciebie zaaresztowali — rzekł Iwanow. Zgasił papierosa, zapalił drugiego i podsunął pudełko Rubaszowowi, który się nie ruszył. — Niech cię diabli wezmą — rzekł Iwanow. — Czy pamiętasz historię z weronalem? — Pochylił się w przód i dmuchnął dymem w twarz Rubaszowa.

— Nie chcę, żeby cię rozstrzelali — powiedział powoli. Oparł się wygodnie na krzesło. — Niech cię diabli wezmą — powtórzył, znów się uśmiechając.

— Wzruszające z twojej strony — rzekł Rubaszow. — Właściwie dlaczego macie zamiar mnie rozstrzelać?

Iwanow czekał kilka sekund. Palił i rysował ołówkiem na bibule. Zdawało się, że szuka najodpowiedniejszych wyrazów.

— Słuchaj, Rubaszow — odezwał się w końcu. — Chciałbym ci na jedną rzecz zwrócić uwagę. Powiedziałeś teraz już kilka razy „wy” — mając na myśli Państwo i Partię — w przeciwstawieniu do „ja”, to znaczy: Mikołaj Salomonowicz Rubaszow. Dla publiczności trzeba oczywiście rozprawy i prawnego uzasadnienia. Dla nas wystarczy to, co w tej chwili powiedziałem.

Rubaszow zastanowił się; trochę go to zaskoczyło. Przez chwilę zdawało się, że Iwanow uderzył w kamerton, do którego umysł jego był z własnej woli dostrojony. Wszystko to, w co wierzył, za co walczył, co głosił przez ostatnie czterdzieści lat objęło jego umysł nieodpartą falą. Jednostka się nie liczy, Partia to wszystko; gałąź, która się odłamała od pnia, musi uschnąć...

Rubaszow wytarł binokle o rękaw. Iwanow oparł się o krzesło i palił; teraz już się nie uśmiechał. Nagle wzrok Rubaszowa zaczepił o czworokątną plamę na ścianie, która była jaśniejsza niż reszta tapety. Domyślił się od razu, że wisiła tam kiedyś fotografia z brodatymi głowami i numerowanymi nazwiskami — Iwanow poszedł w ślad za jego wzrokiem, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Twój wywód jest właściwie anachronizmem — rzekł Rubaszow — Jak zupełnie słusznie zauważyłeś, posługiwaliśmy się

zawsze liczbą mnogą „my” i staraliśmy się, o ile możliwości, unikać pierwszej osoby liczby pojedynczej. Odzwyczajłem się właściwie od tej formy mówienia; ty się jej jeszcze trzymasz. Ale kto to właściwie „my”, w których imieniu ty dzisiaj przemawiasz? Wymaga to świeżego sprecyzowania. Właśnie o to chodzi.

— Całkiem się zgadzam — przyświadczył Iwanow — Cieszę się, że tak szybko doszliśmy do sedna sprawy. Innymi słowy: jesteś przekonany, że „my” — to znaczy Partia, Państwo i masy stojące za nimi — przestaliśmy reprezentować interesy Rewolucji.

— Wolałbym nie mówić o masach — rzekł Rubaszow.
— Od kiedy to czujesz tę najwyższą pogardę dla tłumu? — zapytał Iwanow. — Czy to także pozostaje w związku z gramatyczną zmianą na pierwszą osobę liczby pojedynczej?

Nachylił się poprzez biurko z wyrazem dobrodusznej ironii. Jego głowa zasłaniała teraz jasną plamę na ścianie i Rubaszowowi przypomniała się nagle scena w muzeum, kiedy głowa Ryszarda stanęła między nim a złożonymi rękami „Piety”. W tym samym momencie atak bólu przewiercił się od szczęki do czoła i ucha. Zamknął na sekundę oczy. „Teraz płacę”, pomyślał. W chwilę później nie był pewny, czy nie powiedział tego głośno.

Ból mijał — spokój i cisza napływały powrotną falą w umysł Rubaszowa. — Zostawmy masy poza dyskusją — powtórzył. — Nic o nich nie wiesz. Ja zresztą prawdopodobnie niewiele więcej. Kiedyś, kiedy żyło jeszcze wielkie „my”, rozumieliśmy masy tak, jak nikt inny ich przedtem nie rozumiał. Przeniknęliśmy je aż do głębi, urabialiśmy bezkształtną miazgę samej historii...

Nie zdając sobie z tego sprawy, wziął papierosa z pudełka Iwanowa, które ciągle stało otwarte na stole. Iwanow nachylił się i podsunął mu ogień.

— Wtedy — kontynuował Rubaszow — nazywaliśmy się Partią Ludu. Co inni wiedzieli o historii? Widzieli tylko przemijające zmarszczki, drobne wiry i rozbijające się fale. Dziwiły ich zmienne postaci powierzchni, nie potrafili ich wyjaśnić. A my zapuściliśmy się w głębie, w bezkształtne, bezimienne masy, które zawsze były substancją historii; i my pierwsi wykryliśmy prawa, które kierują jej ruchami. Wykryliśmy prawo bezwładności, prawo powolnej zmiany jej budowy drobinowej, prawo nagłych wybuchów. W tym tkwiła wielkość naszej doktryny. Jakobini byli moralistami; my byliśmy empirykami. Grzebaliśmy się w prawdziwym mule historii i właśnie w nim odkryliśmy prawa, które

nią rządzą. Wiedzieliśmy więcej o ludzkości aniżeli ktokolwiek kiedykolwiek; dlatego nasza rewolucja się udała. A wyście teraz znów wszystko pogrzebali...”

Iwanow siedział z wyciągniętymi nogami, słuchając i rysując na bibule.

— Co dalej? — zapytał. — Ciekaw jestem, o co ci właściwie idzie?

Rubaszow palił z rozkoszą. Czuł, że po długim poście nikotyna przyprawia go o lekki zawrót głowy.

— Jak widzisz, mówię na swoją zgubę — powiedział i spojrzął z uśmiechem na wyblakłą plamę na ścianie, gdzie kiedyś wisiała fotografia starej gwardii. Tym razem Iwanow nie poszedł za jego wzrokiem. — Zresztą — stwierdził Rubaszow — co za różnica, jeden mniej, czy jeden więcej. Wszystko jest już teraz pogrzebane: ludzie, ich wiedza, ich nadzieje. Zabiliście wielkie „My”, zniszczyliście je. Czy naprawdę wierzysz, że masy ciągle jeszcze są z wami? Inni samozwańcy w Europie twierdzą to samo z takim samym prawem, jak wy...

Wziął jeszcze jednego papierosa i zapalił go tym razem sam, bo Iwanow się nie ruszył.

— Wybacz mój pompacyjny sposób mówienia — ciągnął dalej — ale czy ty naprawdę jeszcze wierzysz w to, że lud idzie z wami? Znosi was, niemy i zrezygnowany, jak znosi innych, w innych krajach, ale w jego głębiach nie ma już żadnego odzewu. Masy stały się na nowo głuche i nieme, są znowu wielkim, milczącym X historii, nieczułym jak morze, które nosi okręty. Każde przelotne światło odbija się na jego powierzchni, ale w głębi panuje ciemność i cisza. Wtedy, już dawno temu, poruszyliśmy te głębie, ale to się skończyło. Innymi słowy — przerwał na chwilę i nałożył binokle — wtedy tworzyliśmy historię; dziś prowadzicie politykę. Oto cała różnica.

Iwanow oparł się w krzesło i puszczał kółka z dymu. — Przepraszam, ale nie widzę całkiem jasno tej różnicy — powiedział. — Może byłbyś tak dobry i zechciał ją wytłumaczyć.

— Chętnie — rzekł Rubaszow. — Jakiś matematyk powiedział kiedyś, że algebra to nauka leniwców — nie usiłują wyliczyć czemu równa się X , ale posługują się nim, jakby wiedzieli co ono oznacza. W naszym wypadku X to masy bezimienne, lud. Polityka to posługiwanie się tym X bez troski o jego właściwą naturę. Tworzenie historii to rozpoznanie w niewiadomej X tej wartości, jaką przedstawia w równaniu.

— Wcale ładne — powiedział Iwanow. — Ale niestety trochę oderwane. Wracając do bardziej namacalnych rzeczy: zatem

ty uważasz, że „my” — to znaczy Partia i Państwo — przestaliśmy działać w interesie Rewolucji, w interesie mas, albo, jeśli wolisz w interesie postępu ludzkości?

— Tym razem zrozumiałeś, o co chodzi — stwierdził Rubaszow, uśmiechając się. Iwanow nie odwdzieczył mu się uśmiechem.

— Kiedy doszedłeś do takiego przekonania?

— Stopniowo chyba: w ciągu ostatnich lat — rzekł Rubaszow.

— Czy nie możesz określić tego bardziej precyzyjnie? W ostatnim roku? W ostatnich dwu, trzech latach?

— To głupie pytanie — odparł Rubaszow. — W jakim wieku stałeś się dorosłym? Mając lat siedemnaście? Osiemnaście i pół? Dziewiętnaście?

— Teraz ty udajesz głupiego — powiedział Iwanow. — Każdy etap w rozwoju umysłowym człowieka jest wynikiem określonych doświadczeń. Jeśli już chcesz wiedzieć, to ja stałem się mężczyzną mając lat siedemnaście, kiedy po raz pierwszy skazano mnie na wygnanie.

— Wtedy byłeś przyzwoitym człowiekiem — stwierdził Rubaszow. — Zostawmy to — znowu spojrzął na jasną plamę na ścianie i wyrzucił papierosa.

— Powtarzam pytanie — rzekł Iwanow, pochylając się lekko naprzód. — Od kiedy należysz do zorganizowanej opozycji?

Telefon zadzwonił. Iwanow podjął słuchawkę, powiedział „jestem zajęty” i odłożył ją. Potem oparł się w krzesło, wyciągnął nogę i czekał na odpowiedź Rubaszowa.

— Wiesz równie dobrze jak ja — odpowiedział Rubaszow — że nigdy nie przystąpiłem do żadnej organizacji opozycyjnej.

— Jak chcesz — rzekł Iwanow. — Zmuszasz mnie do grania przykrej roli biurokraty. — Wsadził rękę do jednej z szuflad i wyciągnął z niej kilka teczek.

— Zaczniemy od roku 1933 — powiedział i rozłożył przed sobą akta. — Wybuch dyktatury i zmiążdżenie Partii właśnie w tym kraju, w którym zdawała się ona najbliższa zwycięstwa. Posyłają cię tam drogą nielegalną, z zadaniem przeprowadzenia czystki i reorganizacji szeregow...

Rubaszow oparł się w krzesło i przysłuchiwał się swemu własnemu życiorysowi. Myślał o Ryszardzie, o zmierzchu panującym w alei przed muzeum, gdzie zatrzymał taksówkę.

— ... Trzy miesiące później aresztują cię. Dwa lata więzienia. Zachowanie wzorowe, niczego nie potrafili ci dowieść. Zwolnienie i triumfalny powrót...

Iwanow przerwał, szybko spojrzął na Rubaszowa i ciągnął dalej:

— Po powrocie bardzo cię fetowano. Nie spotkaliśmy się wtedy; pewnie byłeś zanadto zajęty... Nie miałem ci tego zresztą za złe. Koniec końców nie mogłeś odwiedzać wszystkich starych przyjaciół. Ale widziałem cię dwa razy na zebraniach, na estradzie. Chodziłeś jeszcze o kulach i wyglądałeś bardzo źle. Logicznie biorąc, powinieneś był spędzić kilka miesięcy w sanatorium, a później objąć jakieś stanowisko w rządzie — po kilku latach pracy za granicą. Zamiast tego poprosiłeś już po dwu tygodniach o nowe zadanie poza krajem...”

Pochylił się nagle naprzód, przybliżając swoją twarz do Rubaszowa:

— Dlaczego? — zapytał, i po raz pierwszy głos jego zabrzmiał ostrzej. — Prawdopodobnie nie podobało ci się tutaj? W czasie twojej nieobecności zaszły w kraju pewne zmiany, które ci widać nie odpowiadały.

Czekał czy Rubaszow coś odpowie, ale on spokojnie siedział na krześle, wycierając binokle o rękaw i nie odpowiadał.

— Było to już po skazaniu i zlikwidowaniu pierwszej grupy opozycyjnej. Miałeś wśród niej bliskich przyjaciół. Kiedy wyszło na jaw, do jakiego rozkładu doszła opozycja, przez kraj przepłynęła fala oburzenia. Ty milczałeś. Po dwu tygodniach wyjechałeś za granicę, choć chodziłeś jeszcze o kulach...

Rubaszowowi zdawało się, że czuje zapach doków w malutkim porcie, tę mieszaninę alg i nafty; były atleta Paweł ruszający uszami; Mały Loewy, pozdrawiający go fajką... Powiesił się na belce na swoim poddaszu. Stara rudera trzęsła się za każdym razem, kiedy przejeżdżała ciężarówka; ktoś opowiadał Rubaszowowi, że tego ranka, gdy znaleziono Małego Loewy, jego ciało obróciło się zwolna dookoła swojej osi, przez chwilę można było myśleć, że jeszcze żyje...

— Po pomyślnym spełnieniu misji mianowano cię dyrektorem naszej Delegacji Handlowej w B. I tym razem wykonałeś swoje zadanie bez zarzutu. Nowy traktat handlowy z B. jest stanowczo sukcesem. Zachowanie twoje wydaje się na pozór przykładowe i nieskazitelne. Ale w sześć miesięcy po objęciu tego stanowiska trzeba odwołać twoich dwu najbliższych współpracowników, posądzonych o spiski opozycyjne; jeden z nich — to twoja sekretarka Arłowa; podejrzenia potwierdzają się w trakcie badań sądowych. Oczekuje się od ciebie, że publicznie potępisz winnych. Ale ty milczysz...

— Po dalszych sześciu miesiącach i ciebie odwołują. Przygotowuje się drugi proces przeciw opozycji. W ciągu rozprawy pada kilkakrotnie twoje nazwisko; Arłowa powołuje się na ciebie w swoich zeznaniach. W tych okolicznościach twoje milczenie wyglądałoby na przyznanie się do winy. Wiesz o tym, a jednak bronisz się przed publiczną deklaracją aż do chwili, kiedy Partia posyła ci ultimatum. Dopiero wtedy, gdy twoja własna głowa jest już zagrożona, raczysz wreszcie złożyć oświadczenie lojalności, co automatycznie kończy Arłową. Znasz jej los...

Rubaszow milczał i zauważył, że ząb zaczął go znowu boleć. Znał jej los. I los Ryszarda. I los Małego Loewy. I swój własny. Miał przed sobą jasną plamę na ścianie, jedyny ślad, jaki pozostał po mężczyznach z numerowanymi głowami. Kiedyś Historia wzięła taki kierunek, że wyglądało na to, iż ludzkość wreszcie będzie mogła żyć w sposób bardziej godny siebie, niż dotąd; teraz jest już po wszystkim. Więc po co to gadanie i te ceremonie? Jeśli cokolwiek w człowieku zdolne jest ocalić się od zagłady, gdzieś, w wielkiej nicości, leży teraz dziewczyna nazwiskiem Arłowa i wciąż jeszcze wpatruje się pocziwymi, krowimi oczami w towarzysza Rubaszowa, który był jej bożyszczem i który skazał ją na śmierć... Ząb bolał go coraz bardziej.

— Czy przeczytać ci publiczne oświadczenie, które wtedy złożyłeś? — zapytał Iwanow.

— Nie, dziękuję — odpowiedział Rubaszow i zauważył, że głos jego był zachrypnięty.

— Jak sobie pewnie przypominasz, twoje oświadczenie — które można by równie dobrze nazwać spowiedzią — kończyło się ostrym potępieniem opozycji i deklaracją bezwarunkowego podporządkowania się zarówno polityce Partii, jak i osobie Nr 1.

— Skończ z tym — rzekł Rubaszow bezdźwięcznym głosem. — Wiesz, jak takie oświadczenia dochodzą do skutku. A jeśli nie wiesz, to tym lepiej dla ciebie. Tylko na miłość Boską, skończ z tą komedią.

— Już prawie skończyliśmy — powiedział Iwanow. — Brak nam tylko jeszcze dwu lat do obecnej chwili. W ciągu tych dwu lat byłeś dyrektorem Państwowego Trustu Aluminiowego. Rok temu, w czasie trzeciego procesu przeciw opozycji, główny oskarżony wymienił kilkakrotnie twoje nazwisko w trochę niejasnych związkach. Nie wykryto nic konkretnego, ale w szeregach Partii wzrasta podejrzenie. Znowu składasz publiczne oświadczenie i na nowo deklarujesz posłuszeństwo wobec polityki Przywódców i w jeszcze ostrzejszych słowach potępiasz zbrodniczość opozycji...

Było to sześć miesięcy temu. A dziś przyznajesz się, że polityka Przywódców już od lat wydaje ci się błędna i szkodliwa...

Zawiesił głos i rozparł się wygodnie w krześle.

— Twoje pierwsze deklaracje lojalności — ciągnął dalej — były zatem tylko środkami do jakiegoś określonego celu. Zauważ proszę, że jestem daleki od moralizowania. Wyrosliśmy w tej samej tradycji i mamy taki sam pogląd na te sprawy. Byłeś przekonany, że nasza polityka była zła, a twoja — słuszna. Gdybyś to wtedy otwarcie przyznał, równałoby się to wydaleniu z Partii i co za tym idzie — oznaczałoby niemożność dalszej pracy na rzecz własnych poglądów. Musiałeś zatem pozbyć się balastu, aby móc dalej służyć polityce, która, w twoim przekonaniu, była jedynie słuszna. Oczywiście postąpiłbym na twoim miejscu zupełnie tak samo. Aż do tego punktu wszystko jest w porządku.

— I co dalej? — zapytał Rubaszow.

Iwanow uśmiechał się znów przyjacielsko, jak przedtem.

— Nie rozumiem tylko jednej rzeczy — powiedział. — Przyznajesz się teraz otwarcie, że od wielu lat jesteś przekonany, iż gubimy Rewolucję i jednym tchem zaprzeczasz, że należałeś do opozycji, że spiskowałeś przeciwko nam. Czy naprawdę chcesz, abym ci wierzył, że siedziałeś z założonymi rękami i przyglądałeś się spokojnie — gdy my, według twego przekonania, pchaliśmy kraj i Partię do zguby?

Rubaszow wzruszył ramionami. — Może byłem za stary i zbyt znudzony... Zresztą, wierz, w co ci się podoba — powiedział.

Iwanow znów zapalił papierosa. Głos jego był teraz spokojny i przenikliwy.

— Czy naprawdę oczekujesz, bym uwierzył, że poświęciłeś Arłową i zaparłeś się tych — brodą wskazał jasną plamę na ścianie — tylko po to, by ocalić własną głowę?

Rubaszow milczał. Ułynęło dość sporo czasu. Głowa Iwanowa zbliżyła się do biurka jeszcze bardziej.

— Nie rozumiem cię — powiedział. — Pół godziny temu wygłosiłeś tu przemówienie pełne namiętnych ataków na naszą politykę, z których każdy najdrobniejszy ułamek wystarczyłby, by cię wykończyć. A teraz zaprzeczasz tak prostemu i logicznemu wnioskowi, że należałeś do jakiejś grupy opozycyjnej, na co zresztą mamy wszelkie dowody.

— Doprawdy? — okrzyknął się Rubaszow. — Jeśli macie wszelkie dowody, to na cóż wam moja spowiedź? Dowody czego, jeśli można wiedzieć?

— Między innymi — rzekł z wolna Iwanow — dowód zamierzonego spisku na życie Nr 1.

Znów zaległa chwila ciszy. Rubaszow nałożył binokle.

— Pozwól, że z kolei ja zadam ci pytanie — powiedział. — Czy ty naprawdę wierzysz w ten idiotyzm, czy tylko udajesz?

W kącikach oczu Iwanowa pojawił się ten sam, prawie czuły uśmiezek, jak poprzednio:

— Powiedziałem ci przecież. Mamy dowody. Dokładnie mówiąc: zeznania. Mówiąc jeszcze dokładniej: zeznanie człowieka, który za twoją namową miał dokonać zamachu.

— Winszuję — odparł Rubaszow. — Jego nazwisko?

Iwanow uśmiechał się ciągle.

— To niedyskretne pytanie.

— Czy można przeczytać to zeznanie? Albo uzyskać konfrontację z tym człowiekiem?

Iwanow uśmiechał się. Z przyjazną kpina dmuchnął Rubaszowowi dymem w twarz. Było mu to nieprzyjemne, ale nie odwrócił głowy.

— Czy pamiętasz weronał? — rzekł powoli Iwanow. — Zdaje mi się, że cię już o to pytałem. Teraz role się zmieniły: dzisiaj ty chcesz rzucić się głową w przepaść. Ale bez mojej pomocy. Przekonałeś mnie wtedy, że samobójstwo to drobno-mieszczkański romantyzm. Postaram się o to, abyś ty go nie popełnił. Wyrówna to nasze rachunki.

Rubaszow milczał. Zastanawiał się nad tym, czy Iwanow kłamie, czy też mówi szczerze i jednocześnie miał dziwną ochotę — był to impuls prawie fizyczny — aby dotknąć palcami jasnej plamy na ścianie. „Nerwy”, myślał. „Obsesje. Chodzenie wyłącznie po czarnych taflach, mrużenie niedorzecznych zdań, wycieranie binokli o rękaw — o właśnie, znowu to robię...”.

— Chciałbym wiedzieć — odezwał się głośno — jak wygląda twój plan, aby mnie uratować. Dotychczasowy sposób wypytywania wskazywałby raczej na dążenie odwrotne.

Uśmiech Iwanowa stał się szeroki i promienny. — Stary kretynie — powiedział i przechylając się przez stół, złapał Rubaszowa za guzik marynarki — Musiałem ci dać sposobność wyładowania się, bo inaczej wybuchnąłbyś w nieodpowiedniej chwili. Czy nie zauważyłeś, że nie mam tutaj nawet stenografa?

Wyjął papierosa z pudełka i wsadził go Rubaszowowi do ust, nie puszczając guzika od marynarki — Zachowujesz się jak dzieciak — dodał. — Teraz wysmażymy ładną małą spowiedź i to będzie wszystko na dzień dzisiejszy.

Iwanow niespeszony wciąż się promiennie uśmiechał. —

W zeznaniu będzie — powiedział — że przyznajesz, iż do takiego a takiego roku należałeś do takiej a takiej grupy opozycyjnej; ale że stanowczo zaprzeczasz, iż organizowałeś czy też planowałeś zamach; że, przeciwnie, gdy tylko dowiedziałeś się o kryminalnych i terrorystycznych planach opozycji, natychmiast wystąpiłeś z tej grupy.

Po raz pierwszy w czasie tej dyskusji Rubaszow uśmiechnął się również.

— Jeśli to jest cel całej gadaniny — powiedział — możemy ją natychmiast przerwać.

— Daj mi wpieryw skończyć — rzekł Iwanow bez cienia niecierpliwości. — Wiedziałem oczywiście, że będziesz się stawiał. Rozpatrzmy wpieryw stronę moralną, czy też sentymentalną całego zagadnienia. Nikomu swoim zeznaniem nie szkodzisz. Całe towarzystwo zostało na długo przed tobą zaaresztowane, a połowa jest już zlikwidowana; sam przecież o tym wiesz. Z reszty możemy wyciągnąć zupełnie inne zeznania, niż tę niewinną historię — właściwie każde zeznanie, jakie tylko zechcemy... Jestem pewien, że mnie rozumiesz i moja szczerłość nie ulega dla ciebie wątpliwości.

— Innymi słowy sam nie wierzysz w historię spisku przeciwko Nr 1 — stwierdził Rubaszow. — Dlaczego więc nie skonfrontujesz mnie z tajemniczym X, który złożył przytoczone przez ciebie zeznanie?

— Namyśl się przez chwilę — rzekł Iwanow. — Wyobraź sobie na moim miejscu siebie — równie dobrze stanowiska nasze mogłyby być odwrócone — i sam sobie daj odpowiedź.

Rubaszow zastanowił się. — Dano ci ściśle instrukcje, jak masz prowadzić moją sprawę — powiedział.

Iwanow uśmiechnął się. — To trochę za ostro. Właściwie jeszcze nie rozstrzygnięto, czy sprawę twoją należy przydzielić do kategorii A, czy do kategorii P. Rozumiesz te określenia?

Rubaszow przytaknął; znał je.

— Zaczynasz mnie rozumieć — rzekł Iwanow. — A oznacza drogę administracyjną, P oznacza rozprawę publiczną. Większość spraw politycznych sędzi się na drodze administracyjnej — to znaczy tych, którzy nie nadają się do rozprawy publicznej... Jeśli cię przydzielą do kategorii A, wyjmą cię spod mojej kompetencji. Rozprawa Komisji Trzech jest ściśle tajna i, jak wiesz zapewne, trochę sumaryczna. Nie ma tam możliwości żadnej konfrontacji i tym podobnych rzeczy. Przypomnij sobie... — Iwanow wymienił trzy czy cztery nazwiska i spojrzął przelotnie w stronę jasnej plamy na ścianie. Kiedy popatrzył potem na

Rubaszowa, ten po raz pierwszy zauważył na jego twarzy wyraz udręki, jakieś zapatrzenie w oczach, jakby nie patrzył na niego, Rubaszowa, ale w jakiś punkt gdzieś daleko poza nim.

Iwanow powtórzył jeszcze raz, trochę ciszej, nazwiska ich dawnych przyjaciół. — Znałem ich tak samo dobrze, jak ty — ciągnął dalej. — Ale musisz zrozumieć, że my równie stanowczo jesteśmy przekonani o tym, że ty i oni oznaczacie koniec Rewolucji, jak ty jesteś przekonany o odwrotnym stanie rzeczy. To jest istotne. Nie możemy sobie pozwolić na zabawianie się w prawnicze subtelności. Czy ty sobie w swoim czasie na to pozwalaleś?

Rubaszow nie odpowiedział.

— Wszystko zależy od tego — ciągnął dalej Iwanow — aby cię zaliczono do kategorii P i żeby sprawa została w moich rękach. Wiesz z jakiego punktu widzenia segreguje się te sprawy, które idą pod rozprawę publiczną. Muszę dowieść pewnej dozy dobrej woli po twojej stronie. Do tego potrzeba mi twego zeznania i częściowego przyznania się do winy. Jeśli będziesz grał bohatera i nadal robił wrażenie, że nie da się z tobą nic zrobić, wykończą cię na podstawie zeznań X. Jeśli natomiast złożysz częściowe zeznanie, dajesz podstawę do dokładniejszych badań. Na tej podstawie mogę wymusić konfrontację; odeprzemy najgorsze punkty oskarżenia i przyznamy się do winy tylko w bardzo ściśle określonych granicach. Nawet wtedy nie wykreścimy się poniżej dwudziestu lat; to znaczy praktycznie dwa do trzech lat, a potem amnestia; a za pięć lat wrócisz z powrotem na arenę. Proszę cię, zastanów się spokojnie, zanim mi odpowiesz.

— Już się zastanowiłem — rzekł Rubaszow. — Odrzucam twoją propozycję. Logicznie biorąc, może masz słuszość. Ale ja mam dość tego rodzaju logiki. Jestem zmęczony i znudziła mi się ta zabawa. Bądź tak dobry i każ mnie odprowadzić do celi.

— Jak chcesz — odpowiedział Iwanow. — Nie oczekiwałem, abys zgodził się od razu. Tego rodzaju rozmowa ma zwykle skutek opóźniony. Daję ci dwa tygodnie czasu. Gdy się namyślisz, poproś, aby cię znowu do mnie przyprowadzono, albo przyślij mi piśmienną deklarację. Nie wątpię, że mi ją przyślesz.

Rubaszow wstał; Iwanow podniósł się także; znowu przewyższał Rubaszowa o pół głowy. Nacisnął dzwonek elektryczny koło biurka. Czekając na dozorcę, który miał przyjść po Rubaszowa, Iwanow powiedział:

— Napisałeś w swoim ostatnim artykule, kilka miesięcy

DRUGIE PRZESŁUCHANIE

„Kiedy istnienie Kościoła jest zagrożone, jest On zwolniony z nakazów moralności. Jeśli ma się zjednoczenie jako cel, uświęcone są wszelkie środki, nawet podstęp, zdrada, przemoc, symonia, więzienie, śmierć. Bo wszelki porządek ustala się dla dobra zbiorowości, a jednostkę należy poświęcić dla wspólnego dobra”.

DIETRICH VON NIEHEIM,

biskup w Verden:

De schismate libri III, A. D. 1411.

1

WYCIĄG Z PAMIĘTNIKA M. S. RUBASZOWA W PIĄTYM DNIU WIĘZIENIA

... Prawda ostateczna, w najbardziej ostatecznym wyniku, jest zawsze kłamstwem. Ten kto na końcu będzie miał rację, przedtem robi wrażenie, że się myli i jest szkodliwy.

Ale kto będzie w końcu miał rację? O tym dowiemy się dopiero później. Tymczasem trzeba działać na kredyt i zaprzedać swoją duszę diabłu, w nadziei, że historia nas oczyści.

Mówią, że „Księżę” Machiavellego leży stale przy łóżku Nr 1. Tak powinno być: od tamtych czasów nie powiedziano nic na prawdę istotnego na temat zasad etyki politycznej. My pierwsi zastąpiliśmy dziewiętnastowieczną liberalną etykę „fair play” etyką rewolucyjną dwudziestego wieku. I w tym mieliśmy słuszność: rewolucja, prowadzona zgodnie z zasadami gry w cricketa, jest absurdem. Polityka może być względnie przyzwoita w chwilach wytchnienia, jakie daje nam historia; ale kiedy nadchodzą krytyczne punkty zwrotne, tylko jedna stara zasada ma prawo bytu: cel uświęca środki. Wprowadziliśmy w nasz wiek neo-

machiavellizm; inni, dyktatury kontrrewolucyjne naśladowały go w niezręczny sposób. Staliśmy się neomachiavellistami w imię uniwersalnego rozumu — w tym była nasza wielkość; tamci w imię jakiegoś romantyzmu nacjonalistycznego, w tym wyraża się ich anachroniczność. Dlatego nas historia w ostatecznym wyniku rozgrzeszy; ich nie...

Tymczasem jednak myślimy i działamy na kredyt. Ponieważ odrzuciliśmy wszelkie konwencje i wszystkie zasady moralności sportowej, pozostała nam tylko jedna zasada przewodnia: konsekwentnej logiki. Jesteśmy pod potwornym naporem zmuszającym nas do tego, abyśmy szli za naszą myślą aż do ostatecznej konsekwencji i zgodnie z nią działali. Płyniemy bez balastu; stąd każde dotknięcie steru staje się sprawą życia lub śmierci.

Niedawno rozstrzelano B., naszego największego eksperta od spraw rolniczych, wraz z trzydziestoma współpracownikami za to, że upierał się przy zdaniu, iż sztuczny nawóz saletrowy jest lepszy od potasu. Nr 1 jest wyłącznie za potasem; dlatego trzeba było zlikwidować B. i tamtych trzydziestu jako sabotażystów. W rolnictwie etatystycznie scentralizowanym wybór między saletrą a potasem ma olbrzymie znaczenie: może zadecydować o wyniku następnej wojny. Jeśli Nr 1 ma rację, historia go rozgrzeszy, a egzekucja trzydziestu jeden ludzi stanie się bagatelą. Jeśli się pomyli...

Tylko to jest istotne: kto, obiektywnie biorąc, ma rację. Moralistów sportowych męczy zupełnie inny problemat: czy B., zalecając saletrę, działał z punktu widzenia subiektywnego, w dobrej wierze. Jeśli nie, zgodnie z ich etyką powinien być rozstrzelany nawet, gdyby się później okazało, że saletra była lepsza. Jeśli działał w dobrej wierze, powinien zostać uniewinniony i nadal propagować saletrę, nawet gdyby kraj miał pójść w ruinę...

Jest to oczywiście zupełny nonsens. Dla nas sprawa subiektywnej winy nie ma znaczenia. Kto się pomylił, musi zapłacić; kto ma rację, zostanie rozgrzeszony. Oto prawo kredytu historycznego; oto nasze prawo.

Historia nas nauczyła, że często kłamstwo służy jej lepiej niż prawda; bo człowiek jest leniwy i do każdego stopnia rozwoju trzeba go prowadzić przez pustynię. A przez tę pustynię trzeba go gnać groźbami i obietnicami, przy pomocy urojonych straszków i urojonych pociech, aby nie przysiadł przedwcześnie dla odpoczynku i nie zaczął się zabawiać czczeniem złotych cielców.

Nauczyliśmy się historii dokładniej, niż inni. Różnimy się od wszystkich siłą naszej logiki. Wiemy, że dla historii cnota

nie ma znaczenia i że winy nie są karane; ale wiemy, że każda pomyłka pociąga za sobą konsekwencje i mści się aż do siódmego pokolenia. Dlatego cały nasz wysiłek skoncentrowaliśmy na unikaniu pomyłek i wyplenieniu nawet zarodków pomyłek. Nigdy w ciągu historii tak nieliczne ręce nie miały tak wielkiej władzy nad przyszłymi losami ludzkości, jak my. Każda fałszywa koncepcja, jaką się posługujemy, jest zbrodnią popełnioną na przyszłych pokoleniach. Dlatego musimy fałszywe koncepcje karać jak inni karzą zbrodnie: śmiercią. Uznano nas za obłąkanych, bo z każdej myśli wyciągaliśmy ostateczną konsekwencję i zgodnie z tym postępowaaliśmy. Porównywano nas z inkwizycją dlatego, że tak samo jak ona nieustannie czuliśmy na sobie cały ciężar odpowiedzialności za przyszłe życie ponadindywidualne. Byliśmy podobni do wielkich Inkwizytorów tym, że prześladowaliśmy nasienie zła nie tylko w czynach człowieka, ale także w jego myślach. Nie uznawaliśmy prywatnej dziedziny życia, nawet we wnętrzu czaszki człowieka. Żyliśmy pod przymusem prowadzenia każdej sprawy aż do jej ostatecznej konsekwencji. Umysły nasze były tak napięte, że najmniejsze zderzenie powodowało śmiertelne krótkie spięcie. Dlatego byliśmy skazani na wzajemną zagładę.

Byłem jednym z nich. Myślałem i postępowałem, jak należało; niszczyłem ludzi, do których byłem przywiązany, obdarzałem władzą innych, których nie lubiłem. Byłem w tym miejscu, w którym postawiła mnie historia; wyczerpałem kredyt, jakiego mi użyczyła; jeśli miałem rację, nie mam czego żałować; jeśli się pomyliłem — zapłacę.

Ale jak czas terażniejszy może rozsądzić, co przyszłość nazwie prawdą? Spełniamy zadania proroków, nie mając ich daru. Wizję zastąpiliśmy logiczną dedukcją; ale choć wszyscy zaczęliśmy od tego samego punktu wyjścia, doszliśmy do różnych wyników. Dowód zbija dowód i w końcu musieliśmy się uciec do wiary — aksjomatycznej wiary w słuszność własnego rozumowania. To jest punkt krytyczny. Pozbyliśmy się obciążenia; trzyma nas tylko jedna kotwica: wiara w siebie samych. Geometria jest najczystszy wcieleniem rozumu ludzkiego; ale aksjomatów Euklidesa nie można udowodnić. Kto w nie nie wierzy, temu wali się cała budowa.

Nr 1 jest przepętniony silną, ciężką, tępą i niezachwianą wiarą w siebie. Moja w ostatnich latach zetnęła...

Właściwie przestałem wierzyć we własną nieomyślność. Dlatego jestem zgubiony.

Następnego dnia, po pierwszym przesłuchaniu Rubaszowa, sędzia śledczy Iwanow i jego kolega Gletkin siedzieli po obiedzie w kantynie. Iwanow był bardzo zmęczony; położył protezę na drugim krześle i rozpiął kołnierz munduru. Nalał sobie taniego wina, które można było dostać w kantynie i milcząco podziwiał Gletkina, który siedział na krześle wyprostowany, w nakrochmalonym mundurze, szeleszczącym przy każdym ruchu. Nie zdjął nawet pasa od rewolweru, choć musiał być także porządnie zmęczony. Wypróżnił kieliszek, rzucająca się w oczy blizna na ogolonej głowie zaczerwieniła się lekko. Poza nimi było w kantynie jeszcze trzech oficerów przy jednym z dalszych stołów; dwu grało w szachy, trzeci kibicował.

— Co będzie z Rubaszowem? — zapytał Gletkin.

— Jest raczej w złej formie — odpowiedział Iwanow — Ale jest tak samo logiczny jak zawsze. Więc musi się poddać.

— Nie wierzę w to — rzekł Gletkin.

— Podda się — twierdził Iwanow. — Jak domyśli wszystko do logicznej konkluzji, skapitułuje. Dlatego trzeba przede wszystkim dać mu spokój i nie przeszkadzać. Przydzieliłem mu papier, ołówek i papierosy — aby przyspieszyć proces myślowy.

— Nie pochwalam tego — rzekł Gletkin.

— Nie lubicie go — powiedział Iwanow. — Zdaje się, mieliście z nim jakąś scenę kilka dni temu?

Gletkin przypomniał sobie tę scenę, kiedy Rubaszow siedział na pryczy i naciągał bucik na podartą skarpetkę. — To nie ma znaczenia — stwierdził. — Jego osoba się nie liczy. Nie pochwalam metody. Tą drogą nigdy nie zmusimy go do kapitulacji.

— Jeśli się Rubaszow podda — rzekł Iwanow — to nie z tchórzostwa, ale dlatego, że uzna to za logiczne. Nie ma sensu próbować na nim ostrych sposobów. Jest zrobiony z pewnej materii, która im bardziej w nią uderzać, tym robi się twardsza.

— To tylko takie gadanie — rzekł Gletkin. — Nie ma istot ludzkich, które mogą wytrzymać każdą miarę nacisku fizycznego. Nie spotkałem ich nigdy. Doświadczenie uczy mnie, że wytrzymałość ludzkiego systemu nerwowego jest ograniczona przez naturę.

— Nie chciałbym być w waszych rękach — powiedział Iwanow z uśmiechem, ale także z odcieniem niepokoju. — Jesteście zresztą chodzącym zaprzeczeniem własnej teorii.

Jego uśmiechnięty wzrok zaczął przez moment o bliźnę na czaszce Gletkina. Historia tej bliźny była znana. W czasie

wojny domowej, kiedy Gletkin dostał się w ręce nieprzyjaciela, przywiązano mu płonący knot do ogolonej głowy, aby wydrzeć z niego pewne informacje. Po kilku godzinach jego ludzie odbili pozycje i znaleźli go nieprzytomnego. Knot wypalił się do końca; Gletkin nie zdradził niczego.

Spojrzał teraz na Iwanowa swymi martwymi oczami. — To także tylko gadanie — powiedział. — Nie uległem, bo zemdlałem. Gdybym był przytomny bodaj jeszcze minutę, powiedziałbym wszystko. To tylko sprawa konstytucji fizycznej.

Wychylił kieliszek zdecydowanym gestem; jego mankiety chrzęściły, kiedy go stawiał z powrotem na stole. — Odzyskawszy przytomność byłem zrazu przekonany, że wszystko wygadałem. Ale dwaj oficerowie, których uwolniono wraz ze mną, zaświadczyli, że nie. Więc mnie odznaczono. Wszystko jest sprawą konstytucji fizycznej; reszta to historie dla dzieci.

Iwanow także wypił; pił już sporo tego taniego wina. Wzruszył ramionami.

— Od kiedy głosicie tę szczególną teorię konstytucjonalną? Koniec końców w pierwszych latach nie posługiwano się takimi metodami. W tamtych czasach byliśmy jeszcze pełni złudzeń. Zniesienie kary i odpłaty za zbrodnie, sanatoria z kwietnymi ogrodami dla aspołecznych elementów... Wszystko brednie.

— Nie myślę, żeby to były brednie — odparł Gletkin. — Jesteście cynikiem. Za sto lat będziemy mieli to wszystko. Ale wpierv musimy się uporać z innymi rzeczami. Im prędzej, tym lepiej. Jedyne nasze złudzenie było w tym, że nam się zdawało, iż już nadeszła pora na wszystko. Na początku, kiedy mnie tutaj przydzielono, też miałem takie złudzenia. Większość naszych je dzieliła — właściwie cały aparat rządzący, aż do samego szczytu. Chcieliśmy z miejsca zacząć od ogrodów. Na tym polegał nasz błąd. Za sto lat będziemy mogli odwoływać się do rozsądku i do społecznych instynktów zbrodniarza. Dzisiaj musimy jeszcze posługiwać się jego konstytucją fizyczną i, w razie potrzeby, miażdżyć go fizycznie i umysłowo.

Iwanow zastanawiał się, czy Gletkin sobie podchmielił. Ale widział z jego spokojnego, martwego wzroku, że nie. Uśmiechnął się trochę niepewnie. — Jednym słowem, ja jestem cynikiem, a wy moralistą.

Gletkin nie odpowiedział. Siedział sztywno na krześle w nakrochmalonym mundurze; jego pas od rewolweru pachniał nową skórą.

— Kilka lat temu — rzekł Gletkin po chwili — przyprowadzono do mnie na przesłuchanie jakiegoś małego chłopca. Było to

gdzieś na wsi, w czasie, kiedy jeszcze wierzyliśmy w teorię ogrodów, jak wy to nazywacie. Przesłuchanie było prowadzone bardzo poprawnie. Chłop zakopał swoje zbiory; było to w pierwszym okresie kolektywizacji. Trzymałem się ściśle ustalonej etykiety. Tłumaczyłem mu przyjaźnie, że potrzebujemy zboża dla wyżywienia ciągle wzrastającej liczby ludzi w miastach i na wywóz, aby rozbudować nasz przemysł, niech wobec tego zechce mi powiedzieć, gdzie schował swoje zbiory. Kiedy go przyprowadzono do mego pokoju, w oczekiwaniu bicia wciągnął głowę między ramiona. Znam tych ludzi; sam pochodzę ze wsi. Kiedy, zamiast go bić, zacząłem mu przemawiać do rozumu, rozmawiać z nim jak z równym i nazywać go „obywatelem”, uznał mnie za półgłówka. Widziałem to po jego oczach. Mówiłem do niego przez pół godziny. Ani razu nie otworzył ust, tylko na zmianę dłubał w nosie i uszach. Mówiłem ciągle, choć widziałem, że uważa to za świetny kawał i w ogóle nie słucha. Argumenty po prostu odbijały się od jego uszu. Były one zatkałe woskiem przez setki lat patriarchalnego paraliżu umysłowego. Trzymałem się ściśle przepisów; nigdy nie przeszło mi nawet przez myśl, że można użyć innych metod...

Takich przypadków miałem w tych czasach od dwudziestu do trzydziestu dziennie. To samo działo się u moich kolegów. Rewolucji groziło rozbitcie się o tych małych, tłustych chłopów. Robotnicy byli niedożywieni; tyfus głodowy szalał w całych okręgach; nie mieliśmy kredytów, aby rozbudować przemysł, a napaści oczekiwaliśmy z miesiąca na miesiąc. Dwieście milionów w złocie leżało schowanych w pończochach tych ludzi, a połowa zbiorów była zakopana w ziemi. A my, przesłuchując ich, zwracaliśmy się do nich per „obywatelu”, podczas kiedy oni przypatrywali się nam chytry-głupimi oczkami, uważali wszystko za świetny kawał i dłubali w nosie.

Trzecie przesłuchanie tego chłopca odbyło się o drugiej w nocy; pracowałem przedtem osiemnaście godzin bez przerwy. Jego obudzono ze snu, był zaspany i przestraszony; zdradził się. Od tej pory przesłuchiwałem swoich ludzi przeważnie w nocy... Pewnego razu jakaś kobieta poskarżyła się, że, czekając swojej kolejki, musiała całą noc stać przed moim pokojem i jest zupełnie wykończona; pośrodku przesłuchania zasnęła. Obudziłem ją; mówiła zaspanym, bełkocącym głosem, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi i natychmiast zasnęła znowu. Obudziłem ją jeszcze raz, wtedy przyznała się do wszystkiego i podpisała zeznanie, nawet go nie czytając, byle bym tylko pozwolił jej spać. Mąż tej kobiety ukrył w stodole dwa karabiny maszynowe i na-

mówił chłopów w swojej wsi, aby spalili zboże, bo ukazał mu się we śnie Antychryst. Jego żona czekała, stojąc całą noc, przez opieszałość mego sierżanta; odtąd zachęcałem do tego rodzaju opieszałości; w przypadkach uporów ludzie musieli nieraz po czterdzieści osiem godzin stać na jednym miejscu. Przez ten czas wosk topniał w ich uszach i można było z nimi rozmawiać...

Dwaj szachiści w drugim końcu pokoju przewrócili figury i zaczęli nową partię. Trzeci już wyszedł. Iwanow przypatrywał się Gletkinowi, gdy mówił. Głos miał trzeźwy i bezbarwny, jak zwykle.

— Moi koledzy zrobili podobne doświadczenia. Był to jedyny sposób uzyskania jakichkolwiek wyników. Trzymano się przepisów; nie tknięto właściwie ani jednego z więźniów. Ale zdarzało się, że byli świadkami — powiedzmy przypadkowo — egzekucji współwięźniów. Skutek takich scen jest częściowo psychiczny, częściowo fizyczny. Jeszcze inny przykład: mamy prysznic i kąpiele, bo tego wymaga higiena. Jest to wina trudności technicznych, że w zimie ogrzewanie i rury z gorącą wodą nie zawsze działają, a czas trwania kąpieli zależy od obsługi. Kiedy indziej znowu ogrzewanie i instalacje z gorącą wodą działają aż nadto dobrze; to także zależy od obsługi. Stanowią ją sami starzy towarzysze; nie trzeba im dawać dokładnych wskazówek — wiedzą, o co gra idzie.

— Wystarczy — rzekł Iwanow.

— Pytaliście, w jaki sposób odkryłem moją teorię, więc tłumaczę wam — zamknął sprawę Gletkin. — Ważne jest tylko, abyśmy ciągle pamiętali o logicznej potrzebie tego wszystkiego; inaczej staniemy się cynikami, jak wy. Późno już, muszę iść.

Iwanow wypróżnił kieliszek i poprawił protezę na krześle; znowu miał bóle reumatyczne w kikutach. Był zły na siebie, że zaczął tę rozmowę.

Gletkin zapłacił. Kiedy kelner kantyny odszedł, zapytał:

— Co będzie z Rubaszowem?

— Powiedziałem już co o tym myślę — odpowiedział Iwanow. — Zostawić go w spokoju.

Gletkin wstał. Jego buty skrzypiały. Stał obok krzesła, na którym leżała noga Iwanowa.

— Uznaję jego dawne zasługi — powiedział. — Ale dziś jest tak samo szkodliwy, jak wtedy mój tłusty chłop, tylko bardziej niebezpieczny.

Iwanow spojrzął w górę, w martwe oczy Gletkina.

— Dałem mu dwa tygodnie do namysłu — rzekł. — Do tego czasu życzę sobie, aby go zostawiono w spokoju.

Iwanow mówił teraz tonem urzędowym; Gletkin był jego podwładnym. Zsalutował i wyszedł z kantyny, skrzypiąc butami.

Iwanow został na swoim miejscu. Wypił jeszcze jeden kieliszek, zapalił papierosa i wolno wypuścił dym. Po chwili wstał i pokuszył się do tamtych dwu oficerów, aby przyjrzeć się ich partii szachów.

3

Od czasu pierwszego przesłuchania standard życia Rubaszowa polepszył się w cudowny sposób. Stary dozorca zaraz następnego ranka przyniósł papier, ołówek, mydło i ręcznik. Jednocześnie dał Rubaszowowi bony więzienne równowartości gotówki, jaką posiadał w chwili aresztowania i wytłumaczył mu, że ma teraz prawo zamówić sobie w kantynie tytoń i dodatkowe jedzenie.

Rubaszow zamówił papierosy i trochę jedzenia. Staruch był tak samo zgryźliwy i małowówny jak zawsze, ale natychmiast przyczłapał ze wszystkim, po co go posłano. Przez chwilę Rubaszow myślał o tym, aby poprosić o lekarza spoza więzienia, ale potem wyszło mu to z pamięci. Na razie ząb mu nie dolegał. Umywszy się i zjadłszy trochę, Rubaszow czuł się znacznie lepiej.

Z podwórza wygarnięto śnieg i grupy więźniów chodziły dookoła, odrabiając codzienny spacer. Nie odbywał się on przez kilka dni z powodu śniegu; tylko Zajęczej Wardze i jego towarzyszowi pozwalano codziennie na dziesięciominutową przechadzkę, może na specjalne zlecenie lekarza; za każdym razem, kiedy wchodzili na podwórze czy wychodzili z niego, człowiek z zajęczą wargą spoglądał w górę, ku oknu Rubaszowa. Był to ruch tak wyraźny, że wykluczał jakąkolwiek wątpliwość.

Gdy Rubaszow nie pracował nad swoim notatnikiem, nie krążył tam i z powrotem po celi, stał przy oknie, opierając czoło o szybę i obserwował więźniów podczas spaceru. Odbywał się on grupami, po dwunastu na raz; chodzili dokoła podwórza parami w odległości dziesięciu kroków jedna od drugiej. Pośrodku podwórza stało czterech umundurowanych funkcjonariuszy, pilnując, by więźniowie nie rozmawiali ze sobą; tworzyli oni oś koła, które obracało się powoli i miarowo przez dwadzieścia minut. Potem odprowadzano więźniów z powrotem do budynku przez drzwi po prawej stronie, podczas gdy przez drzwi po lewej stronie wchodziła na podwórze nowa grupa i odrabiała

to samo monotonne kręcenie się w kółko, aż do następnej zmiany.

Przez pierwszych kilka dni Rubaszow szukał znajomych twarzy, ale nie znalazł nikogo. To go uspokoiło: tymczasem pragnął uniknąć jakichkolwiek wspomnień świata zewnętrznego, wszystkiego, co by mogło przeszkodzić w podjętym przedsięwzięciu. Jego przedsięwzięcie polegało na domysleniu swoich spraw do końca, na uporaniu się z przeszłością i przyszłością, z żyjącymi i umarłymi. Do terminu, jaki mu wyznaczył Iwanow, pozostało mu jeszcze dziesięć dni.

Panował nad swoimi myślami tylko wtedy, kiedy je spisywał; ale pisanie tak go wyczerpywało, że wytrzymywał je co najwyżej przez godzinę czy dwie dziennie. W pozostałych godzinach jego umysł pracował na własną rękę.

Rubaszow był zawsze przeświadczony, że zna siebie dość dobrze. Wolny od uprzedzeń moralnych, nie miał złudzeń co do zjawiska zwanego „pierwszą osobą liczby pojedynczej”; bez szczególnego przejęcia nawykł do tego, że z owym zjawiskiem wiąże się pewne impulsy, do których ludzie na ogół niechętnie się przyznają. Teraz, opierając się czołem o szybę, albo przystając nagle na trzeciej czarnej tafli podłogi, robił nieoczekiwane odkrycia. Wykrył, że proces, który się mylnie określa jako „monolog”, jest w rzeczywistości dialogiem specjalnego gatunku; dialogiem, podczas którego jeden z partnerów milczy, gdy drugi, wbrew wszelkim zasadom gramatyki, zwraca się do niego per „ja” zamiast per „ty”, po to, aby zakraść się w jego zaufanie i przeniknąć jego zamiary; ale milczący partner po prostu milczy dalej, uchyla się od obserwacji i nawet nie daje się umiejscowić w czasie i przestrzeni.

Teraz jednak wydawało się, że partner zazwyczaj milczący, przemawia niekiedy bez wezwania i bez jakiegokolwiek powodu; głos jego był Rubaszowowi najzupełniej nieznanym; słuchał go ze szczerym zdumieniem i stwierdzał, że jego własne wargi się poruszają. Doświadczenia te nie miały w sobie nic mistycznego i nic tajemniczego; charakter ich był zupełnie konkretny. Na podstawie czynionych obserwacji Rubaszow dochodził powoli do przekonania, że jeden ze składników tej pierwszej osoby liczby pojedynczej jest czymś najzupełniej namacalnym, kimś, kto milczał przez te wszystkie lata i teraz zaczyna mówić.

Był o wiele intensywniej zajęty tym odkryciem aniżeli szczegółami rozmowy z Iwanowem. Uznał za przesądzone, iż nie przyjmie propozycji Iwanowa i odmówi udziału w zabawie. W na-

stępstwie tego ma już tylko ograniczony okres życia przed sobą; i to przekonanie stało się podstawą jego rozmyślań.

Nie myślał w ogóle o bezsensownej historii zamachu na życie Nr 1; znacznie bardziej interesowała go osobowość samego Iwanowa. Iwanow powiedział, że role ich równie dobrze mogłyby być odwrócone; miał w tym na pewno słuszość. On i Iwanow byli bliźniakami, jeśli chodzi o rozwój; nie pochodzili z tego samego jajka, ale karmiła ich jedna pępowina wspólnych przekonań; charakter obydwu był urabiany i znaczony w ciągu rozstrzygających lat rozwoju przez intensywne oddziaływanie Partii. Mieli wspólny standard moralny, wspólną filozofię, myśleli tymi samymi kategoriami. Mogli się równie dobrze znaleźć w odwrotnym położeniu. Wtedy Rubaszow siedziałby przy biurku a Iwanow przed nim; i w tej pozycji Rubaszow używałby prawdopodobnie tych samych argumentów co Iwanow. Prawa gry były ustalone. Odchylenia były dopuszczalne tylko w szczegółach.

Opanował go znowu stary nałóg myślenia umysłem innych; siedział na miejscu Iwanowa i patrzył na siebie oczami Iwanowa, na siebie w sytuacji oskarżonego, tak jak kiedyś patrzył na Ryszarda i Małego Loewy. Widział tego zdegradowanego Rubaszowa, cień dawnego towarzysza i rozumiał mieszaninę czułości i pogardy, z jaką Iwanow się do niego odnosił. W czasie ich dyskusji kilkakrotnie zastanawiał się nad tym, czy Iwanow był szczerzy czy obłudny; czy zastawiał sidła czy też naprawdę chciał mu wskazać drogę wyjścia. Teraz, stawiając siebie na miejscu Iwanowa zrozumiał, że Iwanow był szczerzy — w takiej samej mierze, w jakiej on był szczerzy wobec Ryszarda, czy Małego Loewy.

Rozmyślania te także przybierały postać monologu, ale taką, do jakiej przywykł od dawna; nowo odkryta istota, partner milczący, nie brał w nim udziału. Choć był on tą domyślną osobą, do której się we wszystkich monologach zwracano, milczał, a jego istnienie ograniczało się do abstrakcji gramatycznej, zwanej „pierwszą osobą liczby pojedynczej”.

Pytania stawiane wprost i logiczne rozmyślania nie skłaniały jej do mówienia; odzywała się bez widocznego powodu i zawsze, dziwnym zbiegiem okoliczności, w związku z ostrym atakiem bólu zęba. Na jej życie duchowe zdawały się składać tak różne i nie mające ze sobą związku fragmenty, jak złożone ręce „Piety”, melodia piosenki z refrenem „Razem nie będzie nas”, koty Małego Loewy albo jakieś szczególne zdanie, które Arłowa powiedziała kiedyś przy jakiejś szczególnej okazji. Sposób wyrażania się tej „osoby” był równie fragmentaryczny: na przykład

przymus wycierania binokli o rękaw, impuls popychający do dotknięcia jasnej plamy na ścianie w pokoju Iwanowa, poruszenie się warg, którego nie można opanować, choć szeptały bezsensowne zdania, jak „zapłać”, wreszcie stan zamroczenia, wywołany snami na jawie o minionych epizodach z własnego życia.

W czasie swoich wędrówek po celi Rubaszow starał się bardzo dokładnie studiować tę nową istotę; niechęć kładzenia jakiegokolwiek nacisku na pierwszą osobę liczby pojedynczej, niechęć, której nauczono go w Partii, sprawiła, że nazwał ją „fikcją gramatyczną”. Pozostało mu prawdopodobnie już tylko kilka tygodni życia, więc czuł nagłą przymus wyjaśnienia tej sprawy, „domyślenia jej do logicznego końca”. Ale dziedzina „fikcji gramatycznej” zaczynała się widać właśnie tam, gdzie „myślenie do logicznego końca” ustawało. Była to wyraźnie zasadnicza cecha tej istoty, że pozostawała ona poza zasięgiem logicznej myśli, by napaść na człowieka nagle i niespodzianie, jakby z zasadzki, zatakować go snami na jawie i bólem zęba. I tak Rubaszow cały siódmy dzień więzienia, trzeci po pierwszym przesłuchaniu, spędził na ponownym przeżyciu pewnego minionego okresu swojej egzystencji — mianowicie stosunku do dziewczyny nazwiskiem Arłowa, która została rozstrzelana.

Ustalić później dokładny moment, w którym — na przekór postanowieniom — pogrążył się w sen na jawie było tak samo niemożliwe, jak ustalić chwilę zapadania się w sen rzeczywisty. Rankiem siódmego dnia pracował nad notatkami, potem prawdopodobnie wstał na chwilę, aby trochę rozprostować nogi — a obudził się dopiero w chwili, gdy usłyszał brzęk klucza w zamku i zrozumiał, że jest południe i że chodził po celi tam i z powrotem od czterech godzin bez przerwy. Otulił się nawet kocem, bo prawdopodobnie także od wielu godzin wstrząsała nim rytmicznie jakaś gorączka i czuł, jak nerw zęba pulsuje w skroniach. Nieprzytomnie wygarnął łyżką z menażki to, co mu dyżurni nałożyli czerpakiem i wrócił do przechadzki. Dozorca, który obserwował go od czasu do czasu przez otwór judasza, widział, że drząc cały, podnosił ramiona i poruszał wargami.

Rubaszow znowu oddychał powietrzem swego dawnego biura w Misji Handlowej, które było przesiąknięte dziwnie znajomym zapachem ciężkiego, zgrabnego i leniwego ciała Arłowej; znowu widział nad białą bluzką krzywiznę jej szyi, schylającej się nad notatnikiem gdy dyktował i okrągłe oczy, w przerwach między zdaniem śledzące jego przechadzki po pokoju. Zawsze nosiła białe bluzki z wysokim kołnierzykiem wyszywanym w drobne kwiaty — pamiętał z domu, że siostry ubierały się podobnie —

i zawsze te same tanie kolczyki, które wystawały trochę poza policzki, kiedy się schylała nad notatnikiem. Na swój powolny, bierny sposób była jak stworzona do tej pracy i dziwnie kojąco działała na nerwy Rubaszowa, gdy był przepracowany.

Nowe stanowisko dyrektora Misji Handlowej w B. objął natychmiast po wypadku z Małym Loewy i rzucił się z pasją do roboty; był wdzięczny KC, że powierzył mu tę czysto biurową pracę. Przenoszenie czołowych ludzi z Międzynarodówki do służby dyplomatycznej zdarzało się niesłychanie rzadko. Nr 1 miał prawdopodobnie specjalne zamiary wobec niego, bo zwykle przestrzegano ścisłego rozdziału między tymi dwiema hierarchiami i nie pozwalano na ich kontaktowanie się ze sobą; czasem uprawiały one nawet zupełnie odmienną politykę. Dopiero gdy się patrzyło na to z wyższego punktu widzenia sfery otaczającej Nr 1, rozwiązywały się te rzekome sprzeczności i motywy stawały się jasne.

Rubaszow musiał się wpierv przyzwyczać do nowego trybu życia; bawiło go, że ma teraz paszport dyplomatyczny, prawdziwy i nawet opiewający na jego nazwisko, że w przepisowym ubraniu musi brać udział w przyjęciach; że policjanci mu salutują i że dyskretnie ubrani panowie w czarnych melonikach, którzy niekiedy chodzą jego śladem, robią to wyłącznie w trosce o jego cenną osobę.

Początkowo czuł się trochę nieswojo w atmosferze, jaka panowała w pokojach Misji Handlowej, dołączonej do poselstwa. Rozumiał, że w świecie burżuazyjnym trzeba reprezentować i przestrzegać zasad przyjętej gry, ale zdawało mu się, że tej grze oddawano się tutaj aż nadto gorliwie, tak iż trudno było rozróżnić pozór od rzeczywistości. Kiedy pierwszy sekretarz poselstwa zwrócił Rubaszowowi uwagę na pewne konieczne zmiany w jego ubraniu i w jego stylu życia — pierwszy sekretarz poselstwa przed Rewolucją fałszował dla Partii pieniądze — nie zrobił tego w sposób przyjazny i wesoły, ale z tak zaakcentowaną ostrożnością i takim taktem, że scena stała się kłopotliwa i zdenerwowała Rubaszowa.

Rubaszow miał dwunastu podwładnych, i każdy z nich posiadał ściśle określoną rangę; byli tam pierwszy i drugi asystent, pierwszy i drugi buchalter, sekretarze i pomocnicy sekretarzy. Rubaszow odnosił wrażenie, że wszyscy patrzą na niego jak na skrzyżowanie bohatera narodowego i herszta szajki złodziejskiej. Zbliżali się do niego z przesadnym szacunkiem i pobłażliwie tolerancyjną wyższością. Kiedy sekretarz poselstwa był zmuszony zwrócić się do niego w sprawie jakiegoś dokumentu, siłił się

na używanie prostych określeń, jakby rozmawiał z dzikusiem lub z dzieckiem. Arłowa, sekretarka osobista Rubaszowa, najmniej działała mu na nerwy; nie rozumiał tylko, dlaczego do swoich przyjemnych, prostych bluzek i spódnic nosiła lakierki na śmiesznie wysokich obcasach.

Niemal po upływie miesiąca zagadnął ją w zwykły sposób. Był zmęczony dyktowaniem, przemierzaniem pokoju tam i z powrotem i nagle zdał sobie sprawę z panującej ciszy. — Dlaczego nigdy nic nie mówicie, towarzyszeko Arłowa? — zapytał i usiadł w wygodnym krześle za biurkiem.

— Jeśli sobie życzycie — odpowiedziała sennym głosem — będąc zawsze powtarzała ostatnie słowo zdania.

Codziennie siedziała na krześle przed stołem, w wyszywanej bluzce, pochylając ciężkie, kształtne piersi nad notatnikiem, z przygiętą głową i kolczykami, które zwisały równolegle do policzków. Jedynym zgrzytem w jej wyglądzie były lakierki na wysokich obcasach, ale nigdy nie zakładała nogi na nogę, jak to robiły inne kobiety, znane Rubaszowowi. Ponieważ dyktując zawsze spacerował, widział ją zwykle od tyłu albo z półprofilu i najwyraźniej pamiętał łuk jej zgiętej szyi. Kark jej nie był ani owłosiony, ani ogolony; biała skóra była mocno naciągnięta na kręgach; poniżej, na brzegu białej bluzki kwitły wyszywane kwiatki.

W swojej młodości Rubaszow nie miał wiele do czynienia z kobietami; prawie zawsze były to towarzyszkki i prawie zawsze historia zaczynała się od dyskusji, która przeciągała się tak długo w noc, że ten, kto był gościem, spóźniał się na ostatni tramwaj.

Po nieudanej próbie nawiązania rozmowy minęły znów dwa tygodnie. Z początku Arłowa rzeczywiście powtarzała swoim ospałym głosem ostatnie słowo dopiero co podyktowanego zdania, potem przestała i kiedy Rubaszow przerywał, pokój był znów cichy i przesycony jej siostrzanym zapachem. Jednego popołudnia Rubaszow, ku swemu własnemu zdziwieniu, zatrzymał się za jej krzesłem, położył lekko obie ręce na jej ramionach i zapytał, czy zechce z nim spędzić wieczór... Nie drgnęła i ramiona jej nie poruszyły się pod jego dotknięciem; przytaknęła milcząco i nawet nie odwróciła głowy. Rubaszow nie miał zwyczaju robienia swawolnych dowcipów, ale później, tej samej nocy nie mógł się powstrzymać i powiedział z uśmiechem: „Można by pomyśleć, że ciągle jeszcze piszesz pod dyktando”. Zarys jej dużej, zgrabnej piersi wydawał się w ciemności pokoju czymś

tak znajomym, jak gdyby była tutaj zawsze. Tylko kolczyki leżały teraz na płask na poduszce. Jej oczy miały taki sam wyraz jak zawsze, kiedy powiedziała zdanie, którego Rubaszow nie mógł wymazać z pamięci podobnie, jak złożonych rąk „Piety” i zapachu alg w miasteczku portowym:

— Zawsze będziecie mogli ze mną robić, co się wam podoba.

— Dlaczego? — zapytał Rubaszow zdumiony i trochę przeżony.

Nie odpowiedziała. Prawdopodobnie już spała. Jej oddech podczas snu był tak samo niesłyszalny jak wtedy, kiedy czuwała. Rubaszow nie zauważył nigdy, że w ogóle oddycha. Nie widział jej jeszcze z zamkniętymi oczami. Teraz jej twarz wydawała mu się obca; z zamkniętymi oczami miała o wiele więcej wyrazu, aniżeli gdy oczy były otwarte. Tak samo obce były czarne cienie pod pachami; jej broda, zwykle pochylona na piersi, sterczała sztywno jak u umarłej. Ale lekki, siostrzany zapach płynął od jej ciała ku niemu, nawet gdy spała.

Następnego dnia i potem codziennie siedziała znów pochylona nad biurkiem w swojej białej bluzce; najbliższej i każdej następnej nocy błądy zarys jej piersi odcinał się od ciemnych firan sypialni. Dzień i noc Rubaszow żył w atmosferze jej dużego, leniwego ciała. Zachowanie jej w czasie pracy pozostało bez zmian, głos i wyraz jej oczu były zawsze te same; nie powstał w nich nigdy nawet ślad jakiegokolwiek napomknienia. Od czasu do czasu, kiedy Rubaszow zmęczył się dyktowaniem, przystawał za jej krzesłem i opierał ręce na jej ramionach; nic nie mówił, a jej ciepłe ramiona nie ruszały się pod bluzką; wtedy znajdował zdanie, którego szukał i, wracając do wędrówki po pokoju, znowu podejmował dyktando.

Niekiedy robił sarkastyczne uwagi na temat tego co dyktował; wtedy przestawała pisać i z ołówkiem w ręku czekała, aż skończy; ale nigdy nie uśmiechała się z jego złośliwości i Rubaszow nigdy nie wykrył, co o nich naprawdę myślała. Tylko raz, po szczególnie niebezpiecznym dowcipie Rubaszowa, dotyczącym pewnych osobistych nawyków Nr 1, rzekła nagle swoim sennym głosem: „Nie powinniście mówić takich rzeczy przy obcych; w ogóle powinniście zachowywać większą ostrożność...”. Ale on od czasu do czasu, zwłaszcza kiedy przychodziły nakazy i okólniki z góry, czuł potrzebę ulżenia sobie heretyckimi dowcipami.

Był to okres przygotowywania drugiego wielkiego procesu opozycji. Powietrze w poselstwie zrobiło się dziwnie rozrze-

dzone. Nocą znikwały ze ścian fotografie i portrety; wisały tam od lat, nikt na nie nigdy nie patrzył, ale teraz jasne plamy po nich rzucały się w oczy. Personel ograniczał rozmowy do spraw służbowych; rozmawiano ze sobą z ostrożną i powściągliwą grzecznością. Podczas posiłków w kantine poselstwa, kiedy niepodobna było uniknąć konwersacji, uciekano się do frazesów zaczerpniętych z terminologii oficjalnej, co w atmosferze codzienności robiło groteskowe i raczej nieprzyjemne wrażenie; można było myśleć, że między prośbą o sól i musztardę ludzie zwołują się hasłami manifestu uchwalonego przez ostatni Kongres. Często się zdarzało, że ktoś protestował przeciwko rzekomo fałszywej interpretacji tego, co przed chwilą powiedział i brał sąsiadów na świadków gorączkowymi okrzykami w rodzaju „ja tego nie powiedziałem”, albo „nie o to mi chodziło”. Wszystko razem robiło na Rubaszowie wrażenie dziwnego i ceremonialnego widowiska marionetkowego, gdzie każda figurynka, poruszana drutami, wypowiada wyznaczoną rolę. Tylko Arłowa ze swoim cichym, ospałym sposobem bycia wydawała się niezmienną.

Nie tylko portrety na ścianach, ale i półki w bibliotece podległy czystce. Znikanie pewnych książek i broszur odbywało się dyskretnie, zwykle w dzień po nadejściu nowych wskazówek z Centrali. Dyktując Arłowej, Rubaszow robił sarkastyczne komentarze na ten temat, a ona przyjmowała je w milczeniu. Zniknęła z półek większość dzieł na temat handlu zagranicznego i systemu monetarnego — zaarrestowano właśnie ich autora, Komisarza Ludowego dla Spraw Finansowych; tak samo zniknęły prawie wszystkie sprawozdania z dawnych Kongresów Partii, odnoszące się do tego samego tematu; większość książek i podręczników dotyczących historii i wyprzedzeń Rewolucji; prawie wszystkie dzieła żyjących jeszcze autorów z dziedziny prawa i filozofii; wszystkie broszury na temat regulacji urodzin; podręczniki na temat struktury Armii Ludowej; traktaty o związkach zawodowych i prawie do strajku w Państwie Ludowym; właściwie każda rozprawa dotycząca problemów konstytucji politycznej napisana dawniej niż dwa lata temu i wreszcie nawet tomy Encyklopedii wydanej przez Akademię — obiecano za to szybko nowe, przerobione wydanie.

Nadchodziły także nowe książki: klasycy nauk społecznych ukazywali się z nowymi przypiskami i komentarzami, stare historie zastąpiono nowymi, dawne pamiętniki umarłych przywódców Rewolucji zastąpiono nowymi pamiętnikami tych samych nieboszczyków. Rubaszow żartem powiedział do Arłowej, że należy

jeszcze tylko wydać nowe, ulepszone wydanie starych numerów wszystkich gazet.

Tymczasem kilka tygodni temu przyszło „z góry” polecenie aby wyznaczyć bibliotekarza, który by ponosił odpowiedzialność polityczną za skład biblioteki poselstwa. Wyznaczono Arłową. Rubaszow mruczał coś pod nosem o „ogródku dzieciennym” i całą rzecz uważał za idiotyzm aż do tego wieczora, gdy na tygodniowym zebraniu komórki partyjnej poselstwa Arłową ostro zaatakowano z kilku stron naraz.

Podnieśli się jeden po drugim trzej czy czterej mówcy, między innymi także pierwszy sekretarz poselstwa i skarżyli się, że nie ma w bibliotece niektórych najważniejszych przemówień Nr 1, a za to pełno w niej jeszcze dzieł opozycji i że książki polityków, których tymczasem zdemaskowano jako szpiegów, zdrajców i agentów obcych mocarstw do niedawna jeszcze zajmowały na półkach pierwsze miejsca; trudno więc nie podejrzewać w tym świadomej demonstracji. Mówcy byli chłodni i dotkliwie rzeczowi; wypowiadali starannie dobrane zdania. Odnosiło się wrażenie, że podają sobie po kolei z ust do ust słowa z góry ustalonego tekstu. Każde przemówienie kończyło się wnioskiem, że najważniejszym obowiązkiem Partii jest czujność, bezlitosne piętnowanie nadużyć i że każdy kto tego obowiązku nie spełnia, staje się współnikiem nikczemnych sabotażystów. Kiedy przynaglono Arłową do oświadczenia w poruszonej sprawie, powiedziała ze zwykłym sobie spokojem, że dalekie jej są jakiegokolwiek złe intencje i że wykonała wszystkie polecenia, jakie jej dano; ale przemawiając swoim głębokim, z lekka zachrypniętym głosem, utkwiała na długą chwilę wzrok w Rubaszowa, czego na ogół nie robiła nigdy w obecności osób trzecich. Zebranie skończyło się rezolucją postanawiającą udzielić Arłowej „surowej nagany”.

Znając aż nadto dobrze sposoby, do jakich Partia się ostatnio uciekała — Rubaszow uczuł niepokój. Domyślał się, że szykowano coś na Arłową i czuł się bezsilny, bo nie stało się nic konkretnego, z czym można by walczyć.

Powietrze w poselstwie zrobiło się jeszcze bardziej rozrzedzone. Rubaszow przestał robić osobiste przymówki w czasie dyktowania i to wywoływało w nim osobliwe poczucie winy. Na pozór nic się w jego stosunkach z Arłową nie zmieniło, ale to dziwne poczucie winy, wypływające wyłącznie z niemożności robienia żartobliwych uwag w czasie dyktanda, powstrzymywało go od zatrzymania się za jej krzesłem i położenia rąk na jej ramionach, jak dawniej.

Po tygodniu pewnego wieczoru nie przyszła do jego pokoju, i nie zjawiła się także żadnego z następnych wieczorów. Dopiero po trzech dniach Rubaszow zdobył się na to, aby zapytać o przyczynę. Odpowiedziała swoim ospałym głosem coś na temat migreny i Rubaszow więcej nie nalegał. Odtąd już nie przychodziła, z jednym wyjątkiem.

Było to w trzy tygodnie po zebraniu komórki, które udzieliło owej „surowej nagany”, a w dwa tygodnie od czasu, gdy przestała go odwiedzać. Jej zachowanie było niemal takie, jak zawsze, ale przez cały wieczór Rubaszow miał wrażenie, że oczekuje od niego jakiegoś decydującego słowa. Tymczasem powiedział tylko, że cieszy się z jej powrotu i że jest przepracowany i zmęczony — co zresztą było prawdą. W nocy zauważył kilkakrotnie, że dziewczyna nie śpi i wpatruje się w ciemność. Nie mógł się wyzbyć dręczącego poczucia winy; wrócił także ból zęba. Były to jej ostatnie odwiedziny u niego.

Następnego dnia, zanim Arłowa zjawiła się w biurze, sekretarz powiadomił Rubaszowa w sposób niby poufny, ale dobierając starannie każde słowo, że tydzień temu brat i bratowa Arłowej zostali „tam” zaaresztowani. Brat Arłowej ożenił się z cudzoziemką; oboje oskarżono o zdradzieckie związki z jej krajem ojczystym w służbie opozycji.

Arłowa przyszła do pracy kilka minut później. Jak zawsze siedziała na krześle przed biurkiem, w wyszywanej bluzce, trochę przygięta naprzód. Rubaszow chodził za jej krzesłem tam i z powrotem i cały czas miał przed oczami jej pochylony kark ze skórą lekko naciągniętą na kręgach. Nie mógł oderwać oczu od tego skrawka skóry i czuł niepokój prawie dorównujący fizycznemu bólowi. Nie mógł się uwolnić od myśli, że „tam” zabijają skazanych strzałem w kark.

Na następnym zebraniu komórki partyjnej na wniosek pierwszego sekretarza zwolniono Arłową ze stanowiska bibliotekarza z uzasadnieniem, że jest politycznie niepewna. Nie dodano żadnych komentarzy i nie było dyskusji. Rubaszow, prawie nieprzytomny z bólu zęba, przeprosił, że nie będzie obecny na zebraniu.

W kilka dni później odwołano Arłową i jeszcze jednego członka personelu. Dawni koledzy nigdy nie wymieniali ich nazwisk; ale przez resztę miesięcy, które jeszcze spędził w poselstwie, zanim go odwołano, ściany pokoju tchnęły siostrzanym zapachem jej dużego, leniwego ciała — uporczywie i do końca.

WYKŁĘTY POWSTA LUDU ZIEMI.

Od samego ranka dziesiątego dnia po zaarrestowaniu Rubaszowa nowy sąsiad z lewej strony, mieszkaniec celi nr 406, wystukiwał w regularnych odstępach ten sam wiersz, zawsze z tym samym błędem ortograficznym: „POWSTA” zamiast „POWSTAN”. Rubaszow kilka razy próbował nawiązać z nim rozmowę. Tak długo jak Rubaszow stukał, nowy sąsiad słuchał milcząc; ale jedyną odpowiedź, jaka nadchodziła, stanowił rząd liter bez żadnego związku, a na zakończenie zawsze ten sam okaleczony wiersz:

WYKŁĘTY POWSTA LUDU ZIEMI.

Wsadzono tam tego nowego sąsiada poprzedniej nocy. Rubaszow się obudził, ale słyszał tylko stłumione odgłosy i zamykanie celi nr 406. Rano, natychmiast po pierwszej pobudce, Nr 406 zaczął stukać „WYKŁĘTY POWSTA LUDU ZIEMI”.

Stukał szybko i zręcznie z tak wirtuozowską techniką, że błąd ortograficzny i bezsens reszty przekazów tłumaczyły się przyczyną psychiczną, nie techniczną. Nowy sąsiad był prawdopodobnie chory umysłowo.

Po śniadaniu przyszedł sygnał od młodego oficera pod nr 402, że pragnie rozmowy. Między Rubaszowem a Nr 402 zawiązała się pewnego rodzaju przyjaźń. Oficer z monoklem i podkręconym wąsem widać żył w stanie chronicznej nudy, bo był Rubaszowowi zawsze wdzięczny za najdrobniejsze okruczności rozmowy. Pięć albo sześć razy dziennie prosił Rubaszowa pokornie:

ROZMAWIAJCIE ZE MNĄ...

Rubaszow rzadko kiedy miał na to ochotę; nie bardzo zresztą wiedział, o czym mówić z Nr 402. Zazwyczaj wystukiwał on klasyczne anegdoty z messy oficerskiej. Kiedy dochodził do pointy, nastawała bolesna cisza. Były to kawały stare, trącające myszką, o patriarchalnej nieprzyzwoitości; można sobie było wyobrazić, jak Nr 402, wystukawszy je do końca, czekał na wybuch śmiechu i rozpaczliwie gapił się na niemą, bieloną ścianę. Rubaszow, powodowany współczuciem i grzecznością wystukiwał niekiedy binoklami, jako namiastkę śmiechu głośne HA-HA! Wtedy Nr 402 wychodził ze skóry; naśladował wybuch śmiechu, waląc w ścianę pięściami i butami: HA-HA!, robiąc od czasu do czasu przerwę, aby się upewnić, czy Rubaszow mu towarzyszy. Jeśli milczał, robił mu wyrzuty: NIE ŚMIELIŚCIE SIĘ... Jeśli Rubaszow dla świętego spokoju dodawał jedno czy

dwa HA-HA, Nr 402 zawiadamiał go potem: ALEŚMY SIĘ UBAWILI.

Czasem szkalował Rubaszowa. Innym razem znowu, jeśli nie otrzymywał żadnej odpowiedzi, potrafił wystukać całą piosenkę żołnierską, o niezliczonej ilości zwrotek. Zdarzało się niekiedy, że Rubaszow, chodząc tam i na powrót, pogrążony we śnie na jawie czy zatopiony w rozmyślaniach, zaczynał podśpiewywać refren jakiegoś starego marsza, którego obraz akustyczny ucho jego bezwiednie zanotowało.

Ale Nr 402 był także pożyteczny. Siedział tu już od dwu lat; wiedział wszystko, komunikował się z wielu sąsiadami, podchwytując każdą plotkę; miało się wrażenie, że wie o wszystkim, co się w całym budynku dzieje.

Rano po przybyciu Nr 406, kiedy oficer zaczął zwykłą rozmowę, Rubaszow zapytał go, czy zna jego nowego sąsiada. Nr 402 odpowiedział: RIP VAN WINKLE.

Nr 402 lubił wyrażać się zagadkowo, ażeby rozmowę uczynić bardziej podniecającą. Rubaszow starał się rozwiązać tę zagadkę. Przypomniawszy sobie bajkę o człowieku, który spał przez dwadzieścia pięć lat i kiedy się obudził, nie poznał świata, w którym się znalazł.

STRACIŁ PAMIĘĆ? — zapytał.

Zadowolony z wrażenia, jakie wywarł, Nr 402 opowiedział Rubaszowowi, co wiedział. Nr 406 był kiedyś profesorem socjologii w jednym z małych państw Europy południowo-wschodniej. Pod koniec ostatniej wojny wziął udział w Rewolucji, która wybuchła w tym kraju, jak zresztą prawie we wszystkich krajach Europy owego czasu. Powołano „Komunę”, która przeżyła kilka romantycznych tygodni, i którą spotkał zwykły, krwawy koniec. Przywódcy rewolucji byli amatorami, ale represji, idących w ślad za nią dokonano z zawodową dokładnością; Nr 406, któremu Komuna nadała dźwięczny tytuł „Sekretarza Stanu dla Spraw Oświecenia Ludu”, został skazany na śmierć przez powieszenie. Rok czekał na egzekucję, po czym wyrok zmieniono na dożywotnie więzienie. Odsiedział z tego dwadzieścia lat.

Odsiedział dwadzieścia lat, przeważnie w odosobnieniu, bez żadnej styczności ze światem zewnętrznym, bez gazet. Wszystko wskazywało na to, że zapomniano o nim bez reszty; wymiar sprawiedliwości w tym południowo-wschodnim kraju miał jeszcze trochę patriarchalny charakter. Nagle miesiąc temu zwolniono go na skutek amnestii; po dwudziestu latach snu i mroku Rip Van Winkle znalazł się znowu na świecie.

Wsiadł do pierwszego pociągu jadącego tutaj, do kraju ma-

rzeń. Zaareztowano go w dwa tygodnie po przyjeździe. Może po dwudziestu latach odosobnienia stał się zbyt gadatliwy. Może zwierzył się ludziom, jak sobie wyobrażał życie tutaj w czasie długich dni i nocy, spędzonych w celi. Może dopytywał się o adresy starych przyjaciół, bohaterów Rewolucji, nie wiedząc że byli zdrajcami i szpiegami. Może złożył wieniec na fałszywym grobie, albo może chciał odwiedzić swego sławnego sąsiada, towarzysza Rubaszowa.

Teraz miał czas zastanawiać się nad tym, co lepsze: dwadzieścia kilka lat rojeń na słomianym sienniku w ciemnej celi, czy rzeczywistość w białym świetle dnia na rozstępie dwu tygodni. Może nie był już całkiem normalny. Taka była historia Rip van Winkla...

Niedługo po wystukaniu długiej opowieści przez Nr 402 Rip van Winkle zaczął znowu: pięć czy sześć razy powtórzył swój okaleczony wiersz: WYKŁĘTY POWSTA LUDU ZIEMI, potem zamilkł.

Rubaszow leżał na pryczy z zamkniętymi oczami. „Fikcja gramatyczna” znów dawała się we znaki; nie wyrażała się słowami, tylko nieokreślonym niepokojem, który oznaczał:

— Za to też będziesz musiał zapłacić, za to także jesteś odpowiedzialny, bo działałeś wtedy, kiedy on marzył.



Tego samego popołudnia zaprowadzono Rubaszowa do gołenka.

Pochód składał się tym razem tylko ze starego dozorca i jednego strażnika w mundurze; stary człapał dwa kroki przed nimi, żołnierz maszerował dwa kroki za Rubaszowem. Przeszli koło nr 406; na drzwiach wciąż jeszcze nie umieszczono kartki z nazwiskiem. U fryzjera był tylko jeden z dwu więźniów, którzy tam pracowali; wyraźnie dbano o to, aby Rubaszow nie nawiązywał zbyt licznych kontaktów.

Usiadł w fotelu. Zakład wyglądał stosunkowo czysto; było w nim nawet lustro. Zdjął binokle i przyjrzał się swojej twarzy; poza zarostem na policzkach nie zauważył żadnej zmiany.

Fryzjer pracował w milczeniu, szybko i starannie. Drzwi pokoju zostały otwarte; dozorca gdzieś poczłapał; umundurowany strażnik stał oparty o drzwi i przypatrywał się zabiegom. Letnia piana na twarzy napełniała Rubaszowa przyjemnym uczuciem; nachodziła go lekka pokusa rozczulenia się drobnymi przyjemnościami życia. Miał ochotę porozmawiać z fryzjerem,

ale wiedział, że to zabronione i nie chciał wprowadzać go w kłopot, bo jego szeroka, otwarta twarz była mu sympatyczna. Sądząc z fizjonomii Rubaszow byłby skłonny przypuszczać, że jest raczej ślusarzem lub mechanikiem.

Kiedy fryzjer skończył namydlenie i pociągnął ostrzem po skórze, zwracając się do niego per „Obywatelu Rubaszow” zapytał, czy brzytwa nie drapie. Było to pierwsze zdanie od chwili wejścia Rubaszowa do pokoju i mimo rzeczowego tonu fryzjera nabrało specjalnego znaczenia. Potem znowu zapadła cisza. Strażnik stojący we drzwiach zapalił papierosa; fryzjer strzygł kocią bródkę i włosy Rubaszowa szybkimi, zgrabnymi ruchami. Kiedy się schylił, Rubaszow pochwycił przez chwilę jego spojrzanie; w tej samej chwili fryzjer wetknął mu dwa palce za kołnierzyk, jak gdyby chciał łatwiej dosięgnąć włosów na karku; kiedy wyciągnął palce, Rubaszow poczuł pod kołnierzykiem drapanie papierowego zwitka. Po paru minutach operacja dobiegła końca i Rubaszowa odprowadzono z powrotem do celi. Usiadł na łóżku, z oczami utkwionymi w przeziór judasza, aby się upewnić, że go nie obserwują, wyciągnął gryps, wyprostował i przeczytał. Zawierał on tylko trzy słowa, wyraźnie nakreślone z pośpiechem:

„Umrzyj w milczeniu”.

Rubaszow wyrzucił skrawek do kubła i na nowo podjął wędrówkę. Była to pierwsza wiadomość, jaka dotarła do niego ze świata. W kraju wroga często przemycano grypsy do więzienia; wzywały go one do głośnego protestu, do rzucenia w twarz oskarżycielom ich własnych oskarżeń. Czy zdarzają się w historii także takie chwile, kiedy rewolucjonista powinien milczeć? Czy istnieją w historii punkty zwrotne, kiedy wymaga się od niego tylko jednej rzeczy, kiedy jedynie słusznym postępowaniem jest: umrzeć w milczeniu?

Rozmyślenia Rubaszowa przerwał Nr 402; zaczął stukać zaraz po jego powrocie. Umierał z ciekawości i chciał wiedzieć, dokąd Rubaszowa zaprowadzono.

DO GOLENIA, wyjaśnił Rubaszow.

MIAŁEM JUŻ NAJGORSZE OBAWY, zastukał współczująco Nr 402.

PO WAS, PROSZĘ, odstukał Rubaszow.

Nr 402 był, jak zwykle, wdzięcznym rozmówcą.

HA-HA! dał wyraz swoim uczuciom. BYCZY Z WAS CHŁOP...

Dziwnym zbiegiem okoliczności ten archaiczny komplement wywołał w Rubaszowie coś w rodzaju zadowolenia. Zazdrościł Nr 402; jego kasta postępuje według rygorystycznego kodeksu honorowego, który ściśle określa, jak należy żyć i umierać. Takiej rzeczy można się uchwycić. Dla takich jak on nie ma przepisów; wszystko trzeba wypracować samemu.

Nie ma etykiety nawet dla umierających. Co jest bardziej godne: umrzeć w milczeniu — czy też poniżyć się publicznie po to, by móc nadal wprowadzać w życie swoje cele? Poświęcił Arłową dlatego, że jego własne życie przedstawiało dla Rewolucji większą wartość. Taki był ostateczny argument, którym posłużyli się przyjaciele, aby go przekonać; obowiązek zachowania siebie w odwodzie na później był ważniejszy od nakazów drobnomieszczańskiej moralności. Dla tych, którzy zmienili oblicze historii istnieje tylko jeden obowiązek: zostać na miejscu i być w pogotowiu. „Możecie ze mną zrobić co wam się podoba”, powiedziała Arłowa i tak zrobił.

Dlaczego by dla siebie miał być bardziej pobłażliwy? „Najbliższe dziesięciolecie rozstrzygnie o losie naszej epoki”, zacytował Iwanow. Czy wolno mu się wymknąć tylko z przyczyny osobistej niechęci, zmęczenia i próżności? A jeśli mimo wszystko Nr 1 ma słuszność? A jeśli mimo wszystko i na przekór wszystkiemu w brudzie i krwi i kłamstwie kładzie się tutaj wspaniały fundament pod przyszłość? Czyż historia nie była zawsze nie-ludzkim budownictwem, wyzutym ze skrupułów, urabiającym swoje spoiwo z mieszaniny kłamstwa, krwi i błota?

Umrzyj w milczeniu — rozpułń się w ciemności — łatwo powiedzieć...

Rubaszow zatrzymał się nagle na trzeciej czarnej płycie od okna, przychwycił się na tym, że kilka razy głośno powtórzył wyrazy: „umrzyj w milczeniu” tonem ironicznej dezaprobaty, jak gdyby chcąc podkreślić ich zupełną nedorzecznosc...

I dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jego decyzja odrzucenia oferty Iwanowa nie jest taka niewzruszona, jak przypuszczał. W tej chwili wydało mu się wątpliwe, czy poważnie miał zamiar odrzucić tę ofertę i zejść bez słowa ze sceny.

5

Polepszenie poziomu życia trwało ciągle. Rankiem jedenas-tego dnia po raz pierwszy wyprowadzono Rubaszowa na spacer po podwórzu.

Niedługo po śniadaniu przyszedł po niego stary dozorca w towarzystwie tego samego strażnika, który eskortował go w czasie wyprawy do fryzjera. Dozorca zakomunikował Rubaszowowi, że począwszy od dzisiejszego dnia ma prawo do dwudziestominutowego spaceru po podwórzu. Przydzielono go do „pierwszej grupy”, która zaczynała zaraz po śniadaniu. Następnie dozorca wyrecytował obowiązujące przepisy: rozmowa z sąsiadem czy jakimkolwiek innym więźniem podczas spaceru jest zabroniona; tak samo dawanie jakichkolwiek znaków, wymiana wiadomości na piśmie i wyłamania się z szeregu; nieprzestrzeganie przepisów jest karane natychmiastowym skasowaniem przywileju przechadzki; poważne wykroczenia przeciwko dyscyplinie zamknięciem do czterech tygodni w ciemnicy. Potem zatrzasnął celę od zewnątrz i cała trójka ruszyła. Po paru krokach dozorca zatrzymał się i otworzył drzwi celi nr 406.

Stojąc przy umundurowanym strażniku, w pewnej odległości od drzwi, Rubaszow zobaczył nogi Rip van Winkla, leżącego na pryczy. Miał na sobie czarne buty zapinane na guziki i spodnie w kratkę, które były wystrzępione u dołu, ale wciąż jeszcze robiły wrażenie, jakby je ktoś najbardziej usilnie szczotkował. Dozorca jeszcze raz odbębnił przepisy; nogi w kratkowanych spodniach zsunęły się nieco chwiejnie z pryczy i w drzwiach stanął drobny, stary mężczyzna, mrugając powiekami. Twarz miał pokrytą siwym zarostem; do frapujących spodni nosił czarną kamizelkę z metalowym łańcuszkiem od zegarka i czarną, sukienką marynarkę. Stanął w oddrzwiach, przypatrując się Rubaszowowi z nieukrywaną ciekawością; potem skinął głową krótko i przyjaźnie, i cała czwórka ruszyła dalej.

Rubaszow oczekiwał spotkania z kimś, kto jest niespełna rozumu; teraz zmienił zdanie. Mimo nerwowego drgania w brwiach, spowodowanego prawdopodobnie wieloletnim pobytem w mrocznej celi, oczy Rip van Winkla były jasne i dziecinnie ufnie. Szedł raczej z trudem, ale drobnymi, pewnymi krokami i od czasu do czasu obrzucał Rubaszową przyjaznym spojrzeniem. Przy schodzeniu po schodach starszerek potknął się nagle i byłby zleciał, gdyby strażnik nie schwycił go zawczasu pod ramię. Rip van Winkle wyszeptał kilka słów, ale zbyt cicho, by Rubaszow mógł cokolwiek usłyszeć; widać wyrażały one grzeczne podziękowanie; strażnik uśmiechnął się głupkowato. Potem przez otwartą bramę wyszli na podwórze i zastali już innych więźniów ustawionych parami. Pośrodku podwórza, gdzie stali strażnicy, rozległy się dwa krótkie gwizdki i runda się zaczęła.

Niebo było jasne, o dziwnie blado-niebieskim odcieniu, w powietrzu unosił się krystaliczny zapach śniegu. Rubaszow zapomniał zabrać koc i drżał. Rip van Winkle zarzucił sobie na ramiona popielatą, wytartą chustę, którą dozorca podał mu przy wejściu na podwórze. Stał koło Rubaszowa w milczeniu, małymi, zdecydowanymi krokami, spoglądając od czasu do czasu w niebieskość zawieszoną nad ich głowami; szara chusta sięgała mu do kolan, przykrywając go jak dzwon.

Rubaszow wyliczył sobie, które z okien należało do jego celi; było ciemne i brudne jak inne, nic nie było za nim widać. Przez pewien czas zatrzymał wzrok na oknie Nr 402, ale i tam widział tylko ślepy, okratowany otwór. Nr 402 nie przysługiwało prawo spaceru; tak samo nie prowadzono go ani do fryzjera, ani na przesłuchanie; Rubaszow nie słyszał nigdy, by go wypuszczono z celi.

Przechadzali się milcząc i zataczając powolne koła na podwórzu. Usta Rip van Winkla ledwie dostrzegalnie poruszały się w siwym zaroście; mrucał coś do siebie, czego Rubaszow wprawdzie nie rozumiał; potem rozpoznał, że staruszek podśpiewuje melodię do słów: „Wyklęty, powstań ludu ziemi”. Nie był wprawdzie obłąkany, ale widać zdziwaczał trochę w ciągu tych siedmiu tysięcy dni i nocy spędzonych w więzieniu. Rubaszow obserwował go z boku i usiłował wyobrazić sobie, co to znaczy być odcięty od świata przez dwa dziesiątki lat. Dwadzieścia lat temu samochody były jeszcze rzadkością i wyglądały dziwnie; nie było radia, a nazwiska dzisiejszych przywódców politycznych były nieznane. Nikt nie przewidywał nowych ruchów masowych, wielkich wstrząsów politycznych ani krętych dróg i przejmujących grozą etapów, przez jakie miało przechodzić Państwo Rewolucyjne; wierzono wtedy, że otworzyły się bramy Utopii i że ludzkość stoi u jej wrót...

Rubaszow doszedł do wniosku, że jakkolwiek by wysłał swoją wyobraźnię, i mimo wprawdy, jaką miał w sztuce „myślenia cudzymi mózganiami”, nie jest w stanie odtworzyć stanu swego sąsiada. Nie było to trudne, gdy chodziło o Iwanowa czy też Nr 1, czy nawet oficera z monoklem; ale zawodziło w przypadku Rip van Winkla. Patrzył na niego z boku; starzec właśnie zwrócił głowę w jego stronę; był uśmiechnięty. Przytrzymując oburącz koc zarzucony na ramiona, dreptał koło niego krótkimi krokami i ledwie dosłyszalnym głosem nucił melodię: „Wyklęty powstań ludu ziemi”.

Kiedy ich odprowadzano z powrotem do budynku, przy drzwiach celi, staruszek jeszcze raz się odwrócił i skinął głową;

jego oczy zatrzepotały nagle i zmieniły się w wyrazie: teraz było w nich widać przerażenie i beznadziejność. Rubaszow oczekiwał, że zawoła na niego, ale dozorca już zatrzasnął drzwi nr 406. Kiedy Rubaszowa zamknięto w celi, podszedł natychmiast do ściany; ale Rip van Winkle milczał i nie odpowiadał na stukanie.

Natomiast Nr 402, który ich oglądał przez okno, chciał o spacerze wiedzieć wszystko, aż do najmniejszego szczegółu. Rubaszow musiał mu opowiedzieć, jak pachniało powietrze, czy było zimno, czy tylko chłodno, czy na korytarzu spotkał jakichś innych więźniów i czy mimo wszystko udało mu się zamienić parę słów z Rip van Winklem. Rubaszow odpowiadał cierpliwie na wszystkie pytania; w porównaniu z Nr 402, którego nigdy nie wypuszczano, czuł się uprzywilejowany; było mu go żal i czuł się wobec niego prawie winny.

Następnego dnia i następnego po nim wyprowadzano Rubaszowa na spacer o tej samej porze, zaraz po śniadaniu. Jego towarzyszem w czasie rundy był zawsze Rip van Winkle. Krążyli zwolna dokoła, jeden obok drugiego, obaj okryci kocami, obaj milczący; Rubaszow zamyślony, od czasu do czasu uważnie spoglądający przez binokle na innych więźniów i na okna budynku; staruszek, z rosnącym zarostem na brodzie i miłym, dziecięcym uśmiechem, wiecznie nucący swoją piosenkę.

Aż do trzeciego spaceru, który odbywali wspólnie, nie zamienili ze sobą ani słowa, chociaż Rubaszow zauważył, że funkcjonariusze nie przestrzegają na serio przepisu milczenia i że więźniowie z innych par, kręcących się w koło, rozmawiają prawie bez przerwy; robili to patrząc tępo przed siebie i mówiąc techniką więzienną, dobrze Rubaszowowi znaną, to znaczy tak, że usta ledwie się poruszały.

Trzeciego dnia Rubaszow przyniósł ze sobą notes i ołówek; notes wystawał z lewej kieszeni. Staruszek zauważył go po dziesięciu minutach; oczy mu zabłyśły. Spojrzał ukradkiem na strażników, zatopionych w ożywionej rozmowie pośrodku koła i widocznie nie interesujących się więźniami; potem szybko wyciągnął ołówek i notes z kieszeni Rubaszowa i zaczął coś kreślić pod przykryciem swego dzwonoatego koca. Skończył szybko, oderwał kartkę i wcisnął ją Rubaszowowi do ręki; zatrzymał jednak notes i ołówek i dalej coś kreślił. Rubaszow upewnił się, że strażnicy nie zwracają na nich uwagi i rzucił

okiem na kartkę. Nie było na niej nic napisane, był tylko rysunek: szkic geograficzny kraju, w którym przebywali, zrobiony z zadziwiającą dokładnością. Były na nim zaznaczone większe miasta, góry i rzeki, a pośrodku tkwiła flaga z symbolami Rewolucji.

Kiedy znowu przeszli połowę koła, Nr 406 oderwał drugą kartkę i wetknął ją Rubaszowowi do ręki. Był to znów ten sam rysunek, dokładnie ta sama mapa Kraju Rewolucji. Nr 406 patrzył na niego i z uśmiechem czekał na efekt. Rubaszow poczuł się pod jego wzrokiem z lekka zakłopotany i wymamrotał coś na znak podziwu. Staruszek mrugnął do niego:

— Z zamkniętymi oczami też potrafię to zrobić — powiedział.

Rubaszow przytaknął.

— Nie wierzycie mi — stwierdził staruszek z uśmiechem.

— Ale ja się w tym ćwiczyłem przez dwadzieścia lat.

Spojrzał szybko na strażników, zamknął oczy i nie zmieniając kroku, zaczął rysować na nowej kartce pod dzwonem swego koca. Oczy miał mocno zamknięte, a brodę wysuniętą sztywno, jak ślepiec. Rubaszow spojrzał niespokojnie na strażników; zachodziła obawa, że staruszek potknie się albo wypadnie z szeregu. Ale w ciągu następnego półokrążenia rysunek był skończony, trochę bardziej drżący niż poprzednie, ale tak samo dokładny: tylko symbol na fladze, pośrodku kraju, wypadł niewspółmiernie duży.

— Wierzycie mi teraz? — szepnął Nr 406 i uśmiechnął się radośnie. Rubaszow kiwnął głową. Nagle twarz staruszka spochmurniała; Rubaszow rozpoznał ten sam wyraz przerażenia, które go ogarniało za każdym razem, gdy go zamykano w celi.

— Trudno — szepnął do Rubaszowa. — Wsadzili mnie do fałszywego pociągu.

— Nie rozumiem — stwierdził Rubaszow.

Rip van Winkle uśmiechnął się łagodnie i smutno. — Zaprowadzili mnie na fałszywą stację, kiedy wyjeżdżałem — powiedział — i myśleli, że nie zauważyłem. Nie mówcie nikomu, że coś wiem — szepnął, wskazując oczami strażników.

Rubaszow przytaknął. Wkrótce potem odezwał się gwizdek, zapowiadający koniec przechadzki.

Przy przejściu przez bramę byli jeszcze raz chwilę nieobserwowani. Oczy Nr 406 stały się znów jasne i przyjazne:

— Może wam się to samo przydarzyło? — zapytał współczująco Rubaszowa.

Rubaszow przytaknął.

— Nie trzeba tracić nadziei. W końcu i tak się tam dostaniemy — rzekł Rip van Winkle, wskazując na zmiętą mapę, którą Rubaszow trzymał w ręce.

Potem wsadził notes i ołówek do kieszeni Rubaszowa. Na schodach znów podśpiewywał swoją odwieczną melodię.

Na dzień przed terminem ustalonym przez Iwanowa, w chwili, gdy wydawano kolację, Rubaszowowi wydało się, że w powietrzu wisi coś niezwykłego. Nie umiał tego wytłumaczyć; zupełny zgodzie z ustalonym zwyczajem, melancholijny głos trąbki rozbrzmiał w naznaczonym czasie, a jednak Rubaszow czuł jakieś napięcie. Być może któryś z dyżurnych spojrzął na niego z jakimś szczególnym wyrazem; być może głos starego dozorczy zabrzmiał jakimś niezwykłym podźwiękiem. Rubaszow nie mógł sobie przypomnieć niczego, ale nie był w stanie pracować; czuł w nerwach napięcie, podobnie jak reumatycy czują zbliżanie się burzy.

Kiedy przebrzmiał ostatni sygnał nocny, wyrzwał ostrożnie na korytarz; wskutek zmniejszenia prądu żarówki świeciły połową zwykłego światła i rozlewały na kamiennej podłodze mdły blask; cisza zalegająca korytarz wydawała się bardziej ostateczna i beznadziejna, niż zwykle. Rubaszow położył się na pryczy, po chwili wstał, zmusił się do napisania kilku wierszy, zagasił papierosa i zaraz sięgnął po nowy. Spojrzął w dół na podwórze: tajało, śnieg był brudny i miękki, niebo zaciągnięte chmurami; naprzeciw, na obmurowaniu, wartownik z karabinem odmierzał kroki tam i na powrót. Rubaszow jeszcze raz wyrzwał przez otwór judasza na korytarz: cisza, rozpacзлиwa pustka i sztuczne, mdłe światło.

Wbrew swoim zwyczajom i mimo późnej godziny zaczął rozmowę z Nr 402.

ŚPICIE? — wystukał.

Przez chwilę nie było odpowiedzi i Rubaszow czekał z uczuciem rozczarowania. Potem przyszła — spokojniejsza i wolniejsza, niż zazwyczaj.

NIE, CZUJECIE TAKŻE?

CZY CZUJĘ — CO? — zapytał Rubaszow. Oddychał z trudem; leżał na pryczy i stukał binoklami.

Nr 402 znowu przez chwilę się ociągał. Potem zastukał tak ostrożnie, że brzmiało to, jakby mówił bardzo cicho:

LEPIEJ ŚPIJCIE...

Rubaszow leżał na pryczy bez ruchu i wstydził się, że Nr 402 przemawia do niego takim ojcowskim tonem. Leżał w ciemności na wznak i patrzył na binokle, którymi dotykał ściany, trzymając je w półpodniesionej ręce. Cisza na zewnątrz była tak zgęszczona, że słyszał jej poszum w uszach. Nagle ściana odezwała się na nowo:

DZIWNE, ŻEŚCIE OD RAZU POCZULI...

ŻE CO POCZUŁEM? MÓWCIE! — wystukał Rubaszow, siadając na pryczy.

Zdawało się, że Nr 402 się zastanawia. Po chwili wahania zastukał:

DZISIAJ WYRÓWNYWA SIĘ PORACHUNKI POLITYCZNE...

Rubaszow zrozumiał. Siedział w ciemności, oparty o ścianę, czekając na dalszy ciąg. Ale Nr 402 zamilkł. Po chwili Rubaszow zastukał:

EGZEKUCJE?

TAK — odpowiedział lakonicznie Nr 402.

SKĄD WIECIE? — zapytał Rubaszow.

OD ZAJĘCZEJ WARGI.

KIEDY?

NIE WIEM. A po chwili: NIEDŁUGO.

CZY ZNACIE NAZWISKA? — zapytał Rubaszow.

NIE — odpowiedział Nr 402. Po dalszej przerwie dodał:
Z WASZEJ KATEGORII, PORACHUNKI POLITYCZNE.

Rubaszow położył się znowu i czekał. Po chwili nałożył binokle, znów leżał bez ruchu, podgarnawszy jedną rękę pod głowę. Z zewnątrz nie dochodził żaden głos. Wszelki ruch w budynku był jakby zdławiony, zamrożony w ciemnościach.

Rubaszow nigdy nie był świadkiem egzekucji — z wyjątkiem, prawie że, swojej własnej — ale brał udział w wojnie domowej. Nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, jak ta sama rzecz wygląda w okolicznościach normalnych, jako część rutyny porządkowej. Wiedział mniej więcej, że egzekucje odbywają się w nocy, w podziemiach i że delikwenta zabija się kulą w kark; ale nie znał bliższych szczegółów. W Partii śmierć nie była niczym tajemniczym, nie miała w sobie nic romantycznego. Była konsekwencją logiczną, czynnikiem, z którym się liczone, ale który miał charakter dosyć oderwany. Stąd mówiło się o śmierci rzadko i prawie nie używało się słowa „egzekucja”; zazwyczaj posługi-

wano się zwrotem „likwidacja fizyczna”. Termin „likwidacja fizyczna” wywoływał z kolei tylko jedno konkretne wyobrażenie: koniec działalności politycznej. Sam akt umierania był szczególnie technicznym, nie wzbudzającym żadnego zainteresowania; śmierć, jako jeden z czynników w logicznym równaniu, utraciła wszelkie cechy czegoś bliskiego i dotykalnego.

Rubaszow wpatrywał się przez binokle w mrok. Czy już się zaczęło? A może jeszcze nie. Zdjął buty i skarpetki; spod drugiego końca koca blade sterczały bose stopy. Cisza stała się jeszcze bardziej nienaturalna. Nie był to zwykły, przyjemny brak hałasu; była to cisza, która wchłonęła i zdławiła wszelkie odgłosy, cisza wibrująca, jak naciągnięta błona na bębnie. Rubaszow patrzył na bosa stopy i powoli poruszał palcami.. Wyglądało to groteskowo i dziwnie, jak gdyby te białe stopy żyły jakimś własnym życiem. Z niezwykłą intensywnością doznawał istnienia własnego ciała, czuł letnie dotknięcie prześcieradła na nogach i uciśnięcie dłoni pod karkiem.

Gdzie odbędzie się „likwidacja fizyczna”? Wyobrażał sobie niejasno, że odbywa się teraz, pod schodami prowadzącymi w dół, za pokojem fryzjera. Poczł zapach skórzanego pasa Gletkina i posłyszał chrzest jego munduru. Co mówi do ofiary? „Odwróćcie się twarzą do ściany”? Czy dodaje: „proszę”? Czy też: „Nie obawiajcie się. To nie jest bolesne...”. Może strzela bez ostrzeżenia, z tyłu, w czasie marszu — ale to chyba niemożliwe, bo ofiara odwracałaby ciągle głowę. Może ukrywa rewolwer w rękawie, jak dentysta kleszcze? Może inni są także przy tym obecni? Jak wyglądają? Czy człowiek pada na wznak, czy na twarz? Czy krzyczy? Może trzeba drugiej kuli, aby go dobić?

Rubaszow palił i patrzył na palce u nóg. Cisza była tak wielka, że słyszał szelest palącej się bibułki papierosa. Zaciągnął się głęboko. Brednie, powiedział do siebie. Romansiło za trzy grosze. Właściwie nigdy naprawdę nie wierzył w techniczną realność „likwidacji fizycznej”. Śmierć była czymś abstrakcyjnym, zwłaszcza śmierć własna. Prawdopodobnie było już po wszystkim, a co minęło, nie należy już do rzeczywistości. Było ciemno i cicho i Nr 402 przestał stukać.

Rubaszow pragnął, aby za drzwiami ktoś krzyknął i przerwał tę nienaturalną ciszę. Pociągnął nosem i zauważył, że już od jakiejś chwili czuje w nozdrzach zapach Arłowej. Nawet papierosy nią pachniały; nosiła skórzaną papierośnicę w torebce i każdy papieros stamtąd wyjęty miał woń jej pudru... Cisza

trwała nieprzerwanie. Słysząc było tylko skrzypienie pryczy za każdym poruszeniem ciała.

Rubaszow zamierzał właśnie wstać i zapalić nowego papierosa, kiedy tykanie w murze rozległo się na nowo.

IDA — mówiło tykanie.

Rubaszow wytyczył słuch. Słyszał jak krew pulsuje mu w skroniach, ale poza tym nic. Czekał. Cisza jeszcze się wzmogła. Zdjął binokle i wystukał:

NIC NIE SŁYSZĘ...

Przez dobrą chwilę Nr 402 nie odpowiadał. Nagle zastukał, tym razem głośno i ostro:

NR 380. PODAJCIE DALEJ.

Rubaszow podniósł się szybko. Zrozumiał. Wiadomość została przestukana poprzez jedenaście cel, przez sąsiadów Nr 380. Więźniowie cel między nr 380 a nr 402 tworzyli w mroku i ciszy łańcuch akustyczny. Byli bezbronni, zamknięci w czterech ścianach; tak się wyrażała ich solidarność. Rubaszow zeskoczył z pryczy, podbiegł boso do drugiej ściany, stanął koło wiadra i zastukał do Nr 406:

UWAGA. NR 380 BĘDZIE ZARAZ ROZSTRZELANY. PODAJCIE DALEJ.

Nastłuchiwał. Wiadro cuchnęło; jego wyziewy wyparły z pach Arłowej. Odpowiedzi nie było. Rubaszow wrócił szybko do pryczy. Tym razem stukał palcami, nie binoklami:

KIM JEST NR 380?

Znowu nie otrzymał odpowiedzi. Domyślił się, że Nr 402, tak jak on, porusza się na kształt wahadła między dwiema ścianami celi. Za nim, w dalszych jedenastu celach, więźniowie biegają bezszelestnie, na bosych nogach tam i z powrotem, od jednej ściany do drugiej. Teraz Nr 402 wrócił do jego ściany; oznajmił:

ODCZYTUJĄ MU WYROK. PODAJCIE DALEJ.

Rubaszow powtórzył pytanie:

KTO TO?

Ale Nr 402 już odszedł. Przekazywanie wiadomości Rip van Winklowi nie miało sensu, ale mimo to Rubaszow podbiegł do muru przy wiadrze i przestukał ją; zmuszało go do tego jakieś nieokreślone poczucie obowiązku, świadomość, że nie wolno przerywać łańcucha. Bliskość wiadra przyprawiała go o mdłości. Wrócił po omacku do pryczy i czekał. Z zewnątrz wciąż jeszcze nie dochodził żaden najśłabszy nawet odgłos. Tylko ściana tykała znowu:

KRZYCZY O POMOC.

KRZYCZY O POMOC — zastukał Rubaszow do Nr 406. Nasłuchiwał. Nic stamtąd nie dochodziło. Bał się, że gdy jeszcze raz zbliży się do wiadra, schwycą go torsje.

PROWADZĄ GO. KRZYCZY I BRONI SIĘ. PODAJCIE DALEJ.

JEGO NAZWISKO? — wystukał szybko Rubaszow, zanim Nr 402 jeszcze zdążył skończyć zdanie. Tym razem otrzymał odpowiedź:

BOGROW. OPOZYCJA. PODAJCIE DALEJ.

Pod Rubaszowem ugięły się nogi. Oparł się o ścianę i zastukał do Nr 406:

MIKOŁAJ BOGROW, DAWNY MARYNARZ NA OKRĘCIE WOJENNYM „POTIOMKIN”, DOWÓDCA FLOTY WSCHODNIEJ, ODZNACZONY PIERWSZYM ORDEREM REWOLUCJI, IDZIE NA STRACENIE.

Otarł pot z czoła, zwymiotował do wiadra i skończył zdanie: PODAJCIE DALEJ.

Nie potrafił wywołać z pamięci postaci Bogrowa, ale widział kontury jego potężnego ciała, niezgrabne, zwisające ciężko ramiona, piegi na szerokiej, płaskiej twarzy z lekko zadartym nosem. Na wygnaniu, po roku 1905, mieszkali w jednym pokoju; Rubaszow nauczył go czytać, pisać i objaśnił mu podstawy myślenia historycznego; odtąd, gdziekolwiek zdarzyło mu się przebywać, otrzymywał dwa razy do roku ręcznie pisany list, kończący się niezmiennie tymi samymi słowami: „Twój wierny aż do śmierci towarzysz Bogrow”.

IDA — zastukał nagle Nr 402 tak głośno, że Rubaszow, stojąc ciągle jeszcze przy wiadrze, z głową opartą o ścianę, usłyszał szyfr poprzez całą celę: STANCIE PRZY JUDASZU. BIJCIE W DRZWI. PODAJCIE DALEJ. Podszedł po ciemku do drzwi celi i czekał. Było cicho, jak przedtem.

W kilka sekund później w murze znów rozległo się tykanie: TERAZ.

Wzdłuż korytarza zaczął narastać niski, głuchy, stłumiony odgłos bębnienia. Nie było to ani pukanie, ani zwykle łomotanie: więźniowie cel nr 380 do nr 402, stanowiący łańcuch akustyczny i stojący w ciemności, jak gwardia honorowa, każdy za swoimi drzwiami, naśladowali do złudzenia uroczysty dźwięk głucho warczących bębnow, jakby przywiany wiatrem z daleka. Rubaszow przywarł oczami do otworu judasza i dołączył do tego chóru, rytmicznie uderzając obiema rękami w betonowe drzwi. Ze zdumieniem stwierdził, że fala zgłuszonego warkotu przesuw

się w prawo, poprzez nr 406 i dalej jeszcze; Rip van Winkle jednak zrozumiał; także i on bębnił.

Jednocześnie od lewej, ciągle jeszcze z rejonu leżącego poza jego polem widzenia, Rubaszow usłyszał zgrzyt żelaznych drzwi, rozsuwających się na szynach. Bębnienie po lewej wzrosło o ton; Rubaszow domyślił się, że otwarto żelazne drzwi, dzielące cele izolacyjne od cel zwykłych. Zadzźwięczał pęk kluczy, potem zamknięto te drzwi z powrotem. Usłyszał zbliżające się kroki. Towarzyszył im odgłos, każący się domyślać, że po flizach podłogi coś się ślizga i powłóczy. Bębnienie po lewej wspięło się w górę, jak fala, równym, stłumionym crescendo.

Pole widzenia Rubaszowa, kończące się na linii cel nr 401 i nr 407, było jeszcze wciąż puste. Odgłosy ślizgania się i piszczenia zbliżały się szybko. Teraz Rubaszow rozróżniał także jęki i łkanie, jakby zachłystywanie się małego dziecka. Kroki zbliżały się szybko, bębnienie po lewej trochę opadło, po prawej się wzmogło.

Rubaszow uderzał w drzwi jak w bęben. Stopniowo zatracił poczucie czasu i miejsca, słyszał tylko głuche bębnienie, jakby tam-tamu w dżungli; można było myśleć, że to małpy stoją za kratami klatek i bębnią, uderzając się w piersi; przywarł okiem do otworu judasza, wznosząc się i opadając na palcach, w tym samym rytmie, w jakim bił w drzwi. Jak dotąd widział tylko mdłe, żółtawe światło żarówki na korytarzu; poza żelaznymi drzwiami od nr 401 do nr 407 nie było nic widać, ale bębnienie wzmagało się, a szuranie i płacz stawały się coraz bliższe. Nagle w jego pole widzenia weszły zamglone postacie: to byli oni. Rubaszow przestał bębnić i wlepił w nich oczy. W chwilę później już ich nie było.

To, co zobaczył w ciągu tych kilku sekund wżarło mu się w pamięć na zawsze. Przesunęły się przed oczami dwie słabo oświetlone postacie, obie w mundurach, duże i niewyraźne, a między nimi trzecia, którą trzymali pod ramiona i ciągnęli siłą. Postać pośrodku zwisała z ich rąk bezwładnie, a jednak sztywno jak lalka, wyciągnięta w całej długości, z twarzą zwróconą ku ziemi, brzuchem wypuczonym w dół. Nogi wlokły się z tyłu, buty sunęły na czubkach, wydając ten piskliwy dźwięk, który Rubaszow słyszał z daleka. Na twarz z otwartymi ustami, zwróconą ku kamiennym płytom, spływały kosmyki siwawych włosów. Pokrywały ją krople potu; z ust sączyła się po brodzie cienkim strumieniem ślina.

Kiedy go wywlekli z pola widzenia Rubaszowa, dalej na prawo i wzdłuż korytarza, ucichło także stopniowo jęczenie i

chlipanie; dochodziło już tylko jako słaby pogłos, na który składały się trzy samogłoski: „u—a—o”. Ale nim zniknęły za załomem, przy końcu korytarza, koło pokoju fryzjera, Bogrow dwa razy głośno zawył i tym razem Rubaszow usłyszał nie tylko samogłoski, ale całe słowo; było to jego własne nazwisko, słyszał je zupełnie wyraźnie: Ru—ba—szow.

Potem, jakby na dany znak, zapadło milczenie. Światło elektryczne paliło się, jak zwykle, korytarz był pusty, jak zwykle. Tylko Nr 406 stukał w ścianę ze zwykłym błędem:

WYKŁĘTY POWSTA LUDU ZIEMI.

Rubaszow leżał znowu na prycy, nie pamiętając, jak się tam dostał. W uszach słyszał wciąż jeszcze dźwięki werbla, ale cisza panująca teraz była prawdziwa, pusta i zwolniona z napięcia. Nr 402 prawdopodobnie spał. Bogrow, a raczej łachman tego czym był niegdyś, prawdopodobnie już nie żył.

„Rubaszow, Rubaszow...” — ten ostatni krzyk wbił się nieodwołalnie w jego pamięć słuchową. Obraz optyczny nie był tak ostry. Ciągle jeszcze jakoś nie dawała się utożsamić z Bogrowem owa bezwładna kukła o wilgotnej twarzy i sztywnych, powłóczących nogach, którą w ciągu tych kilku sekund przeciągnięto przez jego pole widzenia. Dopiero teraz uprzytomnił sobie siwiznę włosów. Co zrobili z Bogrowem? Co zadali temu twardemu marynarzowi, by wydobyć z jego krtani to dziecinne chlipanie? Czy Arłowa tak samo płakała, gdy ją wleczone przez korytarz?

Rubaszow usiadł i przytknął czoło do ściany, za którą spał Nr 402; bał się, że znowu chwycą go wymioty. Nigdy dotąd nie wyobraził sobie tak szczegółowo śmierci Arłowej. Było to dla niego zawsze wydarzenie dalekie i abstrakcyjne, pozostało mu po nim uczucie dolegające, ale nigdy dotąd nie wątpił w logiczną słuszność swego postępowania. Teraz, gdy mdłości wywracały mu żołądek i sprawiły, że nawet pot ustąpił z czoła, jego dawny sposób myślenia wydał mu się obłudem. Płacz Bogrowa zakłócił logiczne równanie. Arłowa stanowiła dotąd jeden z czynników tego równania; czynnik nikły w stosunku do tego, o co szła rozgrywka. Ale równanie przestało się zgadzać. Matematyczna równowaga zachwiała się przez obraz nóg Arłowej, obutych w pantofle na wysokich obcasach i ciągnionych wzdłuż korytarza. Czynnik mało znaczący urósł do niekończoności, do absolutu; szlochanie Bogrowa, nieludzki dźwięk

głosu, który wywołał jego nazwisko, głuchy warkot bębnow: to wszystko stłumiło, pokryło wiotki głos rozumu, jak piana morska pokrywa bulgot tonącego.

Wyczerpany przeżyciami zasnął w pozycji siedzącej — głowa opierała się o mur, binokle tkwiły przed zamkniętymi oczami.

7

Jęczał we śnie; znowu wrócił sen o pierwszym aresztowaniu; ręka, zwisająca bezwładnie z łóżka, usiłowała trafić w rękaw szlafroka; czekał, żeby nareszcie nastąpiło uderzenie, ale daremnie.

Zamiast tego obudził się, bo nagle w jego celi zapalono światło elektryczne. Przy łóżku ktoś stał i patrzył na niego. Rubaszow spał najwyżej kwadrans, ale po tym marzeniu sennym trzeba mu było zawsze kilku minut, by wrócić do przytomności. Mrużył oczy w jasnym świetle, umysł febrycznie przebiegał szereg zwykłych hipotez, jak gdyby odprawiał jakiś nieświadomy rytuał. Znajduje się w celi: ale nie w kraju wroga — to był tylko sen. Jest zatem wolny — ale nad łóżkiem nie ma oleodruku Nr 1 i po drugiej stronie tkwi wiadro. Zresztą Iwanow stoi przy łóżku i dmucha mu dymem papierosa w twarz. Czy to też jest sen? Nie, Iwanow jest prawdziwy, wiadro jest prawdziwe. Jest więc we własnym kraju, który stał się krajem wrogim; a Iwanow, który kiedyś był przyjacielem, także się stał wrogiem; chlipanie Arłowej także nie było snem. Choć nie, to nie była Arłowa, tylko Bogrow, którego ciągnęli wzdłuż korytarza jak woskową lalkę. Towarzysz Bogrow, wierny aż do śmierci, wołał jego nazwisko; to nie był sen. A Arłowa powiedziała znowu: „Możesz ze mną zrobić co chcesz...”.

— Czy jesteś chory? — zapytał Iwanow.

Rubaszow, oślepiiony światłem, patrzył na niego zmrużonymi oczyma. — Daj mi szlafrok — powiedział.

Iwanow przyglądał mu się uważnie. Prawy policzek Rubaszowa był spuchnięty. — Chcesz wódki? — zapytał. Nie czekając odpowiedzi pokuszył się do judasza i krzyknął coś na korytarz. Rubaszow poszedł wzrokiem za nim, ciągle jeszcze mrużąc oczy. Zamroczenie nie ustępowało. Obudził się, ale widział, słyszał i myślał jakby przez mgłę.

— Czy ciebie zaaresztowali także? — zapytał.

— Nie — odpowiedział spokojnie Iwanow. — Przyszedłem tylko z wizytą. Zdaje się, że masz gorączkę.

— Daj mi papierosa — rzekł Rubaszow. Zaciągnął się głęboko raz i drugi, wzrok jego stał się jaśniejszy. Położył się znowu, palił i patrzył w sufit. Drzwi celi się otworzyły; dozorca przyniósł butelkę wódki i szklankę. Tym razem nie był to staruch, ale szczupły chłopak w mundurze, z okularami w stalowej oprawie. Zasalutował przed Iwanowem i zamknął drzwi od zewnątrz. Na korytarzu słychać było jego oddalające się kroki.

Iwanow usiadł na brzegu pryczy Rubaszowa i napełnił szklankę. — Pij — powiedział. Rubaszow wypił duszkiem. Zamroczenie ustąpiło, wypadki i postacie — pierwsze i drugie aresztowanie, Arłowa, Bogrów, Iwanow — zajęły właściwe miejsce w czasie i przestrzeni.

— Boli cię? — zapytał Iwanow.

— Nie — odpowiedział Rubaszow. Jedyne rzecz, której ciągle jeszcze nie rozumiał to to, skąd Iwanow wziął się w jego celi.

— Masz bardzo spuchnięty policzek. Pewnie masz także gorączkę.

Rubaszow wstał z pryczy, wyjrzał przez otwór judasza na pusty korytarz i przeszedł się po celi raz i drugi, póki nie rozjaśniło mu się w głowie zupełnie. Wtedy zatrzymał się przed Iwanowem, który siedział na skraju pryczy i cierpliwie puszczał kółka z dymu.

— Skąd się tu wziąłeś? — zapytał.

— Chcę z tobą porozmawiać — odpowiedział Iwanow. — Połóż się i napij się jeszcze wódki.

Rubaszow z ironią popatrzył na niego przez binokle. — Do tej pory — powiedział — byłem gotów uważać, że działasz w dobrej wierze. Teraz widzę, że jesteś świnią. Wynoś się stąd.

Iwanow się nie ruszał. — Bądź łaskaw mi powiedzieć, na jakiej podstawie tak twierdzisz — powiedział.

Rubaszow oparł się o ścianę celi nr 406 i spojrzął z góry na Iwanowa, który palił spokojnie papierosa.

— Po pierwsze — rzekł Rubaszow, wiedziałeś o mojej przyjaźni z Bogrowem. Wobec tego postarałeś się o to, by Bogrowa — a raczej resztki, które z niego zostały — dla przestrogi przeprowadzono na skazanie obok mojej celi. Aby być pewnym, że mnie ta scena nie ominie, ogłasza się dyskretnie egzekucję Bogrowa, na krótko przedtem, z założeniem, że sąsiedzi przestukają mi tę wiadomość, co też ma miejsce. Dalszą finezję reżyserii stanowi powiadomienie Bogrowa o mojej obecności tutaj i to w sekundę przed wywleczeniem go na śmierć, z dalszym założeniem, że ten ostateczny cios wywoła u niego jakąś

głośną manifestację; i to się udaje. Wszystko to ma na celu wprowadzenie mnie w stan depresji. W tej najciemniejszej godzinie towarzyszy Iwanow zjawia się jako zbawiciel, z butelką wódki pod pachą. Następuje wzruszająca scena pojednania, padamy sobie w ramiona, wymieniamy rzewne wspomnienia z czasów wojny i od niechcenia podpisujemy moje przyznanie się do winy. Po czym więzień zapada w słodki sen; towarzyszy Iwanow wyryka się na palcach z papierem w kieszeni i parę dni później dostaje awans... Teraz bądź tak dobry i wynieś się stąd.

Iwanow nie drgnął. Wypuszczał dym i uśmiechał się, pokazując złote zęby. — Czy naprawdę myślisz, że jestem aż tak prymitywny? — zapyta. — A raczej, mówiąc ściślej: czy naprawdę uważasz mnie za tak lichego psychologa?

Rubaszow wzruszył ramionami. — Mam dość waszych podstępów — powiedział. — Nie mogę cię wyrzucić za drzwi. Jeśli ci została jeszcze krztyna przyzwoitości, daj mi wreszcie spokój. Nie wyobrażasz sobie, jak mam was wszystkich dosyć.

Iwanow podniósł szklankę z podłogi, napełnił ją i wypił. — Proponuję następującą umowę — powiedział. — Pozwolisz mi mówić przez pięć minut, nie będziesz mi przerywał i wysłuchasz tego co powiem z jasną głową. Jeśli potem dalej będziesz się upierał, żebym sobie poszedł — pójdę.

— Słucham — rzekł Rubaszow. Stał naprzeciw Iwanowa, oparty o ścianę i patrzył na zegarek.

— Po pierwsze — rzekł Iwanow — aby usunąć jakiegokolwiek możliwe wątpliwości czy urojenia, które możesz żywić: rzeczywiście rozstrzelano Bogrowa. Po drugie, siedział w więzieniu od kilku miesięcy, a pod koniec był przez kilka dni torturowany. Jeśli wspomnisz o tym w czasie rozprawy publicznej, albo chociażby przestukasz te dane twoim sąsiadom — to mnie wykończą. O tym, dlaczego postąpiono z Bogrowem w ten sposób, pomówimy później. Po trzecie: umyślnie przeprowadzono go koło twojej celi i umyślnie powiedziano mu, że tu jesteś. Po czwarte: ten podły podstęp, jak to nazwałeś, został zaaranżowany nie przeze mnie, ale przez mego kolegę Gletkina, wbrew memu wyraźnemu zakazowi.

Zrobił przerwę. Rubaszow stał oparty o mur i nic nie mówił.

— Ja nigdy nie popełniłbym takiego błędu — ciągnął dalej Iwanow — nie dlatego, by ciebie oszczędzić, ale dlatego, że jest to niezgodne z przyjętą przeze mnie taktyką i ze znajomością twojej psychiki. Ostatnio zdradzasz skłonność do skrupułów humanitarnych i inne tego rodzaju sentymentalizmy. Zresztą ciągle jeszcze nie strawiłeś sprawy Arłowej. Widok

Bogrowa mógł tylko pogłębić depresję, w jakiej się znajdujesz i dyspozycje moralistyczne — to było do przewidzenia; tylko partacz w psychologii, jak Gletkin, mógł popełnić taki błąd. Od dziesięciu dni wiercił mi dziurę w brzuchu, że powinienem do ciebie zastosować „twardą rękę”. Z jednej strony nie lubi cię dlatego, że pokazałeś mu się w dziurawych skarpetkach, a z drugiej jest przyzwyczajony do chłopów... Tyle co do wyjaśnienia sprawy z Bogrowem. Wódkę zamówiłem oczywiście dlatego, że byłeś półprzytomny, kiedy tu wszedłem. Upicie ciebie nie leży w moim interesie. Prowokowanie szoków psychicznych nie jest także moim zamiarem. To wszystko może tylko pogłębić twoją egzaltację moralną. Dla moich celów musisz być trzeźwy i logiczny. Ja mam tylko jedną rzecz na widoku: abys swój przypadek spokojnie domyślał do końca. Bo z chwilą, gdy tę całą sprawę domyślisz do końca — wtedy, i tylko wtedy, skapitulujesz...

Rubaszow wzruszył ramionami; ale zanim jeszcze zdążył cokolwiek powiedzieć, Iwanow mu przerwał:

— Ja wiem, że jesteś przekonany, iż się nie poddasz. Odpowiedz mi tylko na to jedno pytanie: gdybyś się przekonał o logicznej konieczności i obiektywnej słuszności kapitulacji — czy wtedy zdecydowałbyś się na ten krok?

Rubaszow nie od razu odpowiedział. Czuł niewyraźnie, że rozmowa wzięła obrót, na jaki nie powinien być pozwolić. Naznaczone pięć minut minęło, a on nie wyrzucił Iwanowa. Już to, tak mu się zdawało, było zdradą wobec Bogrowa — i Arłowej; i Ryszarda, i Małego Loewy.

— Idź stąd — powiedział do Iwanowa. — Daj mi spokój. Dopiero teraz zauważył, że od jakiegoś czasu chodzi tam i z powrotem po celi, tuż przed Iwanowem.

Iwanow siedział na pryczy. — Poznaję po twoim głosie — rzekł — że przyznajesz się do pomyłki, jeśli chodzi o rolę, jakąś mi przypisywał w sprawie Bogrowa. Dlaczego więc chcesz, żebym sobie poszedł? Dlaczego nie odpowiadasz na pytanie, które ci zadałem?... Pochylił się z lekka w przód i patrzył Rubaszowowi w twarz z ironicznym uśmiechem; potem powiedział powoli, podkreślając każde słowo: „Bo się mnie boisz. Bo mój sposób myślenia i wnioskowania jest taki sam, jak twój, i dlatego, że boisz się echa we własnej głowie. Za chwilę zawołasz: Idź precz, szatanie...”

Rubaszow nie odpowiadał. Krążył przed Iwanowem tam i na powrót. Czuł się bezbronny i niezdolny do jasnego argumento-

wania. Poczucie winy, które Iwanow nazywał „egzaltacją moralną”, nie dawało się wyrazić żadną logiczną formułą — należało do świata „fikcji gramatycznej”. Jednocześnie jednak każde zdanie Iwanowa rzeczywiście wywoływało w nim jakieś echo. Czuł, że znalazł się na gładkiej równi pochyłej, po której nieuchronnie zsuwa się w dół.

— Apage Satanas! — powtórzył Iwanow i nalał sobie nową szklankę. — Za dawnych czasów pokusa stawała się ciałem. Dzisiaj przybiera formę czystego rozumowania. Wartości się zmieniają. Miałbym ochotę napisać misterium wielkanocne, w którym Bóg i Diabeł prowadziliby spór o duszę świętego Rubaszowa. Po życiu pełnym grzechów nawrócił się on do Boga — do Boga o podwójnym podbródku, na który składają się liberalizm gospodarczy i zakupowe miłosierdzie Armii Zbawienia. Szatan natomiast jest chudym, ascetycznym i fanatycznym miłośnikiem logiki. Czyta Machiavella, Ignacego Loyolę, Marksa i Hegla; wobec ludzkości jest zimny i bezlitosny, co wynika z pewnego rodzaju matematycznej litości. Jest skazany na robienie zawsze tego, co go najbardziej odpycha: staje się rzeźnikiem po to, by raz na zawsze skończyć z rzezią; składa ofiarę z owiec po to, by już nigdy więcej owiec nie zabijano, biczuje ludzi, by się nauczyli buntu przeciw biczowaniu, odziera się z wszelkich skrupułów w imię sumienia wyższego rzędu i głosi nienawiść człowieka w imię miłości do człowieka — miłości abstrakcyjnej i geometrycznej. „Apage Satanas!” Towarzysz Rubaszow woli być męczennikiem. Dziennikarze prasy liberalnej, którzy go nienawidzili za życia, uznają go świętym po śmierci. Odkrył, że ma sumienie, a sumienie jest równie nie do pogodzenia z rewolucją jak podbródek. Sumienie przeżera mózg jak rak, pochłaniając całą szarą substancję. Szatan został pobity i cofa się — ale nie wyobrażaj sobie, że grzyta zębami i pluje ogniem z wściekłości. Wzrusza ramionami, jest chudy i ascetyczny; spotkał już wielu, którzy osłabli i wymknęli się z szeregu pod jakimś pompacyjnym pretekstem...

Iwanow zatrzymał się i nalał sobie jeszcze jedną szklankę wódki. Rubaszow przechadzał się pod oknem tam i z powrotem. Po chwili zapytał:

— Za co skazaliście Bogrowa?

— Za co? Z powodu okrętów podwodnych — powiedział Iwanow. — Chodziło o tonaż — stary spór, którego początki musisz znać. Bogrow był zwolennikiem okrętów podwodnych o dużym tonażu i dalekim zasięgu działania. Partia woli małe okręty podwodne o mniejszym zasięgu. Za te same pieniądze

można zbudować trzy razy tyle małych okrętów podwodnych, co dużych. Obie strony miały ważne argumenty natury technicznej. Ekspersi przedstawili olbrzymie bogactwo rysunków technicznych i formuł algebraicznych; ale właśnie zagadnienie leżało na zupełnie innej płaszczyźnie. Wielkie okręty podwodne to polityka agresji dla wywołania rewolucji światowej. Małe okręty podwodne to obrona wybrzeży — zatem samoobrona i odłożenie rewolucji światowej na później. Ten ostatni punkt widzenia wyznaje Nr 1 i Partia.

— Bogrow miał bardzo wielu zwolenników w administracji i wśród oficerów starej gwardii. Odstawienie go na boczny tor nie byłoby wystarczające; trzeba go było zdyskredytować. Obmyślono rozprawę, w której zwolennicy wielkiego tonażu mieli być zdemaskowani jako sabotażyści i zdrajcy. Wielu mniej ważnych inżynierów doprowadziliśmy już do takiego stanu, że gotowi byli wyznać publicznie wszystko, cośmy chcieli. Ale Bogrow popsuł całą zabawę. Do samego końca deklamował o wielkim tonażu i rewolucji światowej. Został dwa dziesiątki lat w tyle za naszą epoką. Nie rozumiał, że obecna epoka nam nie sprzyja, że Europa przeżywa okres reakcji, że jesteśmy na dnie fali i musimy czekać, aż następna fala wyniesie nas na szczyt. Na rozprawie jawnej wywołałby tylko zamieszanie wśród publiczności. Nie było innej drogi, jak zlikwidować go w trybie administracyjnym. Czy będąc w naszym położeniu, nie postąpiłbyś tak samo?

Rubaszow nie odpowiedział. Zatrzymał się i znów oparł się o ścianę celi nr 406, w pobliżu wiadra. Unosił się z niego smród przyprawiający o mdłości. Zdjął binokle i spojrzał na Iwanowa przekrwionymi oczami ścięganego zwierzęcia.

— Nie słyszałeś, jak jęczał — powiedział.

Iwanow zapalił papierosa ogarkiem poprzedniego; smród, idący z wiadra, także i jemu wydawał się nie do zniesienia.

— Nie — odparł. — Nie słyszałem. Ale słyszałem i widziałem podobne rzeczy. I co z tego wynika?

Rubaszow milczał. Podejmować próbę tłumaczenia nie miało sensu. Jak echo nawróciły do uszu jęki i stłumione bębnienie. Tego nie można wyrazić. Ani tego zaokrąglenia piersi Arłowej z ciepłym, ostrym sutkiem. Niczego nie podobna wyrazić. Na kartce, którą mu wetknął fryzjer, było napisane „Umrzj w milczeniu”.

— I co z tego? — powtórzył Iwanow. Wyciągnął protezę i czekał. Ponieważ nie było żadnej odpowiedzi, ciągnął dalej:

— Gdybym miał choć źdźbło litości dla ciebie, zostawiłbym cię teraz w spokoju. Ale nie mam tego źdźbła litości. Piję;

przez pewien czas, jak ci wiadomo, używałem narkotyków; ale od nałogu litości, jak dotąd, udało mi się uchronić. Nawet najmniejsza doza może człowieka zgubić. Znasz patologiczną skłonność naszej rasy do ronicenia łez nad ludzkością i roztkliwiania się nad samym sobą. Nasi najwięksi poeci zadali sobie śmierć tą trucizną. Byli rewolucjonistami do czterdziestki, pięćdziesiątki — potem zżerała ich litość i świat ich kanonizował. Zdaje się, że trawi cię ta sama ambicja i wierzysz, że jest to proces odosobniony, który tylko ciebie dotyczy, coś dotąd niespotykanego...

Mówił teraz trochę głośno i puszczał kłęby dymu. — Uważaj na te ekstazy — powiedział. — Każda butelka wódki zawiera pewną określoną dawkę ekstazy. Niestety tylko bardzo niewielu, zwłaszcza wśród naszych rodaków, zdaje sobie z tego sprawę, że ekstazy płynące z pokory i cierpienia są równie tanie, jak ekstazy wywołane środkami czysto chemicznymi. Kiedy obudziłem się z narkozy i odkryłem, że moje ciało kończy się na lewym kolanie, doznałem także czegoś w rodzaju absolutnej ekstazy nieszczęścia. Czy przypominasz sobie kazania, jakie mi wtedy prawiłeś? — Nalał nową szklanekę i wychylił.

— O co mi idzie? — podjął znowu. — Nie należy patrzeć na świat jako na swego rodzaju metafizyczny burdel dla naszych wzruszeń. To jest dla nas pierwsze przykazanie. Współczucie, sumienie, obrzydzenie, rozpacz, skrucza i pokuta to dla nas odpychająca rozpusta. Usiąść i dać się zahipnotyzować przez własny pępek, unieść oczy w górę i pokornie nadstawić kark pod rewolwer Gletkina — to bardzo łatwe rozwiązanie. Największą pokusą dla takich, jak my, jest: odciąć się od gwałtu, wzbudzić akt skruchy, zawrzeć pokój ze samym sobą. Najwięksi rewolucjoniści ulegli tej pokusie, zaczynając od Spartacusa, kończąc na Dantonie i Dostojewskim; stanowią oni klasyczne przypadki zdrady naszej sprawy. Pokusy idące od Boga były dla ludzkości zawsze bardziej niebezpieczne od pokus Szatana. Tak długo, jak nad światem panuje chaos, Bóg jest anachronizmem, a każdy kompromis z własnym sumieniem jest perfidią. Zatkaj sobie uszy palcami, kiedy przemawia do ciebie przeklęty głos wewnętrzny...

Namacał za sobą butelkę i nalał sobie nową szklanekę. Rubaszow zauważył że butelka była już do połowy wypróżniona. „Tobie by się też przydała odrobina pociechy”, pomyślał.

— Najwięksi zbrodniarze historii — ciągnął dalej Iwanow — to nie ci z rodzaju Nerona i Fouchégo, ale ci typu Gandhiego i Tołstoja. Wewnętrzny głos Gandhiego bardziej przeszkodził

wyzwoleniu Indii od armat brytyjskich. Sprzedać się za trzydzieści srebrników to uczciwa transakcja; ale zaprzedać się własnemu sumieniu równa się zdradzie ludzkości. Historia jest amoralna *à priori*; nie ma sumienia. Prowadzenie historii według zasad szkółki parafialnej oznacza pozostawienie wszystkiego po staremu. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja sam. Wiesz o jak wielką stawkę chodzi i zaczynasz mi opowiadać o jękach Bogrowa...

— Albo o wyrzutach sumienia z powodu twojej tłustej Arłowej.

Rubaszow pamiętał z dawnych czasów, że Iwanow ma mocną głowę; w jego zachowaniu nie było żadnej zmiany, poza odrobinę bardziej pompatycznym niż zwykle sposobem mówienia. „Tobie też trzeba pocieszenia”, pomyślał znowu Rubaszow, „może bardziej, niż mnie”.

Usiadł na niskim stołku naprzeciw Iwanowa i słuchał. Nie słyszał nic nowego; przez lata bronił takiego samego stanowiska, tymi samymi lub podobnymi słowami. Różnica polegała na tym, że za tamtych czasów procesy wewnętrzne, o których Iwanow wyrażał się z taką pogardą, były dla niego czystą abstrakcją; teraz doświadczył „fikcji gramatycznej” jako rzeczywistości dotykającej, złączonej z jego własnym ciałem. Ale czy te irracjonalne procesy stały się bardziej dopuszczalne dlatego tylko, że doznał ich teraz na własnym ciele? Czy dlatego tylko stało się mniej konieczne walczyć z „trucizną mistyczną”, że zatrut się nią osobiście? Rok temu, kiedy skazał Arłową na śmierć, brakło mu wyobraźni, aby sobie wyobrazić jej egzekucję we wszystkich szczegółach. Czy teraz postąpiłby inaczej, jedynie z tego powodu, że poznał pewne aspekty tej egzekucji? Poświęcenie Ryszarda, Arłowej i Małego Loewy — było słuszne albo niesłuszne. Ale co wspólnego miało jąkanie się Ryszarda, kształt piersi Arłowej czy chlupanie Bogrowa z obiektywną słusnością czy niesłusnością samego zabiegu?

Rubaszow zaczął się znowu przechadzać wzdłuż celi. Czuł, że wszystko, czego doznał od chwili aresztowania, było tylko wstępem; wszystkie jego rozmyślania doprowadziły go do martwego punktu, do progu tego, co Iwanow nazwał „metafizycznym domem publicznym” — i wszystko trzeba zacząć od początku. Ale ile czasu mu jeszcze zostało? Zatrzymał się, wyjął szklankę z ręki Iwanowa i wypróżnił ją. Iwanow patrzył na niego uważnie.

— No widzisz — powiedział z przelotnym uśmiechem. — Monologi w formie dialogu, to bardzo pożyteczna instytucja.

Mam nadzieję, że z powodzeniem naśladowałem głos kusiciela. Szkoda tylko, że druga strona jest nieobecna. Ale to jest jeden z jej podstępów, że nie daje się nigdy wciągnąć w dyskusję racjonalną. Zawsze napada człowieka w chwilach, kiedy jest bezbronny, kiedy jest samotny i zawsze ukazuje się w efektywnych kulisach: w krzaku gorejącym, albo na wierzchołkach gór, obwleczonech chmurami — a szczególne upodobanie ma do ofiar pogrążonych we śnie. Metody tego wielkiego moralisty są dosyć nieprzyzwoite i teatralne...

Rubaszow przestał słuchać. Chodząc tam i na powrót zastanawiał się nad tym, czy dzisiaj, gdyby Arłowa jeszcze żyła, poświęciłby ją po raz drugi. Ten problem go urząkał; zdawało mu się, że w nim jest zawarta odpowiedź na wszystkie inne pytania... Zatrzymał się przed Iwanowem i zapytał:

— Czy pamiętasz „Raskolnikowa”?

Iwanow uśmiechnął się ironicznie. — Należało się spodziewać, że prędzej czy później dojdiesz i do tego. Zbrodnia i kara... Naprawdę, zdziocinniałeś albo stetryczałeś...

— Czeka, czeka — powiedział Rubaszow, chodząc nerwowo tam i na powrót. — To wszystko było tylko gadanie, ale teraz dochodzimy do sedna rzeczy. O ile sobie dobrze przypominasz, chodzi o to, czy student Raskolnikow ma prawo zabić tę starą kobietę? Jest młody i zdolny; ma w kieszeni jeszcze niewykupiony czek swego przyszłego życia; ona jest stara i światu absolutnie niepotrzebna. Ale równanie się nie zgadza. Przede wszystkim okoliczności zmuszają go do zamordowania drugiej osoby; jest to nielogiczne i nie dające się przewidzieć następstwo postępowania na pozór prostego i logicznego. Potem równanie wali się w każdym przypadku, bo Raskolnikow odkrywa, że dwa razy dwa nie jest cztery, gdy jednostki matematyczne są istotami ludzkimi...

— Naprawdę — powiedział Iwanow — jeśli mam być szczerzy, to według mnie należałoby spalić wszystkie egzemplarze tej książki. Pomyśl tylko, do czego by nas ta mgławicowa filozofia humanitarna doprowadziła, gdybyśmy ją chcieli pojmować dosłownie; gdybyśmy chcieli przyjąć zasadę, że jednostka jest rzeczą świętą i że nie wolno posługiwać się życiem człowieka zgodnie z prawami arytmetyki. Znaczyłoby to, że dowódca batalionu nie może poświęcić patrolu, by uratować oddział. Że nie wolno nam poświęcić wariatów z gatunku Bogrowa i że powinniśmy dopuścić do tego, by za parę lat miasta na naszym wybrzeżu zostały zniesione w puch i proch...”.

Rubaszow potrząsnął głową:

— Wszystkie twoje przykłady są wzięte z wojny — to znaczy z okoliczności wyjątkowych.

— Od czasu wynalazku maszyny parowej — odpowiedział Iwanow — świat znajduje się bez przerwy w okolicznościach wyjątkowych; wojny i rewolucje są tylko widzialnym wyrazem tego stanu rzeczy. Twój Raskolnikow jest jednak idiotą i zbrodniarzem; nie dlatego, że postępując logicznie, zabija staruchę, ale dlatego, że robi to w interesie osobistym. Zasada, że cel uświęca środki, jest i musi być jedyną zasadą etyki politycznej; wszystko inne jest czczą gadaniną i przepływa między palcami... Gdyby Raskolnikow wykończył staruchę na rozkaz Partii — na przykład celem powiększenia funduszu dla strajkujących albo po to, by zainstalować nielegalną drukarnię — równanie by się zgodziło i powieść wraz z całym mętłym problematem nie zostałaby nigdy napisana, bez żadnej szkody dla ludzkości.

Rubaszow nie odpowiedział. Ciągle jeszcze fascynowała go sprawa, czy dzisiaj, po doświadczeniach ostatnich miesięcy i dni, skazałby Arłową na śmierć ponownie. Nie wiedział. Logicznie biorąc, Iwanow miał rację we wszystkim co powiedział; niewidzialny przeciwnik milczał i zaznaczał swoje istnienie tylko przez niewyraźne uczucie niepokoju. I w tym także Iwanow miał rację, że zachowanie „niewidzialnego przeciwnika” z ciągłym unikaniem rozprawy i napażaniem człowieka tylko wtedy, kiedy jest bezbronny, pokazuje go w bardzo wątpliwym świetle...

— Nie mogę się zgodzić na mieszanie ideologii — prowadził rzecz Iwanow. — Istnieją tylko dwie koncepcje etyki ludzkiej i reprezentują dwa skrajne stanowiska. Jedna z nich jest chrześcijańska i humanitarna; według niej jednostka jest święta, i prawa arytmetyki nie mogą być stosowane do jednostek ludzkich. Druga wychodzi z podstawowej zasady, że cel zbiorowy uświęca wszelkie środki i nie tylko dopuszcza, ale wręcz wymaga, by jednostka była pod każdym względem podporządkowana i poświęcona sprawom zbiorowości, która może się tą jednostką posługiwać jak królikiem doświadczalnym albo jak kozłem ofiarnym. Pierwszą koncepcję można by nazwać moralnością anti-wiwisekjonistów, drugą — moralnością wiwisekjonistów. Durnie i dyletanci zawsze usiłowali mieszać te dwie koncepcje; w praktyce jest to niemożliwe. Ktokolwiek bierze na siebie ciężar władzy i odpowiedzialności, doświadcza przy pierwszej lepszej okazji, że musi wybierać; i z konieczności wybiera drugą alternatywę. Czy od czasu, kiedy chrześcijaństwo stało się religią państwową znasz choć jedno państwo, które by uprawiało poli-

tykę naprawdę chrześcijańską? Nie potrafiłbyś wskazać ani jednego. W okolicznościach nagłej potrzeby — a polityka jest chronicznie w stanie nagłej potrzeby — rządzący zawsze powołują się na „okoliczności wyjątkowe”, które wymagają wyjątkowych środków obrony. Od chwili istnienia narodów i klas wszyscy żyją w ciągłym stanie wzajemnej samoobrony, która ich wiecznie zmusza do tego, aby praktykowanie humanitaryzmu odłożyć do innych czasów...

Rubaszow wyrzwał przez okno. Już tający śnieg przymarzał znowu i lśnił nierówną powierzchnią żółto-białych kryształków. Wartownik z karabinem na ramieniu chodził po parapecie tam i na powrót. Niebo było czyste, ale bez księżyca; nad wieżą z karabinem maszynowym białała Mleczna Droga.

Rubaszow wzruszył ramionami. — Przyjmijmy — powiedział — że humanitaryzm i polityka, poszanowanie jednostki i postęp społeczny są nie do pogodzenia. Przyjmijmy, że Gandhi jest dla Indii katastrofą; że czystość w wyborze środków prowadzi do niemocy politycznej. Zgódźmy się we wszystkim co negatywne. Ale spójrz tylko, dokąd nas zaprowadziła owa druga możliwość...

— Świetnie — podchwycił Iwanow. — A więc dokąd?

Rubaszow wytarł binokle o rękaw i spojrzął na niego oczami krótkowidza. — Cóż za bałagan — powiedział — cóż za bałagan zrobiliśmy z naszego złotego wieku.

Iwanow uśmiechnął się. — Być może — przytwardził wesoło. — Spójrz na Gracchów i na Saint Justa i na Komunę Paryską. Jak dotąd, wszystkie rewolucje były robione przez moralizujących dyletantów. Zawsze działali w dobrej wierze i zawsze ginęli na skutek swego dyletantyzmu. My po raz pierwszy postępujemy konsekwentnie...

— Rzeczywiście — przytaknął Rubaszow. — Tak konsekwentnie, że w imię sprawiedliwego podziału ziemi daliśmy świadomie zginąć z głodu około pięciu milionom chłopów i ich rodzinom w ciągu tylko jednego roku. Tak konsekwentni byliśmy w wyzwaniu istot ludzkich z jarzma wyzysku przemysłowego, że około dziesięciu milionów ludzi wysłaliśmy na roboty przymusowe w okolice polarne i na stepy Wschodu, na roboty w warunkach, przypominających starożytne galery niewolnicze. Tak konsekwentni, że znamy tylko jeden argument dla rozstrzygnięcia różnicy zdań: śmierć, czy idzie o okręty podwodne, o nawóz czy też o linię postępowania Partii w Indochinach. Nasi inżynierowie pracują w stałej świadomości tego, że najmniejszy błąd w obliczeniu może ich wepchnąć do więzienia albo zaprowadzić na szafot; wyżsi urzędnicy naszej administracji

rujują i wykańczają podwładnych, bo wiedzą, że ponoszą odpowiedzialność za najmniejsze niedopatrzenie i sami mogą być wykończeni; nasi poeci rozstrzygają spory na temat stylu za pomocą donosów do tajnej policji, bo ekspresjoniści uważają styl naturalistyczny za kontrrewolucyjny i na odwrót. Działając konsekwentnie w interesie przyszłych pokoleń, obecnemu narzuciliśmy tak straszne wyrzeczenia, że skróciliśmy przeciętne życie człowieka o jedną czwartą. Po to, by obronić samo istnienie kraju, musieliśmy stosować środki wyjątkowe i ustanowić prawa przejściowe, które w każdym punkcie sprzeczą się z celami Rewolucji. Poziom życia narodu jest niższy, aniżeli był przed Rewolucją; warunki pracy są gorsze, dyscyplina bardziej nieludzka, harówka na akord cięższa niż w koloniach w zastosowaniu do kulisów-tubylców; wiek, w którym podlega się karze głównej, obniżyliśmy do lat dwunastu; nasze prawa seksualne są bardziej ciasne niż w Anglii, nasz kult przywódców bardziej bizantyński niż w dyktaturach reakcyjnych. Nasza prasa i nasze szkoły gloryfikują szowinizm, militarizm, dogmatyzm, konformizm i ciemnotę. Despotyczna władza rządu jest nieograniczona i niebywała w historii; wolność prasy, słowa i ruchu zostały wytępione tak dokładnie, jak gdyby nie było Deklaracji Praw Człowieka. Skonstruowaliśmy najbardziej gigantyczny aparat policyjny, ze szpiegów zrobiliśmy instytucję narodową i posiadamy najbardziej wyrafinowany system naukowy tortury fizycznej i duchowej. Gnamy batogami jęczące masy naszego kraju ku teoretycznej przyszłej szczęśliwości, którą tylko my jesteśmy w stanie dojrzeć. Bo zasoby i siły naszego pokolenia zostały wyczerpane; wydatkowaliśmy je w Rewolucji; bo nasza generacja się wykrważyła i nie zostało z niej nic, tylko jęczący, odurzony, apatyczny ochłap mięsa ofiarnego... Oto są konsekwencje naszej konsekwencji. Nazwałś to moralnością wiwisekjonistów. Mnie się czasem wydaje, że eksperymentatorzy odarli ofiarę ze skóry i pozostawili ją z obnażonymi tkankami, mięskami i nerwami...

— Świetnie, i co z tego? — zapytał Iwanow wesoło. — Czy nie uważasz, że to jest wspaniałe? Czy było kiedyś coś bardziej wspaniałego w historii? Zdieramy z ludzkości starą skórę i dajemy jej nową. Nie jest to zajęcie dla ludzi o słabych nerwach; ale kiedyś i ciebie napełniało to entuzjazmem. Cóż cię tak zmieniło, że stałeś się przeczulony, jak stara panna?

Rubaszow chciał odpowiedzieć: — Pośrodku słyszałem, jak Bogrow wołał mnie po nazwisku. — Ale wiedział, że taka odpowiedź nie ma sensu. Powiedział więc zamiast tego:

— Rozwijając tę samą metaforę: widzę odarte ciało naszego

pokolenia, ale nie widzę śladu tej nowej skóry. Myśleliśmy wszyscy, że z historią można sobie tak poczynać, jak się robi doświadczenia z dziedziny fizyki. Różnica leży w tym, że w fizyce eksperyment można powtórzyć tysiąc razy, w historii zaś tylko raz jeden. Dantona i Saint Justa można tylko raz posłać na szafot; i gdyby się okazało, że mimo wszystko należy jednak budować wielkie okręty podwodne, to towarzysz Bogrow już nie zmartwychwstanie.

— I co z tego wynika? — zapytał Iwanow. — Czy mamy siedzieć z założonymi rękami dlatego, że nigdy nie można całkowicie przewidzieć konsekwencji swojego postępowania i czy z tego wynika, że wszelkie działanie jest złem? Za każdy nasz czyn odpowiadamy własną głową — nie można od nas więcej wymagać. W obozie przeciwnym nie są tak skrupulatni. Pierwszy lepszy generał idiota może robić doświadczenia z tysiącami żywych istot; jeśli się pomyli, to co najwyżej dostanie dymisję. Siły reakcji czy kontrrewolucji nie mają skrupułów czy problemów natury etycznej. Wyobraź sobie Sullę, Gallifeta, Kołczaka, czytających Raskolnikowa. Tak dziwne ptaki jak ty gnieźdzą się tylko na drzewach Rewolucji. Tamtym jest łatwiej...

Spojrzał na zegarek. Okno celi przybrało kolor brudno-szary; gazeta, przyklepiona w miejsce wybitej szyby wyduła się i szeleściła w porannym wietrze. Na obmurowaniu po przeciwnej stronie wartownik ciągle jeszcze odmierzał sto kroków tam i sto kroków na powrót.

— U człowieka o twojej przeszłości — ciągnął dalej Iwanow — to nagłe obrzydzenie do eksperymentowania wydaje się raczej naiwne. Corocznie kilka milionów ludzi ginie zupełnie bezsensownie na skutek epidemii czy innych katastrof przyrodniczych. A my mielibyśmy cofnąć się przed poświęceniem paru setek tysięcy dla najbardziej obiecującego eksperymentu w historii? Nie mówiąc już o legionach tych, którzy umierają z niedożywienia i na suchoty w kopalniach węgla i rtęci, na polach ryżowych i w plantacjach bawełny. Nikt się o nich nie troszczy; nikt nie pyta, dlaczego tak się dzieje i w imię czego; ale jeśli my tutaj rozstrzelamy parę tysięcy obiektywnie biorąc szkodliwych ludzi, humanitaryści całego świata zaczynają się pienić. Tak jest, zlikwidowaliśmy tę część chłopów, która żyła pasożytniczo, dopuściliśmy do tego, że zginęła z głodu. Była to operacja chirurgiczna, którą trzeba było raz na zawsze przeprowadzić; ale za starych, dobrych czasów przed Rewolucją tyle samo ginęło w każdym roku suszy — tylko że bez sensu i bez celu. Ofiary powodzi, wywoływanych wylewem Żółtej Rzeki w Chinach liczą

się niekiedy w setki tysięcy. Natura jest rozrzutna w swoich bezsensownych eksperymentach z ludzkością. Dlaczegożby ludzkość nie miała mieć prawa eksperymentowania na sobie samej?

Zatrzymał się; Rubaszow nie odpowiadał. Ciągnął dalej:

— Czytałeś może kiedy broszury stowarzyszenia antywiwiskcjonistów? Są wstrząsające i rozdzierające; kiedy się czyta, jak jakieś biedne zwierzę, któremu dopiero co wycięto wątrobę, piszczy i liże ręce oprawcy, wywraca się człowiekowi żołądek, jak tobie wczoraj wieczór. Ale gdyby się postępowało po myśli tych ludzi, nie mielibyśmy dziś zastrzyków przeciw cholercie, tyfusowi czy dyfterytowi...

Wyprowadził resztę butelki, ziewnął, przeciągnął się i wstał. Przykusztkał do Rubaszowa, stojącego przy oknie i wyjrzał na dwór.

— Dnieje — powiedział. — Rubaszow, nie bądź kretynek. Wszystko co ci dzisiaj powiedziałem, to podstawowe zasady, które znasz równie dobrze, jak ja. Miałeś atak depresji nerwowej, który już mija. — Stał koło Rubaszowa przy oknie i objął go ramieniem; głos jego brzmiał prawie czule. — Idź i prześpij się teraz, stary wojowniku; jutro mija termin i obaj musimy mieć jasne głowy, by wysmażyć twoje wyznanie. Nie wzruszaj ramionami — sam jesteś już przez pół przekonany, że je podpiszesz. Jeśli się tego wypierasz, to tylko z moralnego tchórzostwa. Moralne tchórzostwo doprowadziło wielu do męczeństwa.

Rubaszow patrzył na dwór, w szarzące światło. Wartownik robił właśnie zwrot w prawo. Nad wieżą z karabinem maszynowym niebo było blade-szare, z czerwonym odcieniem. — Namyśle się jeszcze — powiedział po chwili.

Kiedy drzwi zamknęły się za gościem, Rubaszow wiedział, że do połowy się już poddał. Rzucił się na prycę, czuł wyczerpanie i jednocześnie dziwną ulgę. Wydawał się sobie wydrążony i wyspany do dna, a jednak doznawał uczucia, jakby ktoś zdjął z niego wielki ciężar. Patetyczne wezwanie Bogrowa straciło w jego pamięci coś ze swojej akustycznej ostrości. Któż może nazwać zdradą to, że dotrzymuje się wiaty nie umarłym, ale żyjącym?

Podczas gdy Rubaszow spał spokojnie i bez marzeń — ból zęba także się uspokoił — Iwanow, wracając do swego pokoju, wstąpił do Gletkina. Gletkin siedział przy biurku w pełnym mundurze i pracował nad aktami. Od lat miał zwyczaj pracować

przez całą noc trzy do czterech razy w tygodniu. Gdy Iwanow wszedł do pokoju, Gletkin stanął na baczność.

— Wszystko w porządku — rzekł Iwanow. — Jutro podpisze. Ale się napociłem, by odrobić wasz idiotyzm.

Gletkin nie odpowiedział: stał sztywno przed biurkiem. Pamietając ostre starcie, jakie miał z Gletkinem przed wizytą w celi Rubaszowa i wiedząc, że Gletkin niełatwo zapomina naganę, Iwanow wzruszył ramionami i dmuchnął mu dymem w twarz. — Nie bądźcie kretyńcem — powiedział. — Wszyscy jeszcze chorujecie na ambicje osobiste. Na jego miejscu bylibyście jeszcze bardziej uparci, niż on.

— Ja mam kręgosłup, którego jemu brak — powiedział Gletkin.

— Ale za to jesteście idiotą — odparował Iwanow. — Za tę odpowiedź powinniście pójść pod ścianę przed nim.

Pokuszykał do drzwi i zatrzasnął je za sobą.

Gletkin usiadł znów za biurkiem. Nie wierzył, że Iwanowowi się powiedzie i jednocześnie bał się tego. Ostatnie zdanie Iwanowa brzmiało jak groźba, a u niego nigdy nie wiadomo, co mówi żartem, a co na serio. Może sam nie wie — jak ci wszyscy cynicy-intelektualiści...

Gletkin wzruszył ramionami, poprawił kołnierz i chrzęszczące mankiety i wrócił do roboty nad stosem papierów.

TRZECIE PRZESŁUCHANIE

„Niekiedy słowa służą na to, aby zastonić fakty. Ale to musi się dziać w taki sposób, by nikt nie był tego świadom: albo też, jeśli by zostało dostrzeżone, należy mieć pod ręką jakieś usprawiedliwienie, którym by się można natychmiast posłużyć”.

MACHIAVELLI:

Instrukcje dla Rafaela Girolami.

„A niechaj mowa wasza będzie: Jest, jest; Nie, nie. A co nad to więcej jest, od złego jest”.

MATEUSZ, w. 37.

1

WYCIĄG Z DZIENNIKA M. S. RUBASZOWA, 20 DZIEŃ WIĘZIENIA

... WŁODZIMIERZ BOGROW wypadł z biegu. Sto pięćdziesiąt lat temu, w dzień szturm na Bastylię, huśtawka europejska została wprawiona w ruch na nowo, po długim okresie spokoju. Odbiła się z rozmachem od tyranii; z niepowstrzymanym, zdawało się, rozpędem rozbuśtała się w górę, ku niebieskiemu niebu wolności. Na przestrzeni stu lat wzbijała się coraz wyżej i wyżej, w sfery liberalizmu i demokracji. Ale oto rozpęd stopniowo słabł, huśtawka doszła do punktu szczytowego i zwrotnego swej kolei; a później, po chwili bezruchu, zaczęła drogę powrotną, z przyspieszoną szybkością. Z tym samym rozmachem z jakim pędziła przedtem w górę, teraz przenosiła swoich pasażerów na powrót z wolności pod tyranie. Kto, zamiast trzymać się mocno, patrzył w górę, doznał zawrotu głowy i wypadł z biegu.

Ktokolwiek chce uniknąć zawrotu głowy, musi zabiegać

o poznanie prawa ruchu. Wszystko wskazuje na to, że w historii mamy do czynienia z ruchem wahadłowym, biegnącym od absolutyzmu do demokracji, od demokracji z powrotem do dyktatury absolutnej.

Miara wolności indywidualnej, jaką jakiś naród może dla siebie zdobyć i utrzymać, zależy od stopnia jego dojrzałości politycznej. Wspomniany ruch wahadłowy zdaje się wskazywać na to, że polityczne dojrzewanie mas nie idzie po linii stale wstępującej w górę, jak rozwój człowieka, ale podlega prawom bardziej złożonym.

Dojrzałość mas wyraża się w umiejętności rozpoznania własnego interesu. To jednak zakłada pewien stopień zrozumienia procesu produkcji i rozdziału dóbr. W ten sposób zdolność narodu do rządzenia samym sobą w sposób demokratyczny stoi w ścisłym stosunku do stopnia jego zrozumienia struktury i działania całego ustroju społecznego.

Otóż każde udoskonalenie techniczne pociąga nowe komplikacje aparatu ekonomicznego, powoduje pojawianie się nowych czynników i nowych związków, których masy przez pewien czas nie są w stanie zrozumieć. Każdy skok naprzód w rozwoju technicznym pozostawia względny rozwój intelektualny mas o krok z tyłu i w ten sposób powoduje spadek na termometrze dojrzałości politycznej. Stopniowe podciąganie się narodu do poziomu rozumienia tego zmienionego stanu rzeczy trwa czasem dziesiątki lat, czasem przez okres kilku pokoleń i dopiero wtedy naród odzyskuje ten sam stopień umiejętności samorządzenia się, jaki był jego udziałem na niższym szczeblu cywilizacyjnym. Stąd nie można oceniać dojrzałości politycznej mas według miary absolutnej, tylko relatywnie, tzn. w stosunku do stopnia rozwoju cywilizacyjnego w danym momencie.

Kiedy poziom świadomości mas wyrównuje się z obiektywnym stanem rzeczy, następuje niechybnie zwycięstwo demokracji, bądź w sposób pokojowy, bądź też siłą. Aż do następnego skoku w rozwoju cywilizacji technicznej — np. do wynalezienia mechanicznego warsztatu tkackiego — który znów cośa masy do stanu względnej niedojrzałości i umożliwia, a czasem nawet stwarza konieczność ustanowienia jakiejś formy przywództwa absolutystycznego.

Proces ten można porównać do podnoszenia okrętu przez tamę o kilku komorach wodnych. Gdy statek wchodzi do komory, znajduje się zrazu na niskim poziomie w stosunku do jej pojemności; podnosi się go stopniowo, tak długo, póki poziom wody nie dojdzie do najwyższego punktu. Ale to wyniesienie

jest iluzoryczne, bo poziom następnej komory jest jeszcze wyższy i proces wyrównywania trzeba rozpoczynać na nowo. Ściany komory oznaczają obiektywny stan panowania nad siłami przyrody, czyli stopień cywilizacji technicznej; poziom wody w komorze oznacza dojrzałość polityczną mas. Nie miałoby najmniejszego sensu uznać poziom wody w komorze za wysokość bezwzględną nad poziomem morza; znaczenie ma tylko względna wysokość poziomu wody w komorze.

Wraz z wynalazkiem maszyny parowej zaczął się okres szybkich obiektywnych procesów i, w ślad za tym, równie szybkiego subiektywnego cofania się politycznego. Era przemysłowa ciągle jeszcze jest historycznie młoda, rozstęp między jej niestęchanie złożonym ustrojem ekonomicznym a zrozumieniem go przez masy jest dalej olbrzymi. Tym się tłumaczy, że względna dojrzałość polityczna narodów w pierwszej połowie dwudziestego wieku jest mniejsza aniżeli w roku 200 przed Chrystusem, czy też u sczyłku epoki feudalnej.

Teoria socjalistyczna popełniła błąd, przyjmując, że poziom uświadomienia mas podnosi się stopniowo i stale. Stąd jej bezradność wobec ostatniego ruchu wahała, wobec ideologicznego samookaleczenia narodów. Byliśmy przekonani, że przystosowanie światopoglądu mas do zmienionych okoliczności jest procesem prostym, wymiernym w latach, podczas gdy zgodnie z doświadczeniem historycznym byłoby bardziej słuszne mierzyć go na stulecia. Narody Europy wciąż jeszcze nie przyswoiły sobie umysłowo skutków maszyny parowej. System kapitalistyczny załamał się, nim masy go zrozumieją.

Jeśli chodzi o Ojczyznę Rewolucji, to jej masy podlegają tym samym prawom myślowym co wszędzie indziej. Dostały się do wyższej komory wodnej, ale są ciągle jeszcze na najniższym poziomie nowego basenu. Nowy system ekonomiczny, który zajął miejsce starego, jest dla nich bodaj jeszcze bardziej niezrozumiały niż tamten. Uciążliwe i bolesne podciąganie się musi być podjęte na nowo. Zanim naród pojmie nowy układ rzeczy, który przez Rewolucję sam stworzył, minie prawdopodobnie kilka pokoleń.

Jednakże aż do tego czasu demokratyczna forma rządu jest niemożliwa, a dopuszczalna miara wolności osobistej musi być jeszcze mniejsza, aniżeli w innych krajach. Przez ten czas nasi przywódcy muszą rządzić jakby w próżni. Z punktu widzenia klasycznych pojęć liberalizmu nie jest to widowisko przyjemne. Jednak cała okropność, hipokryzja i upodlenie rzucające się w oczy są jedynie widzialnym i nieuniknionym wyrazem poprzednio

określonego prawa. Biada głupcowi i estecie, którzy pytają tylko: jak? a nie: dlaczego? Ale biada także opozycji w okresie względnej niedojrzałości mas, w takim, jaki właśnie przeżywamy.

W czasach dojrzałości opozycja ma obowiązek i rolę zwracania się do mas. W czasach niedojrzałości umysłowej tylko demagogdy odwołują się do „wyższej instancji narodu”. W takim położeniu opozycja ma dwie alternatywy: pochwyć władzę przez zamach stanu, bez liczenia na poparcie mas; albo też w milczącej rozpaczce wyskoczyć dobrowolnie z biegu — „umrzeć w milczeniu”.

Jest jeszcze trzecia możliwość, która nie jest bynajmniej mniej konsekwentna, a która w naszym kraju stała się systemem: zaparcie się i zduszenie własnego przekonania, jeśli nie ma możliwości wprowadzenia go w życie. Skoro uznajemy tylko jedno kryterium moralne, mianowicie społeczną przydatność, oczywiście bardziej honorowe będzie publiczne wyrzeczenie się własnych przekonań po to, aby zostać w szeregach Partii niż donkiszotyzm dalszego prowadzenia beznadziejnej walki.

Zagadnienia dumy osobistej, istniejące gdzie indziej przesady co do pewnych form samoupodlenia, osobiste uczucie zmęczenia, niesmaku i wstydu — należy wytepić z korzeniami...

2

Rubaszow rozpoczął pisanie rozmyślań na temat „huśtawki” następnego ranka po egzekucji Bogrowa i wizycie Iwanowa, skoro tylko zabrzmiała pobudka poranna. Kiedy mu przyniesiono śniadanie, łyknął tylko odrobinę kawy, a resztę zostawił. Jego pismo, które w ostatnich dniach stało się trochę miękkie i nierówne, odzyskało na nowo równowagę i dyscyplinę; litery były mniejsze, miejsce szerokich otwartych zaokrągleń zajęły ostre kanty. Zauważył tę zmianę, przebiegając oczami to, co napisał.

O jedenastej rano zabrano go na zwykły spacer, musiał więc przerwać pracę. Na podwórzu dano mu jako towarzysza nie starego Rip van Winkla, ale chudego chłopca w plecionych trepach. Rip van Winkla nie było i Rubaszow dopiero teraz uprzytomnił sobie, że przy śniadaniu nie słyszał zwykłego „Wykłęty powsta ludu ziemi”. Widać zabrali staruszka, Bóg wie dokąd; był to biedny, postrzępiony, zeszlóroczny mol, który cudownym i zupełnie niepotrzebnym zbiegiem okoliczności przeżył naznaczony okres czasu po to, by się na nowo pojawić w nieodpo-

wiedniej porze roku, polatać ślepo kilka razy w krąg i rozpaść się w pył w jakimś kącie.

Chłop chodził wpierv koło Rubaszowa w milczeniu, przypatrując mu się z boku. Po pierwszej rundzie odchrząknął kilka razy, a po następnej rundzie odezwał się:

— Ja jestem z prowincji D. Czy jaśnie wielmożny pan był tam kiedy?

Rubaszow zaprzeczył. D. było bardzo odległą prowincją na wschodzie, o której miał tylko blade pojęcie.

— Pewnie, że to daleko — powiedział chłop. — Trzeba jechać wielbłądami, żeby się tam dostać. Czy jaśnie wielmożny pan należy do politycznych?

Rubaszow przytaknął. Trepy chłopca miały podeszwy zdarte do połowy; chodził bosymi palcami po przydeptanym śniegu. Szyję miał chudą, a kiedy mówił, ciągle kiwał głową, jakby powtarzał amen u końca jakiejś litanii.

— Ja także polityczny — powiedział. — Znaczy, reakcjonista. Mówią, że wszystkich reakjonistów zsyłają na dziesięć lat. Czy jaśnie wielmożny pan myśli, że i mnie dadzą dziesięć lat zsyłki?

Pokiwał głową i zerknął bojaźliwie w stronę strażników, którzy stali w grupce pośrodku koła, tupiąc nogami i nie zwracając uwagi na więźniów.

— Coście zrobili — zapytał Rubaszow.

— Zdemaskowali mnie, powiadają, jako reakjonistę podczas kłucia dzieci — rozwiódł się chłop. — Co roku rząd przysłała do nas komisję. Dwa lata będzie, przysłali nam gazety do czytania i co niemiara obrazów samego rządu. Łońskiego roku przysłali maszynę do młócenia i szczotki do zębów. Latoś przysłali szklane rurki z igłami do kłucia dzieci. Przyjechała kobieta w chłopskich portkach; chciała kłuć wszystkie nasze dzieciśka, jedno po drugim. Kiedy przyszła do mojej chaty, ja i moja baba zabarykadowali my drzwi i, powiadają, zdemaskowali my się jako reakjoniści. Potem wszyscy razem spalili my gazety i obrazy i rozbili maszynę; nie minął i miesiąc, jak przyszli po nas i zabrali wszystkich.

Rubaszow coś odmruknął i myślał nad dalszym ciągiem swego zarysu o samorządzeniu się. Przypomniał sobie, co czytał kiedyś o mieszkańcach Nowej Gwinei; umysłowo są na tym samym poziomie co ten chłop, a jednak żyją w zupełnej harmonii i mają zdumiewająco rozwinięte instytucje demokratyczne. Osiągnęli najwyższy poziom pierwszego basenu tamy...

Chłop idący obok Rubaszowa uznał jego milczenie za oznakę

potępienia i skurczył się jeszcze bardziej. Palce jego nóg były sine z zimna; od czasu do czasu wzdychał; poddając się swemu losowi, człapał obok Rubaszowa.

Po powrocie do celi Rubaszow natychmiast zabrał się do pisania. Zdawało mu się, że zrobił odkrycie „prawa względnej dojrzałości” i pisał w stanie najwyższego napięcia. Kiedy przyniesiono obiad, właśnie skończył. Zjadł, co mu dano i zadowolony położył się na pryczy.

Spał godzinę, spokojnie i bez snów, obudził się z poczuciem rzeźkości. Nr 402 już od pewnego czasu stukał w jego ścianę; najwyraźniej czuł się zaniedbany. Pytał o nowego sąsiada Rubaszowa na spacerze, którego zauważył przez okno, ale Rubaszow mu przerwał. Uśmiechając się sam do siebie, wystukał binoklami:

PODDAJĘ SIĘ.

Czekał, ciekaw efektu.

Przez długi czas nic nie przychodziło; Nr 402 zamilkł. Odpowiedź jego przyszła dopiero po upływie pełnej minuty:

NIECH MNIE SZLAG TRAFI...

Rubaszow uśmiechnął się. Wystukał:

KĄŻDY NA SWÓJ SPOSÓB.

Oczekiwał ze strony Nr 402 jakiegoś wybuchu złości. Zamiast tego stukanie brzmiało łagodnie, wydawało się pełne rezygnacji:

BYŁEM SKŁONNY UWAŻAĆ WAS ZA WYJĄTEK. CZY NIE MACIE CHOĆ KRZTYNY HONORU?

Rubaszow leżał na wznak, trzymając binokle w rękę. Czuł się zadowolony i spokojny. Odstukał:

NASZE POJĘCIA O HONORZE SĄ RÓŻNE.

Nr 402 odstukał szybko i precyzyjnie:

HONOR, TO ŻYĆ I UMRZEĆ ZA SWOJE PRZEKONANIA.

Rubaszow odpowiedział równie szybko:

HONOR, TO BYĆ POŻYTECZNYM BEZ PYCHY.

Nr 402 odpowiedział tym razem głośniejszym i ostrzejszym:

HONOR, TO PRYZWOITOŚĆ — NIE POŻYTECZNOŚĆ.

CO TO JEST PRYZWOITOŚĆ? — zapytał Rubaszow, spokojnie odmierzając litery. Im spokojniej sam stukał, tym bardziej wściekle stawało się stukanie po drugiej stronie muru.

COŚ CZEGO TACY JAK WY NIGDY NIE ZROZU-

MIEJĄ — odpowiedział Nr 402. Rubaszow wzruszył ramionami:

ZASTĄPILIŚMY PRYZWOITOŚĆ ROZUMEM — odstukał.

Nr 402 więcej nie odpowiedział.

Przed kolacją Rubaszow jeszcze raz przejrzał to, co napisał. Zrobił kilka poprawek i sporządził kopię całości w formie listu, skierowanego do Prokuratora Republiki. Podkreślił ustępy, dotyczące rozmaitych możliwości działania opozycji i zakończył następującym zdaniem:

„Niżej podpisany, M. S. Rubaszow, były członek Komitetu Centralnego Partii, były Komisarz Ludowy, były dowódca 2-jej Dywizji Armii Rewolucyjnej, posiadacz Orderu za Odwagę wobec Wroga Ludu postanowił, biorąc pod uwagę wyżej przytoczone powody, całkowicie wyrzec się stanowiska opozycyjnego i publicznie przyznać się do swoich błędów”.

3

Rubaszow czekał od dwu dni, by go zaprowadzono do Iwanowa. Myślał, że stanie się to natychmiast po wręczeniu staremu dozorca aktu kapitulacji; był to przypadkowo ten sam dzień, w którym upływał termin naznaczony przez Iwanowa. Ale widać nikomu już nie śpieszyło się z jego sprawą. Może Iwanow studiuje jego „Teorie względnej dojrzałości”; albo też, co jest bardziej prawdopodobne, przesłano dokument odpowiednim władzom wyższym.

Rubaszow uśmiechał się na myśl, jakie poruszenie wywoła to wśród „teoretyków” Komitetu Centralnego. Przed Rewolucją i krótki okres czasu po niej, kiedy jeszcze żył stary przywódca, nie było różnicy między „teoretykami” a „politykami”. Taktykę, jaką należało zastosować w danym momencie, wypracowano w otwartej dyskusji wprost z doktryny rewolucyjnej; ruchy strategiczne w czasie wojny domowej, rekwizycja zbiorów, podział i rozdział ziemi, wprowadzenie nowej waluty, reorganizacja fabryk — właściwie każde zarządzenie administracyjne było filozofią stosowaną w praktyce. Każdy z mężczyzn na starej fotografii, która kiedyś zdobiła ścianę biura Iwanowa, znał się lepiej

na filozofii prawa, ekonomii politycznej i rządzeniu państwem od wszystkich najwyższych autorytetów profesorskich we wszechnicach europejskich razem wziętych. Dyskusje na kongresach w czasie wojny domowej były prowadzone na poziomie nigdy przedtem w historii nieosiągniętym przez jakiekolwiek zgromadzenie polityczne; przypominały sprawozdania w czasopiśmie naukowych — z tą tylko różnicą, że od wyniku dyskusji zależało życie i dobrobyt milionów ludzi i przyszłość Rewolucji.

Teraz stara gwardia zdarła się i zużyła; jest to zgodne z logiką historii, że im bardziej reżym się ustala, tym bardziej musi się stawać sztywny; tylko w ten sposób może zapobiec, by olbrzymie siły dynamiczne wyzwolone przez Rewolucję nie skierowały się do wewnątrz i nie wysadziły samej Rewolucji w powietrze. Czas kongresów filozoficznych minął; na miejscu starej fotografii z ponumerowanymi głowami na tapecie pokoju Iwanowa jaśnieje biała plama: filozoficzna wywrotowość ustąpiła miejsca okresowi zdrowej bezpłodności. Teoria rewolucyjna zastężyła w dogmatyczny kult, z uproszczonym, łatwym do przyjęcia katechizmem i z Nr 1 w roli arcykapłana, odprawiającego mszę. Jego przemówienia i artykuły mają charakter nieomylnego katechizmu nawet pod względem stylu; są podzielone na pytania i odpowiedzi, z podziwu godną konsekwencją w najgrubszy sposób upraszczają aktualne problemy i wydarzenia. Nr 1 ma niezawodny instykt w stosowaniu „prawa względnej dojrzałości mas”... Dyletanci tyranii zmuszali swoich poddanych do działania na rozkaz; Nr 1 nauczył ich myślenia na rozkaz.

Rubaszowa bawiła myśl o tym, co obecni „teoretycy” Partii powiedzą na temat jego listu. W obecnych warunkach była to najdziksza herezja; krytykował ojców doktryny, których słowa są tabu; nazywał rzeczy po imieniu i nawet nietykalną osobę Nr 1 potraktował obiektywnie w kontekście historycznym. Wiją się chyba w śmiertelnym strachu, ci nieszczęśni teoretycy obecnego okresu, których jedyne zadanie polega na tym, by skoki i nagłe zmiany kursu Nr 1 fryzować na najnowsze objawienia filozofii.

Nr 1 często płatał dziwne figle swoim teoretykom. Od komitetu specjalistów, wydającego czasopismo ekonomiczne Partii, zażądał kiedyś analizy kryzysu przemysłowego w Ameryce. Przygotowanie tej pracy trwało wiele miesięcy; wreszcie ukazał się numer specjalny, w którym — w oparciu o tezę, postawioną przez Nr 1 w ostatnim przemówieniu na Kongresie — dowodzone na 300 stronicach, że amerykańska *prosperity* stanowi tylko rozkwit pozorny, że w rzeczywistości Ameryka znajduje

się na samym dnie depresji i że tylko zwycięska rewolucja jest w stanie tę depresję przełamać. Tego samego dnia, w którym ukazał się ów numer specjalny, Nr 1 przyjął jakiegoś dziennikarza amerykańskiego i wprowadził go a z nim cały świat w zdumienie dobitnym zdaniem, wygłoszonym między jednym pyknięciem fajki a drugim:

„Kryzys w Ameryce minął i interesy wróciły do normalnego stanu rzeczy”.

W oczekiwaniu dymisji i przypuszczalnego aresztowania, członkowie komitetu specjalistów ułożyli tej samej nocy listy, w których wyznawali „swoje grzechy, popełnione przez głoszenie teorii antyrewolucyjnych i fałszywych analiz”; podkreślali swoją skruchę i obiecywali publiczne zadośćuczynienie. Tylko Izakowicz, rówieśnik Rubaszowa, jedyny w Komitecie Wydawców należący do starej gwardii — wołał się zastrzelić. Wtajemniczeni twierdzili później, że Nr 1 zainscenizował tę całą sprawę wyłącznie po to, aby wykończyć Izakowicza, którego podejrzewał o skłonności opozycyjne.

Była to dość groteskowa komedia, myślał Rubaszow; w gruncie rzeczy ta cała żonglerka „filozofią rewolucyjną” stanowi tylko środek do umocnienia dyktatury, która, choć jest zjawiskiem tak przygnębiającym, liczy się widać do rządu konieczności historycznych. Tym gorzej dla tego, kto bierze tę komedię poważnie, kto widzi tylko to, co się dzieje na scenie, a nie dostrzega ukrytej za nią maszynierii. Dawniej politykę rewolucyjną ustalano na publicznych kongresach; dzisiaj wszystko się decyduje za kulisami — to także należy do logicznych konsekwencji prawa o względnej dojrzałości mas...

Rubaszow marzył o tym, aby znowu popracować w zacisznej bibliotece, w świetle zielonych lamp i dać swojej teorii podbudowę historyczną. Najbardziej produktywne okresy filozofii rewolucyjnej przypadają zawsze na czasy wygnania, na owe przymusowe przystanki między okresami czynnej działalności politycznej. Chodził tam i na powrót po celi i puszczał wodze marzeniu, że następne dwa lata, kiedy będzie politycznie wyklęty, spędzi jakby na wygnaniu wewnętrznym; publicznym pokajaniem się kupi sobie czas potrzebny na zacerpnięcie oddechu.

Zewnętrzna forma kapitulacji nie ma większego znaczenia; gotów jest dać im tyle *mea culpa* i zapewnień wiary w nieomyślność Nr 1, ile się tylko zmieści na papierze. Jest to sprawa czysto etykietalna — bizantyński ceremoniał, który wyrósł z potrzeby wbijania każdego zdania w umysły mas za pomocą wulgaryzacji i niekończących się powtórzeń; co się uznaje za słuszne,

musi świecić jak złoto, co jest uznane za złe, musi być czarne jak smoła; wypowiedzi polityczne winny być barwione, jak pierniki na jarmarku.

O tym wszystkim Nr 402 nie ma pojęcia, rozmyślał Rubaszow. Jego ograniczone pojęcie honoru należy do epoki, która już minęła. Co to jest przyzwoitość? Pewna postać konwencji, ciągle jeszcze ograniczonej tradycjami i zasadami turniejów rycerskich. Nowe pojęcie honoru winno być ujęte odmiennie: służyć bez próżności i do ostatecznej konsekwencji...

„Raczej umrzeć, niż się shańbić”, oznajmił Nr 402 i można sobie wyobrazić, że podkreślił przy tym wąsa. Oto klasyczny wyraz próżności osobistej. Nr 402 wystukuje zdania monoklem, Rubaszow binoklami; w tym jest cała różnica. Jedyna rzecz, na której mu teraz zależy, to możliwość spokojnej pracy w bibliotece i rozwinięcia swych nowych idei. Potrzeba mu będzie na to wielu lat i zrobi się z tego gruby tom; ale będzie to pierwszy użyteczny klucz do rozumienia historii instytucji demokratycznych, będzie to światło rzucone na wahadłowe ruchy w psychologii mas; w obecnej chwili są one szczególnie widoczne, a klasyczna teoria walki klas nie zdołała ich wytłumaczyć.

Rubaszow przemierzał swoją celę szybkimi krokami, uśmiechając się do siebie. Wszystko jest obojętne, jeśli tylko dadzą mu czas na rozwinięcie nowej teorii. Ból zęba znikł. Czuł się trzeźwy, pełen przedsiębiorczości i nerwowej niecierpliwości.

Od nocnej rozmowy z Iwanowem i wysłania deklaracji minęły już dwa dni i wciąż jeszcze nic się nie działo. Czas, który płynął tak szybko w ciągu pierwszych dwu tygodni aresztu, teraz włókł się wolno. Godziny drobiły się w minuty i sekundy. Rubaszow pracował zrywami, ale co chwila musiał rzucać pisanie z braku dokumentacji historycznej. Całe kwadransy wystawał przy judaszu w nadziei, że zobaczy dozorcę, który go zaprowadzi do Iwanowa. Ale korytarz był pusty, światło elektryczne płonęło jak zawsze.

Od czasu do czasu budziła się w nim nadzieja, że Iwanow przyjdzie sam i cała formalność zeznania odbędzie się w celi; byłoby to o wiele przyjemniejsze. Tym razem nie broniłby się nawet przed butelką wódki. Wyobrażał sobie tę rozmowę w szczegółach: jak wspólnie wypracują pompatyczną frazeologię „spowiedzi”, jak Iwanow będzie przeplatał tę robotę cynicznymi dowcipami. Rubaszow chodził uśmiechnięty tam i z powrotem i patrzył co dziesięć minut na zegarek. Czyż Iwanow nie przyrzekł owej nocy, że przyśle po niego zaraz następnego dnia?

Niecierpliwość Rubaszowa stawała się coraz bardziej febryczna; trzeciej nocy po rozmowie z Iwanowem nie mógł spać. Leżał na pryczy w ciemności, wsłuchując się w słabe, stłumione odgłosy gmachu, i po raz pierwszy od czasu aresztowania tęsknił za ciepłym kobiecego ciała. Starał się oddychać spokojnie, by zasnąć, ale wybijał się ze snu coraz bardziej. Długo walczył z pragnieniem rozpoczęcia konwersacji z Nr 402, który od czasu pytania „Co to jest przyzwoitość?” nie dał znaku życia.

Około północy, kiedy nie mógł zasnąć przez trzy godziny i przyglądał się gazecie nalepionej na zbitą szybę, nie wytrzymał i kostkami palców zastukał w ścianę. Czekał z napięciem; ściana milczała. Zapukał znowu i czekał, czując jak go zalewa gorąca fala wstydu. Nr 402 w dalszym ciągu nie odpowiadał. A na pewno leżał po drugiej stronie ściany nie śpiąc, zabijając czas przeżywaniem dawnych przygód miłosnych; przyznał się kiedyś Rubaszowowi, że nigdy nie zasypia przed pierwszą czy drugą nad ranem i że wrócił do nałogów chłopiectwa.

Rubaszow leżał na wznak i wpatrywał się w ciemność. Siennik pod nim był zupełnie spłaszczony; koc był zbyt ciepły i powodował nieprzyjemne wilgotnienie skóry. Gdy go zrzucił, zaczął drżeć z zimna. Palił już siódmego czy ósmego papierosa, zapalając jeden o drugi; na kamiennej posadzce dookoła łóżka leżały porzrzucone niedopałki. Nie było słyhać najłżejszego odgłosu; czas jakby się zatrzymał; rozplynał się w bezkształtną ciemność.

Rubaszow zamknął oczy i wyobraził sobie, że Arłowa leży obok niego, że znajomy kształt jej piersi odcina się w ciemności. Zapomniał o tym, że wleczono ją przez korytarz jak Bogrowa; cisza stała się tak głęboka, że zdawało się, iż szumi i kołysz. Co robi dwa tysiące mężczyzn zasklepionych w celach tego ula? Cisza zdawała się nabrzmiała od ich niesłyszalnych oddechów, ich niewidzialnych marzeń sennych, stłumionego dyszenia ich trwóg i pożądań. Jeśli historia jest obliczalna, jaką wartość przedstawia suma dwu tysięcy koszmarów, ucisk dwutysięcznego beznadziejnego pożądania? Teraz rzeczywiście poczuł siostrzany zapach Arłowej; jego ciało pod wełnianym kocem pokryło się potem... Drzwi celi rozwarły się z trzaskiem; światło korytarza dźgnęło go w oczy.

Zobaczył, że do celi weszło dwu funkcjonariuszy w mundurach z rewolwerami u pasa, nieznanymi mu dotąd. Jeden z nich zbliżył się do pryczy; był wysoki, miał brutalną twarz i zachryplę głos, który wydał się Rubaszowowi bardzo głośny. Kazał mu wstać i iść za sobą, nie wyjaśniając dokąd.

Rubaszow namacał pod kocem binokle, nałożył je i podniósł

się z pryczy. Czuł się śmiertelnie zmęczony, idąc wzdłuż korytarza obok umundurowanego olbrzyma, który przewyższał go o głowę. Drugi szedł za nimi.

Rubaszow spojrzął na zegarek; była druga nad ranem, mimo wszystko więc spał trochę. Szli w kierunku lokalu fryzjera — tą samą drogą, którą prowadzono Bogrowa. Drugi funkcjonariusz trzymał się trzy kroki w tyle. Rubaszow odczuł gwałtowną potrzebę odwrócenia głowy, niby swędzenie w karku, ale się opanował. „Chyba nie mogą mnie wykończyć tak bez żadnej ceremonii”, myślał, ale nie był tego zupełnie pewny. W danej chwili mało go to obchodziło, chciał tylko szybko z tym skończyć. Starał się stwierdzić, czy się boi czy nie, ale rozpoznał tylko fizyczne poczucie skrępowania, wywołane wysiłkiem, aby nie odwracać głowy w stronę mężczyzny, idącego za nim.

Skręciwszy za róg, koło pokoju fryzjera, zobaczył wąskie schody prowadzące do podziemi. Rubaszow obserwował olbrzyma obok siebie, próbując sprawdzić czy zwalnia kroku. Ciągle jeszcze nie odczuwał strachu, tylko ciekawość i skrępowanie; kiedy jednak przeszli obok schodów, stwierdził ze zdziwieniem, że nogi mu drżały; musiał zrobić wysiłek, aby się opanować. Jednocześnie przychwycił się na tym, że mechanicznie wyciera binokle o rękaw; widać zdjął je bezwiednie przed dojściem do pokoju fryzjera. „Wszystko bujda”, pomyślał. „W górnej części można się jeszcze bujać, ale w dolnej, od żołądka w dół, wie się wszystko dokładnie. Jeśli mnie teraz będą bili, podpiszę wszystko, co tylko zechcą; ale jutro odwołam...”

Parę kroków dalej przypomniła mu się „teoria względnej dojrzałości” i fakt, że już postanowił skapitulować i podpisać akt poddania się. Doznał wielkiej ulgi; jednocześnie jednak zadał sobie pytanie, jak to jest możliwe, że aż tak dokładnie zapomniał o postanowieniu powziętym w ostatnich dniach.

Olbrzym zatrzymał się, otworzył jakieś drzwi i ustąpił z drogi. Rubaszow zobaczył pokój, podobny do pokoju Iwanowa, tylko zalany nieprzyjemnie jaskrawym światłem, które go kłuło w oczy. Naprzeciw drzwi, za biurkiem, siedział Gletkin.

Drzwi zamknęły się za Rubaszowem i Gletkin podniósł głowę znad stosu aktów. „Proszę, siadajcie”, powiedział suchym, bezbarwnym głosem, który Rubaszow pamiętał z czasów sceny w celi. Poznał także szeroką bliznę na czaszce Gletkina; jego twarz była ukryta w cieniu, ponieważ jedyne światło w pokoju pochodziło z wysokiej lampy metalowej, stojącej za krzesłem Gletkina. Ostre, białe światło, promieniujące z wyjątkowo silnej żarówki, oślepiło Rubaszowa do tego stopnia, że dopiero po kilku

sekundach zauważył obecność trzeciej osoby — sekretarki, siedzącej przy małym stoliku za parawanem i odwróconej do pokoju plecami.

Rubaszow usiadł naprzeciwko Gletkina, przed biurkiem, na jedynym krześle. Było to krzesło niewygodne, bez poręczy.

— Zostałem wyznaczony do przesłuchania was pod nieobecność komisarza Iwanowa — rzekł Gletkin. Rubaszowa oczy bolały od światła lampy, ale jeśli odwracał się do Gletkina bokiem, światło padające w kąciaki oczu sprawiało prawie równą przykrość. Zresztą rozmawiać z odwróconą głową wydawało mu się śmieszne i kępujące.

— Wolę być przesłuchiwany przez Iwanowa — powiedział Rubaszow.

— Urzędnika przesłuchującego wyznaczają władze — stwierdził Gletkin. — Macie prawo złożyć zeznanie, albo odmówić go. W waszym przypadku odmowa równałaby się zdezawuowaniu deklaracji, w której dwa dni temu wyraziliście gotowość zeznania; śledztwo by się przez to automatycznie skończyło. W tym przypadku mam rozkaz przekazania waszej sprawy odpowiednim władzom, które wydadzą wyrok w trybie administracyjnym.

Rubaszow szybko przemyślał sytuację. Wyraźnie coś się z Iwanowem stało. Albo go nagle wysłali na urlop, albo musiał się podać do dymisji, albo go aresztowano. Może dlatego, że przypomniano sobie jego dawną przyjaźń z Rubaszowem; może dlatego, że był wyższy umysłowo i zbyt dowcipny, a jego lojalność wobec Nr 1 opierała się na przesłankach logicznych, a nie na ślepej wierze. Był zbyt inteligentny; należał do starej szkoły: nowa szkoła to Gletkin i jego metody pracy... Odejdź w pokoju, Iwanow.

Rubaszow nie miał czasu na współczucie; musiał myśleć szybko, a światło mu w tym przeszkadzało. Zdjął binokle i zmrużył powieki; wiedział, że bez szkieł wygląda nago i bezbrinnie i że pozbawione wyrazu oczy Gletkina notują każde drgnienie jego twarzy. Jeśli się teraz nie odezwie, będzie stracony; nie ma już możliwości cofnięcia się. Gletkin jest istotą odpychającą, ale to przedstawiciel nowej generacji; starzy muszą się z nią ułożyć albo zostaną stratowani; trzeciej możliwości nie ma. Rubaszow poczuł się nagle stary; nigdy dotąd nie zaznał tego uczucia. Nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, że ma już pięćdziesiątkę. Nałożył binokle z powrotem i usiłował spojrzeć Gletkinowi w oczy, ale jaskrawe światło przyprawiało go o łzawienie; musiał więc znowu zdjąć szkła.

— Jestem gotów złożyć oświadczenie — powiedział, usiłując zapanować nad irytacją brzmącą w jego głosie. — Pod warunkiem jednak, że zaprzestaniecie tych sztuczek. Zgaście to oślepiające światło i zachowajcie te sposoby na oszustów i kontrrewolucjonistów.

— W waszym położeniu nie możecie dyktować warunków — odparł spokojnie Gletkin. — Nie mogę dla was zmieniać oświetlenia w moim pokoju. Widocznie nie zdajecie sobie sprawy z waszej sytuacji, a zwłaszcza z tego, że właśnie jesteście oskarżeni o działalność kontrrewolucyjną i że w ciągu kilku ostatnich lat przyznaliście się do niej w dwu publicznych deklaracjach. Jeśli myślicie, że tym razem uda wam się wykręcić równie tanim kosztem, to się mylicie.

— Ty świnió — myślał Rubaszow. — Ty obrzydliwa, umundurowana świnió. Zaczerwienił się. Czuł, że się czerwieni i zdawał sobie sprawę z tego, że Gletkin to widzi. Ile też lat może mieć taki Gletkin? Trzydzieści sześć albo siedem, co najwyżej; musiał brać udział w wojnie domowej jako wyrostek i oglądać wybuch Rewolucji jako dziecko. To jest pokolenie, które zaczęło myśleć po potopie. Pokolenie bez tradycji, bez wspomnień, które by je wiązały ze starym, zaginionym światem. Pokolenie, które się urodziło bez pępowiny... A jednak słuszność jest po jego stronie. Trzeba zerwać pępwinę, wyrzec się ostatniej więzi, która nas łączy z próżnymi pojęciami o honorze i z obłudną przyzwoitością starego świata. Honor, to służyć bez próżności, bez oszczędzania siebie samego, aż do ostatecznej konsekwencji.

Złość Rubaszowa powoli mijała. Zatrzymał binokle w ręce i zwrócił twarz w stronę Gletkina. Zmuszony do zamknięcia oczu, czuł się jeszcze bardziej nagi, ale już go to nie obchodziło. Za zamkniętymi powiekami żarzyło się czerwone światło. Nigdy jeszcze nie czuł się tak straszliwie samotny.

— Zrobię wszystko, co może służyć Partii — powiedział. Głos jego już nie był zachrypnięty; oczy trzymał zamknięte. — Proszę o odczytanie szczegółowego oskarżenia. Dotąd tego nie zrobiono.

Słyszał raczej, aniżeli widział zmrużonymi oczami, jak przez sztywną postać Gletkina przebiegł prąd. Na poręczach zaszeleściły mankiety, odetchnął głębiej, jakby na chwilę całe jego ciało się odprężyło. Rubaszow domyślił się, że jest to chwila największego triumfu w jego życiu. Osadzić w miejscu takiego Rubaszowa musiało oznaczać początek wielkiej kariery; a jeszcze

chwilę temu wszystko dla Gletkina wisiało na włosku — i przed oczami jako ostrzeżenie majaczył los Iwanowa.

Rubaszow zrozumiał nagle, że jego władza nad Gletkinem dorównuje władzy Gletkina nad nim samym. — Trzymam cię za gardło, chłopaczku — myślał z ironicznym uśmiechem. — Trzymamy się obaj za gardło i jeśli ja wyskoczę w biegu, pociągnę ciebie za sobą. — Przez chwilę bawił się tą myślą, podczas gdy Gletkin, znowu sztywny i precyzyjny, szukał w aktach; odrzucił jednak tę pokusę i powoli zamknął bolące oczy. Trzeba wypalić resztki próżności — czymże jest samobójstwo, jeśli nie odwróconą formą próżności? Taki Gletkin myśli oczywiście, że to jego sztuczki a nie argumenty Iwanowa skłaniają go do kapitulacji; prawdopodobnie przekonał o tym także wyższe władze i w ten sposób spowodował upadek Iwanowa.

— Świnia — myślał Rubaszow, ale tym razem już bez gniewu. — Ty konsekwentne umundurowane bydło, które myśmy stworzyli — ty barbarzyńco nowego wieku, który się teraz zaczyna. Nie rozumiesz tej sprawy, a gdybyś ją rozumiał, byłbyś dla nas bezużyteczny... — Zauważył, że światło lampy stało się jeszcze o stopień ostrzejsze — Rubaszow wiedział o tym, że istnieją instalacje umożliwiające wzmacnianie lub osłabianie siły świetlnej tych reflektorów w czasie badania. Musiał odwrócić głowę i wytrzeć łzawiące oczy. — Ty bydło — pomyślał znowu. — A jednak potrzebujemy teraz właśnie takiej generacji bydła-ków...

Gletkin zaczął czytać oskarżenie. Jego monotony głos brzmiał bardziej drażniąco niż kiedykolwiek; Rubaszow słuchał z odwróconą głową i zamkniętymi oczami. Postanowił uznać swoją „spowiedź” za czystą formalność, za absurdalną ale konieczną komedię, której zawily sens jest zrozumiały tylko dla wtajemniczonych; lecz tekst czytany przez Gletkina przekraczał w niedorzeczności jego najgorsze oczekiwania. Czy Gletkin naprawdę przez lata całe żywił tylko tę jedną myśl o rozwaleniu budowli, której fundamenty kładł razem ze starą gwardią? I czy Gletkin wierzył, że oni wszyscy, ci mężczyźni z ponumerowanymi głowami, bohaterowie jego dzieciństwa, nagle stali się ofiarami epidemii, która ich odmieniła w przekupnych łotrów i tchnęła w nich tylko jedno życzenie: zniszczenia Rewolucji? I to w dodatku sposobami, które, zdawało się, ci wielcy taktycy polityczni zapożyczyli z jakiegoś taniego romansu kryminalnego?

Gletkin czytał monotannie, bez akcentów, bezbarwnym, martwym głosem ludzi, którzy nauczyli się alfabetu dopiero w późnym wieku, już jako dorośli ludzie. Czytał właśnie o rzeko-

mych pertraktacjach z przedstawicielem obcego państwa, które, jak utrzymywano, Rubaszow rozpoczął w czasie swego pobytu w B., z myślą o przywróceniu siłą starego reżymu. Nazwisko zagranicznego dyplomaty było wymienione, podobnie jak czas i miejsce ich spotkania. Rubaszow zaczął teraz słuchać uważniej. W pamięci błysnęła mu nieważna, błaha scena, którą wtedy natchmiasz zapomniał i o której nigdy więcej nie myślał. Szybko obliczył przybliżoną datę; zgadzało się chyba. A więc to jest ten powrót, na którym mam wisieć? Rubaszow uśmiechnął się i wytarł zażawione oczy chustką do nosa.

Gletkin czytał dalej, sztywno, ze śmiertelną jednostajnością. Czy rzeczywiście wierzy w to co czyta? Czy nie rozumie groteskowej absurdalności tekstu? Teraz wszedł w okres, w którym Rubaszow stał na czele trustu aluminiowego. Odczytywał statystyki, które wykazywały potworną dezorganizację tej zbyt pośpiesznie rozwiniętej gałęzi przemysłu; ilość robotników, którzy padli ofiarą wypadków, całe serie samolotów, które się rozbiły na skutek użycia złego materiału. Wszystko to było następstwem jego, Rubaszowa, diabolicznego sabotażu. Słowo „diaboliczny” rzeczywiście powtarzało się w tekście kilkakrotnie, wśród terminów technicznych i kolumn cyfr. Przez parę sekund Rubaszow skłaniał się do hipotezy, że Gletkin zwariował; ta mieszanina logiki i niedorzeczności przypominała konsekwentny obłęd schizofreników. Ale oskarżenie nie jest dziełem Gletkina; on je tylko odczytuje — i albo naprawdę w nie wierzy, albo w każdym razie uznaje je za wiarygodne...

Rubaszow odwrócił głowę do stenografki, siedzącej w mrocznym kącie. Była mała, drobna i nosiła okulary. Spokojnie ostrzyła ołówek i ani razu nie odwróciła się w jego stronę. Najwyraźniej ona także uważała te monstualne rzeczy, które Gletkin odczytywał, za zupełnie przekonujące. Była jeszcze młoda, miała może dwadzieścia pięć czy sześć lat; i ona dorosła już po potopie. Czym dla tego pokolenia nowoczesnych neandertalczyków było nazwisko Rubaszowa? Oto siedział przed oślepiającym światłem reflektora, nie mógł otworzyć łzawiących oczu, a oni czytali bezbarwnym głosem i patrzyli na niego oczami bez wyrazu, obojętni, jak gdyby był obiektem leżącym na stole operacyjnym.

Gletkin doszedł do ostatniego paragrafu oskarżenia. Zawierał on punkt szczytowy: projekt zamachu na życie Nr 1. Pojawił się znowu tajemniczy X, o którym Iwanow wspominał w czasie pierwszego badania. Okazało się, że jest to wicedyrektor restauracji, z której przynoszono zimny obiad dla Nr 1 w tych dniach,

kiedy bywał bardzo zajęty. Ta zimna przekąska była jedną z oznak spartańskiego trybu życia Nr 1, którą propaganda jak najumiejtniej wykorzystywała; i właśnie za pomocą owej przyślowiowej zimnej przekąski X, podmówiony przez Rubaszowa, miał spowodować przedwczesną śmierć Nr 1.

Rubaszow uśmiechnął się sam do siebie z zamkniętymi oczami; kiedy je otworzył, Gletkin przerwał czytanie i przyglądał się Rubaszowowi. Po kilku sekundach milczenia zwykłym, spokojnym głosem powiedział, nie tyle w formie pytania, ile raczej stwierdzenia faktu:

— Słyszeliście akt oskarżenia i przyznajecie się do winy.

Rubaszow spróbował spojrzeć mu w twarz. Nie był jednak w stanie i znowu musiał zamknąć oczy. Miał kąśliwą odpowiedź na końcu języka; zamiast tego powiedział tak cicho, że chuda sekretarka musiała wyciągnąć szyję, by usłyszeć:

— Przyznaję się, że nie rozumiałem przymusu dziejowego, stojącego za polityką rządu, i dlatego zajmowałem stanowisko opozycyjne. Przyznaję, że kierowałem się pobudkami sentymentalnymi i że przez to popadłem w sprzeczność z historyczną koniecznością. Dawałem posłuch skargom ofiar i przez to stałem się głuchy na argumenty, które uzasadniały konieczność ich poświęcenia. Przyznaję, że postawiłem zagadnienie winy i niewiny przed zagadnieniem pożyteczności i szkodliwości. Wreszcie przyznaję, że myśl o człowieku postawiłem ponad myślą o ludzkości...

Rubaszow przerwał i jeszcze raz spróbował otworzyć oczy. Odwracając głowę od światła, spojrział przez zmrużone powieki w stronę sekretarki. Skończyła właśnie stenografowanie tego, co powiedział; zdawało mu się, że spozstrzega na jej śpiczastym profilu ironiczny uśmiech.

— Zdaję sobie sprawę z tego — ciągnął Rubaszow dalej — że gdyby mój błąd przybrał postać rzeczywistą, stałby się śmiertelnym niebezpieczeństwem dla Rewolucji. W punktach zwrotnych historii każda opozycja ma w sobie zarodek rozsadzający Partię, a zatem zarodek wojny domowej. Humanitarna słabość i demokracja liberalna są dla Rewolucji samobójstwem, jeśli masy są jeszcze niedojrzałe. A jednak moja opozycyjna postawa powodowała się pragnieniem stosowania właśnie tych zasad — tak na oko pożądanym, w rzeczywistości tak śmiertelnie niebezpiecznym. Pragnieniem liberalnej reformy ustroju dyktatury, szerszego zastosowania swobód demokratycznych, zniesienia terroru i rozluźnienia surowej organizacji partyjnej. Przyznaję, że te żądania,

w chwili obecnej, są z punktu widzenia obiektywnego szkodliwe i stąd w charakterze swoim kontrrewolucyjne...

Znów przerwał, bo w gardle mu zaschło i głos stał się matowy. Słyszał w ciszy skrobanie ołówka sekretarki; podniósł trochę głowę i mówił dalej z zamkniętymi oczami:

— W tym sensie, jedynie w takim sensie można mnie nazwać kontrrewolucjonistą. Nie mam zaś nic wspólnego z absurdalnymi sprawami kryminalnymi, przytoczonymi w oskarżeniu.

— Czyście skończyli? — zapytał Gletkin.

Głos jego brzmiał tak brutalnie, że Rubaszow spojrzął na niego ze zdumieniem. Jasno oświetlona postać Gletkina tkwiła za biurkiem w zwykłej, nienagannej postawie. Rubaszow dawno już szukał prostej formuły na Gletkina; znalazł nareszcie — „poprawna brutalność”.

— Wasze oświadczenie nie jest nowe — kontynuował Gletkin swoim oschłym, drażniącym głosem. — W obu waszych poprzednich zeznaniach, wpraw dwa lata temu, potem dwanaście miesięcy temu, przyznaliście się już publicznie do tego, że wasza postawa była „z punktu widzenia obiektywnego kontrrewolucyjna i sprzeczna z interesami ludu”. Oba razy pokornie przepraszaście Partię i przyrzekaliście lojalność wobec polityki przywódców. Teraz myślicie, że uda wam się ta sama gierka po raz trzeci. Oświadczenie, które dopiero co złożyliście, jest czystym mydleniem oczu. Przyznajecie się do „stanowiska opozycyjnego”, a wypieracie się czynów, które są jego logicznym wynikiem. Już wam powiedziałem, że tym razem tak łatwo się nie wykręcicie.

Gletkin przerwał równie niespodzianie, jak zaczął. W ciszy, która nastąpiła, Rubaszow słyszał ciche syczenie prądu w lampie stojącej za biurkiem. Jednocześnie światło jeszcze się o stopień wzmoгло.

— Wyznania, które wtedy składałem — powiedział Rubaszow cicho — miały cel taktyczny. Wicie przecież, że cały szereg polityków z opozycji musiało przywilej pozostania w Partii opłacić podobnymi zeznaniami. Tym razem jednak chodzi mi o coś innego...

— To znaczy, że tym razem mówicie prawdę? — zapytał Gletkin. Postawił to pytanie szybko, a w głosie jego nie było cienia ironii.

— Tak — odpowiedział spokojnie Rubaszow.

— A przedtem kłamaliście?

— Jeśli tak chcecie — rzekł Rubaszow.

— Aby ocalić waszą głowę?

- Aby móc dalej pracować.
- Bez głowy nie można pracować. By uratować głowę więc?
- Niech będzie.

W krótkich przerwach między pytaniami, rzucanymi przez Gletkina a własnymi odpowiedziami Rubaszow słyszał tylko skrzypienie ołówka sekretarki i syczenie lampy. Lampa wylewała kaskady białego światła i promieniowała równomiernym żarem, który zmuszał Rubaszowa do ocierania potu z czoła. Usiłował nie zamykać bolących oczu, ale odstępy czasu, po których je otwierał, stawały się coraz dłuższe i dłuższe; czuł rosnącą senność i kiedy Gletkin po ostatniej serii szybkich pytań dopuścił kilka sekund ciszy, Rubaszow z lekkim zdziwieniem zauważył, że jego broda powoli opada na pierś. Kiedy następne pytanie Gletkina poderwało go na nowo, zdawało mu się, że spał niezmiernie długo.

— Powtarzam — odezwał się głos Gletkina. — Wasze dawniejsze wyznania skruczy miały na celu oszukanie Partii co do waszych prawdziwych przekonań i uratowanie waszej głowy.

— Przyznałem się już do tego — powiedział Rubaszow.

— Publiczne wyparcie się waszej sekretarki Arłowej miało także ten cel?

Rubaszow przytaknął milcząco. Ucisk w jamach ocznych zaczął promieniować na wszystkie nerwy w prawej połowie twarzy. Zauważył, że ząb zaczął na nowo pulsować.

— Wiecie, że obywatelka Arłowa powoływała się wciąż na was, jako na głównego świadka obrony?

— Powiedziano mi to — powiedział Rubaszow. Pulsowanie zęba się wzmogło.

— Bez wątpienia wiecie także, że wyznanie, jakieście wtedy złożyli, a które dopiero co nazwaliście kłamstwem, zadecydowało ostatecznie o wyroku śmierci na Arłową?

— Poinformowano mnie o tym.

Rubaszow miał wrażenie, że prawa strona jego twarzy cała ściągnęła się w skurczu. Głowa stawała się coraz bardziej zamącona i ciężka; z trudem wstrzymywał się, by nie opadła na pierś całkowicie. Głos Gletkina wwiercał mu się w uszy:

— Jest zatem całkiem możliwe, że obywatelka Arłowa była niewinna?

— Możliwe — rzekł Rubaszow z jakąś resztką ironii, którą poczuł w ustach, jak smak krwi i żółci.

— ... I że została stracona na skutek waszego kłamliwego zeznania, które miało uratować waszą głowę?

— Mniej więcej — powiedział Rubaszow. — Ty łotrze —

myślał z bezsilną wciekłością. — To co mówisz jest oczywiście nagą prawdą. Ciekawe, kto z nas dwu jest większym łotrem. Ale on mnie trzyma za gardło, a ja nie mam sposobu się bronić, bo mnie nie wolno wyskoczyć z biegu. Gdyby tylko pozwolił mi spać. Jeśli mnie będzie męczył dalej, odwołam wszystko i odmówię jakiegokolwiek zeznania — wtedy mnie wykończą, ale jego także.

— ...I po tym wszystkim żądacie, żeby was traktować oględnie? — ciągnął swoje głos Gletkina z niezmienną, poprawną brutalnością. — I wciąż jeszcze wypieracie się czynów kryminalnych? Po tym wszystkim oczekujecie, że wam uwierzę?

Rubaszow zaprzestał wysiłków, by utrzymać głowę podniesioną do góry. Gletkin nie wierząc mu ma oczywiście rację. On sam zaczął się już gubić w labiryncie chytrze obliczonych kłamstw i pozorów dialektycznych, w półmroku prawdy i urojenia. Prawda ostateczna cofała się zawsze o jeden krok; widzialne jest zawsze tylko przedostatnie kłamstwo, które miało jej służyć. A do jakich patetycznych krygów i tańców Św. Wita zmuszała człowieka. W jaki sposób mogłby przekonać Gletkina, że tym razem mówi naprawdę szczerze, że dotarł do końcowej stacji? Zawsze trzeba kogoś przekonywać, przedkładać, argumentować — a naprawdę jedynym pragnieniem jest sen i zgaśnięcie świadomości...

— Nie oczekuję niczego — powiedział Rubaszow i z trudem odwrócił bolącą głowę w stronę, z której dochodził głos Gletkina — chcę tylko jeszcze raz złożyć dowód wierności Partii.

— Możecie dać tylko jeden jedyny dowód — doszedł go głos Gletkina. — Pełne wyznanie. Dość już słyszeliśmy o waszej „postawie opozycyjnej” i o waszych wzniosłych motywach. Trzeba nam pełnego, publicznego wyznania waszej kryminalnej działalności, która jest koniecznym wynikiem waszego stanowiska. Jedyne sposob, w jaki możecie się jeszcze przysłużyć Partii, to stanowiąc groźny przykład — pokazując masom na samym sobie skutki, do jakich nieuchronnie prowadzi opozycja przeciw polityce Partii.

Rubaszow przypomniał sobie zimną przekąskę Nr 1. Zapalone nerwy twarzy pulsowały z niezmnieszoną siłą, ale ból już nie był taki ostry i palący; były to teraz raczej tępe, ogłuszające uderzenia. Przypomniał sobie zimną przekąskę Nr 1 i mięśnie twarzy wykrzywiły mu się w grymas.

— Nie mogę się przyznawać do zbrodni, których nie popełniłem — powiedział stanowczo.

— Nie — zabrzmiał głos Gletkina. — Oczywiście, że nie

możecie — i po raz pierwszy Rubaszowowi zdawało się, że słyszy coś jakby kpinę w tym głosie.

Począwszy od tej chwili wspomnienia Rubaszowa o przestęchaniu były dość mgliste. Po słowach „oczywiście, że nie możecie”, które mu utkwily w pamięci z powodu osobliwego tonu w głosie Gletkina, w jego wspomnieniach następowała luka nieokreślonej długości. Później zdawało mu się, że zasnął i pamiętał nawet dziwnie przyjemny sen. Musiał trwać co najwyżej kilka sekund — był to luźny, nieokreślony w czasie ciąg jasnych krajobrazów, w których powtarzały się tak dobrze mu znane topole z posiadłości ojca i szczególny rodzaj białych obłoków, które raz widział nad nimi jako chłopiec.

Następna rzecz, którą pamiętał, to obecność trzeciej osoby w pokoju i głos Gletkina grzmiący nad nim — Gletkin wstał widać i przechylał się przez biurko:

— Proszę was o uwagę... czy poznajecie tę osobę?

Rubaszow przytaknął. Od razu poznał Zajęczą Wargę, chociaż człowiek o tym przydomku nie miał teraz nieprzemakalnego płaszcza, w który się zazwyczaj w czasie spaceru po podwórzu otulał, kuląc się z zimna. W mózgu Rubaszowa błysnął znany szereg cyfr: 5-5; 1-1; 2-5; 1-5; 1-3; 5-5... „Zajęcza Warga przesyła wam pozdrowienia”. Kiedy to Nr 402 przesłał mu tę wiadomość?

— Gdzie i kiedyście go poznali?

Rubaszow mówił z trudem; ciągle czuł w wyschniętych ustach smak goryczy:

— Widziałem go parokrotnie z mego okna, na przechadzce po podwórzu.

— Przedtem się z nim nie spotkaliście?

Człowiek zwany Zajęczą Wargą stał przy drzwiach w odległości kilku kroków za krzesłem Rubaszowa; światło reflektora oświetlało go dokładnie. Twarz jego, zwykle żółtawa, była kredowo biała, nos miał śpiczasty, rozbita górna warga z naroślą dzikiego mięsa drżała nad dziąsłem. Ręce zwiisały luźno aż do kolan; Rubaszow, odwróciwszy się teraz plecami do lampy, widział go w oświetleniu lampy jak na scenie. Nowy szereg cyfr przebiegł mu przez pamięć: „4-5; 3-5; 4-3...” — „torturowany wczoraj”. Prawie jednocześnie jakiś cień wspomnienia, którego nie był w stanie uchwycić przemknął mu przez głowę — wspomnienia o tym, że gdzieś spotkał żyjący pierwowzór tej ludzkiej ruiny, na długo przedtem, zanim wszedł do celi nr 404.

— Nie pamiętam dokładnie — odpowiedział ociągająco na

zapytanie Gletkina. — Gdy go teraz widzę z bliska, zdaje mi się, że go już gdzieś spotkałem.

Zanim jeszcze skończył zdanie, zdał sobie sprawę, że lepiej było tego nie powiedzieć. Pragnął usilnie kilku minut spokoju, by móc się wziąć w garść. Sposób w jaki Gletkin rzucał pytania szybkim, nieprzerwanym ciągiem, przypominał mu obraz dra pieźnika, który uderza dziobem w ofiarę.

— Kiedy spotkaliście tego człowieka po raz ostatni? Niezawodność waszej pamięci była kiedyś w Partii przysłowiowa.

Rubaszow milczał. Wysilał pamięć ale w żaden sposób nie mógł umiejscowić zjawy z drżącymi ustami, stojącej w jaskrawym świetle. Zajęcza Wargę się nie ruszała. Zwilżył językiem dzikie mięso na górnej wardze; wzrok jego przenosił się z Rubaszowa na Gletkina i z powrotem.

Sekretarka przestała notować; słychać było tylko równe sy czenie lampy i chrzęst mankietów Gletkina; pochylił się w przód i oparł łokcie na poręczach krzesła, zadając następne pytanie:

— Odmawiacie odpowiedzi?

— Nie mogę sobie przypomnieć — powiedział Rubaszow.

— Dobrze — rzekł Gletkin. Wychylił się jeszcze bardziej w przód i zwrócił w stronę Zajęczej Wargi jakby całym ciężarem swego ciała:

— Czy zechcecie wesprzeć trochę pamięć obywatela Rubaszowa? Gdzieście się ostatni raz z nim spotkali?

Twarz Zajęczej Wargi stała się, jeśli to w ogóle było możliwe, jeszcze bielsza. Jego oczy zatrzymały się przez chwilę na sekretarce, której obecność widać dopiero teraz zauważył, ale natychmiast znowu pobiegly dalej, jak gdyby w ucieczce i poszukiwaniu miejsca spoczynku. Znowu zwilżył wargi językiem i powiedział szybko, jednym tchem:

— Obywatel Rubaszow namawiał mnie do zgładzenia przywódcy Partii za pomocą trucizny.

W pierwszej chwili Rubaszow był tylko zdumiony głębokim, melodyjnym głosem, który zabrzmiał nieoczekiwanie z tej ludzkiej ruiny. Ten głos, zdawało się, był jedyną rzeczą, jaka ocalała; odbijał dziwnym kontrastem od całej postaci. Właściwy sens tego, co zostało powiedziane, Rubaszow pochwycił dopiero parę sekund później. Od momentu pojawienia się Zajęczej Wargi oczekiwał czegoś w tym rodzaju i przeczuwał niebezpieczeństwo; ale w tej chwili uderzyła go przed wszystkim innym groteskowość oskarżenia. W sekundę później usłyszał znów Gletkina — tym razem za swoimi plecami, bo i on sam był zwrócony w stronę Zajęczej Wargi. Głos Gletkina brzmiał gniewnie:

— Jeszcze was o to nie pytałem. Pytałem, kiedy ostatni raz spotkaliście obywatela Rubaszowa.

— Złe — pomyślał Rubaszow. — Nie powinien był zwracać uwagi na to, że to fałszywa odpowiedź. Nie byłbym tego zauważył. Zdawało mu się teraz, że ma zupełnie jasną głowę, że jest w stanie febrycznej trzeźwości. Szukał jakiegoś porównania. „Ten świadek przypomina katarynkę”, przemknęło mu przez myśl; „katarynkę, która właśnie zagrała fałszywą melodię”. Następną odpowiedź Zajęcej Wargi dźwięczała jeszcze bardziej melodyjnie:

— Spotkałem obywatela Rubaszowa po przyjęciu w Misji Handlowej w B. Tam właśnie namawiał mnie do spisku terrorystycznego przeciw życiu przywódcy Partii.

Kiedy mówił, jego wzrok, przypominający spojrzenie ściganego zwierzęcia, zahaczył o Rubaszowa i zatrzymał się na nim. Rubaszow nałożył binokle i odparował to spojrzenie ostrą ciekawością. Ale w oczach młodego człowieka nie dojrzał prośby o przebaczenie, raczej braterską ufność i niemy wyrzut bezbronnym, których się dręczy. Nie on, ale Rubaszow pierwszy odwrócił wzrok.

Za plecami rozległ się głos Gletkina, znowu pewny siebie i brutalny:

— Czy pamiętacie datę tego spotkania?

— Pamiętam ją dokładnie — odpowiedział Zajęcza Warg nienaturalnie słodkim głosem. — Było to po przyjęciu w dwudziestolecie Rewolucji.

Jego wzrok wciąż bezbrinnie spoczywał na oczach Rubaszowa, jakby w nich była ostatnia, rozpaczliwa nadzieja ocalenia. W głowie Rubaszowa błysnęło odległe wspomnienie, w pierw mgliście, potem jaśniej. Teraz wreszcie zrozumiał, kim jest Zajęcza Warg. Ale odkrycie to nie wywołało w nim prawie żadnego innego uczucia poza bolesnym zdumieniem. Odwrócił głowę w stronę Gletkina i powiedział spokojnie, mrużąc oczy w świetle lampy:

— Data się zgadza. Nie poznałem od razu syna profesora Kieffera, bo widziałem go tylko raz — zanim przeszedł przez wasze ręce. Mogę wam powinszować tego dzieła.

— Przyznajecie więc, że go znacie i że spotkaliście go w dzień i przy sposobności, jakie wyżej podano?

— Dopiero co to powiedziałem — odpowiedział Rubaszow ze znużeniem w głosie. Febryczna trzeźwość minęła i tępe uderzenia w głowie wróciły na nowo. — Gdybyście mi od razu byli powiedzieli, że to syn mego nieszczęsnego przyjaciela Kieffera, byłbym go był prędzej zidentyfikował.

— W akcie oskarżenia jest wymienione jego pełne nazwisko.
— Znałem profesora Kieffera, jak wszyscy, tylko z pseudonimu literackiego.

— To szczegół nieważny — powiedział Gletkin. Znowu wychylił się całym ciałem w stronę Zajęczej Wargi, jakby go chciał przygnieść swoim ciężarem poprzez przestrzeń, która ich dzieliła. — Mówcie dalej. Powiedzcie nam, jak doszło do tego spotkania.

— Znowu źle — pomyślał Rubaszow mimo senności. — To na pewno nie jest nieważny szczegół. Gdybym naprawdę namawiał tego człowieka do idiotycznego spisku, przypomniabym go sobie przy pierwszej wzmiance, z nazwiskiem czy bez nazwiska. — Był jednak zbyt zmęczony, by się wdawać w tak długie tłumaczenie; zresztą musiałby się znowu odwrócić twarzą do lampy. W tej chwili mógł przynajmniej siedzieć odwrócony plecami do Gletkina.

W czasie dyskusji na temat jego tożsamości Zajęcza Warga stał w białym świetle z opuszczoną głową i drżącą górną wargą. Rubaszow myślał o swoim starym przyjacielu i towarzyszu Kiefferze, wielkim historyku Rewolucji. Na słynnej fotografii przy stole kongresowym, gdzie wszyscy mieli brody i krążki z numerami, jak glorie, dookoła głowy, siedział po lewej stronie przywódcy. Był jego współpracownikiem w dziedzinie historii, a także jego partnerem w szachach i może jedynym osobistym przyjacielem. Po śmierci „Starego”, Kiefferowi poruczono napisanie jego biografii, jako temu, który go znał dokładniej, niż ktokolwiek inny. Pracował nad nią przeszło dziesięć lat, ale nie było jej przeznaczone wyjść kiedykolwiek na światło. W ciągu tych dziesięciu lat oficjalna wersja wydarzeń podczas Rewolucji dziwnie się zmieniała; trzeba było pisać na nowo role głównych aktorów, trzeba było zmienić skalę wartości; a stary Kieffer był uparty i zupełnie nie rozumiał wewnętrznej dialektyki nowego okresu pod panowaniem Nr 1...

— Mój ojciec i ja — kontynuował Zajęcza Warga swoim nienaturalnie melodyjnym głosem — wstąpiliśmy do B., wracając z Międzynarodowego Kongresu Etnograficznego, bo ojciec mój chciał odwiedzić swego przyjaciela, obywatela Rubaszowa...

Rubaszow przysłuchiwał się z dziwną mieszaniną ciekawości i smutku. Jak dotąd, historia się zgadzała; stary Kieffer przyjechał go odwiedzić, wiedziony potrzebą wygadania się i zasięgnięcia rady. Wieczór, który spędzili razem, był prawdopodobnie ostatnią przyjemną chwilą w życiu starego Kieffera.

— Mogliśmy się zatrzymać tylko jeden dzień — mówił dalej

Zajęcza Warga; przywarł wzrokiem do twarzy Rubaszowa, jakby tam szukał siły i zachęty. — Był to właśnie dzień święta Rewolucji; stąd pamiętam tę datę tak dokładnie. Przez cały dzień obywatel Rubaszow był zajęty przyjęciem i widział mego ojca tylko kilka minut. Ale wieczorem, kiedy skończyło się przyjęcie w poselstwie, zaprosił mego ojca do swego mieszkania i ojciec pozwolił mi pójść z sobą. Obywatel Rubaszow był dość zmęczony i włożył szlafrok, ale przywitał nas bardzo serdecznie. Podał wino, koniak i ciastka i ucałowawszy ojca, przywitał go słowami: „Uczta pożegnalna ostatnich Mohikanów...”.

W tym miejscu głos Gletkina przerwał zza pleców Rubaszowa:

— Czy od razu zdaliście sobie sprawę, że obywatel Rubaszow chciał was upić po to, by was uczynić bardziej podatnym dla jego planów?

Rubaszowowi zdawało się, że po spustoszonej twarzy Zajęczej Wargi przemknął cień uśmiechu: po raz pierwszy zauważył słabe podobieństwo z młodzieńcem, którego widział owego wieczoru. Ale wyraz ten znikł natychmiast; Zajęcza Warga zatrzepotał powiekami i zwilżył rozciętą wargę:

— Wydawał mi się trochę podejrzanym, ale nie od razu przejrzałem zasadzkę.

— Biedna świnió — pomyślał Rubaszow — co z ciebie zrobili...

— Dalej — grzmiał głos Gletkina.

Parę chwil trwało, zanim po tej przerwie Zajęcza Warga zebrał się znowu w garść. W czasie tej przerwy słychać było, jak chuda stenotypistka ostrzy ołówek.

— Rubaszow i ojciec wymieniali przez dłuższą chwilę wspomnienia. Nie widzieli się od szeregu lat. Rozmawiali o czasach przed Rewolucją, o ludziach starszej generacji, których znałem tylko ze słyszenia i o wojnie domowej. Często mówili aluzjami, których nie chwyciłem i śmieli się ze wspomnień, których nie znałem.

— Czy pito dużo? — zapytał Gletkin.

Zajęcza Warga zatrzepotał bezradnie powiekami w stronę światła. Rubaszow zauważył że mówiąc chwiał się lekko, jakby z trudem tylko trzymał się na nogach.

— Zdaje się, że dość dużo — ciągnął dalej. — Nigdy w ciągu ostatnich lat nie widziałem mego ojca w tak dobrym humorze.

— Było to — zabrzmiał głos Gletkina — trzy miesiące przed wykryciem kontrrewolucyjnej działalności waszego ojca. Po dalszych trzech miesiącach spowodowało ono jego egzekucję.

Zajęcza Warga oblizał usta, wpatrywał się tępo w światło i milczał. W nagłym odruchu Rubaszow odwrócił się gwałtownie do Gletkina, ale oślepiiony światłem przymknął oczy i powoli odwrócił się z powrotem, wycierając binokle o rękaw. Ołówek sekretarki zgrzytnął na papierze i zatrzymał się. Potem rozległ się znów głos Gletkina:

— Czy w tym czasie byliście już wtajemniczeni w kontrrewolucyjną działalność waszego ojca?

Zajęcza Warga zwilżył usta.

— Tak — powiedział.

— I wiedzieliście, że Rubaszow podzielał poglądy waszego ojca?

— Tak.

— Streście główne ustępy rozmowy. Opuśćcie wszystko co nieistotne.

Zajęcza Warga splótł teraz ręce za plecami i oparł plecy o ścianę.

— Po pewnym czasie mój ojciec i Rubaszow przeszli w rozmowie na czasy obecne. Mówili lekceważąco o stosunkach w Partii i o metodach stosowanych przez przywództwo. Rubaszow i ojciec mówili o przywódcy wyłącznie jako o „Nr 1”. Rubaszow powiedział, że odkąd Nr 1 usiadł swoim szerokim zadem na Partii, nie ma w niej powietrza do oddychania. Dlatego woli pracę za granicą.

Gletkin zwrócił się do Rubaszowa:

— Było to tuż przed waszą pierwszą deklaracją lojalności wobec przywódcy Partii?

Rubaszow zwrócił się połową ciała w stronę światła. — Chyba tak — stwierdził.

— Czy zamiar Rubaszowa, aby złożyć taką deklarację był dyskutowany w czasie tego wieczoru? — zapytał Gletkin Zajęczą Wargę.

— Tak. Mój ojciec robił Rubaszowowi wyrzuty z tego powodu i mówił, że się na nim zawiodł. Rubaszow śmiał się i nazwał ojca starym osłem i Don Quijotem. Mówił, że najważniejszą rzeczą jest to, by wytrzymać jak najdłużej i doczekać się decydującej godziny.

— Co miał na myśli, mówiąc: „doczekać się decydującej godziny”?

Znowu wzrok młodzieńca przylgnał do twarzy Rubaszowa z wyrazem zagubienia i prawie czułości. Rubaszow miał absurdalne wrażenie, że za chwilę tamten spod ściany podejdzie do niego i pocałuje go w czoło. Uśmiechnął się do tego obrazu,

gdy do jego uszu doszła odpowiedź powiedziana dźwięcznym głosem:

— Godzinę, w której przywódca Partii zostanie usunięty ze swego stanowiska.

Gletkin, którego uwagi nie uszedł uśmiech Rubaszowa, powiedział oschle:

— Te wspomnienia widocznie was bawią?

— Może — powiedział Rubaszow i znów zamknął oczy.

Gletkin wsunął mankiet w rękaw i wrócił do zadawania pytań Zajęcej Wardze:

— Tak więc Rubaszow mówił o godzinie, w której przywódca Partii zostanie usunięty ze swego stanowiska. Jak się to miało odbyć?

— Ojciec mój twierdził, że któregoś dnia dzbanek się przeleje i Partia go usunie, albo zmusi go, aby się podał do dymisji; i że zadaniem opozycji jest głoszenie tej tezy.

— A Rubaszow?

— Rubaszow śmiał się z ojca i powtórzył, że jest osłem i Don Quijotem. Potem oświadczył, że Nr 1 nie jest zjawiskiem, tylko wcieleniem pewnej cechy ogólnoludzkiej — mianowicie wiary w absolutną nieomylność własnego zdania. Z tej wiary płynie jego siła i całkowity brak skrupułów. I dlatego nigdy z własnej woli nie poda się on do dymisji i tylko siłą można go usunąć. Tak samo nie należy się niczego spodziewać od Partii, ponieważ Nr 1 trzyma wszystkie nici w ręku, a z aparatu biurokratycznego Partii zrobił swego współnika, który z nim przetrwa lub padnie, i który dokładnie sobie z tego zdaje sprawę.

Mimo senności uderzyła Rubaszowa ścisłość, z jaką młodzieniec zapamiętał jego słowa. Sam nie pamiętał już szczegółów tej rozmowy, ale nie wątpił, że Zajęcza Wargę powtarzał ją wiernie. Popatrzał na młodego Kieffera przez binokle z na nowo rozbudzonym zainteresowaniem.

Zagrzmiał głos Gletkina:

— Rubaszow podkreślał więc konieczność użycia siły przeciwko Nr 1 — to znaczy, przeciwko Przywódcy Partii.

Zajęcza Wargę przytaknęła.

— Jego wywody, wsparte sporą dozą alkoholu, zrobiły na was silne wrażenie?

Młody Kieffer nie od razu odpowiedział. Wreszcie odezwał się odrobinę ciszej, niż dotąd:

— Właściwie nic nie piłem. Ale wszystko co powiedział wtedy, wywarło na mnie głębokie wrażenie.

Rubaszow spuścił głowę. Naszło go podejrzenie, które odczuł

niemal jak ból fizyczny i które kazało mu zapomnieć o wszystkim innym. Czy to było możliwe, że ten nieszczesny chłopak naprawdę wyciągnął te wnioski z jego, Rubaszowa, wątku myślenia — że oto stał przed nim w świetle reflektora jako wcielona konsekwencja jego własnej logiki?

Gletkin nie pozwolił mu doprowadzić tej myśli do końca. Znowu rozległ się jego drażniący głos:

— ... i w ślad za teoretycznym przygotowaniem przyszła bezpośrednia namowa do czynu?

Zajęcza Warga milczał. Trzepotał powiekami w świetle.

Gletkin czekał chwilę na odpowiedź. Rubaszow także podniósł bezwiednie głowę. Minęło kilka sekund, w czasie których słychać było tylko brzęczenie lampy; potem rozległ się znów głos Gletkina, jeszcze bardziej poprawny i bezbarwny niż zwykle:

— Czy chcecie, by wam odświeżyć pamięć?

Gletkin wypowiedział to zdanie z umyślną obojętnością, ale Zajęcza Warga zadrzał jakby go podcięto biczem. Oblizał usta, a w jego oczach pojawił się wyraz nagiego, zwierzęcego strachu. Potem znowu rozległ się jego piękny, melodyjny głos:

— Namowa nie nastąpiła tego samego wieczoru, dopiero następnego ranka, w poufnej rozmowie między obywatelem Rubaszowem i mną.

Rubaszow uśmiechnął się. Odłożenie owej zmyślonej rozmowy do następnego dnia było wyraźnie finezją reżyserii Gletkina; to, żeby stary Kieffer mógł się pogodnie przysłuchiwać, jak jego synowi polecono kogoś otruć, było, nawet dla psychologii neandertalczyków, zbyt niewiarygodne... Rubaszow zapomniał o wstrząsie, jakiego dopiero co doznał; odwrócił się do Gletkina i mrużąc oczy w świetle, zapytał:

— Zdaje mi się, że oskarżony ma prawo stawiać pytania w czasie konfrontacji?

— Macie prawo — powiedział Gletkin.

Rubaszow zwrócił się do młodzieńca. — Jeśli mnie pamięć nie myli — rzekł, przyglądając mu się przez binokle — wtedy, kiedyście mnie razem z ojcem odwiedzali, skończyliście właśnie studia uniwersyteckie?

Teraz, kiedy po raz pierwszy przemówił do niego wprost, twarz Zajęczej Wargi przybrała znowu wyraz nadziei i zaufania. Przynaknął.

— Zatem to się zgadza — powiedział Rubaszow. — Jeśli znowu dobrze pamiętam, mieliście wtedy zamiar rozpocząć pracę w Instytucie Badań Historycznych pod kierunkiem ojca? Czy zrobiliście to?

— Tak — powiedział Zajęcza Warga i dodał po chwili ociągania: — Aż do chwili aresztowania ojca.

— Rozumiem — powiedział Rubaszow. — To uniemożliwiło wam pozostanie w Instytucie i musieliście jakoś zarabiać na życie... Zatrzymał się, odwrócił do Gletkina i ciągnął dalej:

— ...co dowodzi, że w chwili mego spotkania z tym młodym człowiekiem ani on, ani ja nie mogliśmy przewidzieć, jakie będzie kiedyś jego zajęcie; namowa do morderstwa za pomocą trucizny jest więc logiczną niemożliwością.

Ołówek sekretarki zatrzymał się gwałtownie. Nie patrząc na nią, Rubaszow wiedział, że przestała notować i zwróciła śpiczastą, mysią twarz w stronę Gletkina. Zajęcza Warga także patrzył na Gletkina i zwilżał górną wargę; w oczach jego nie było widać żadnej ulgi, tylko osłupienie i strach. Chwilowe uczucie triumfu rozwiało się; Rubaszow miał dziwne wrażenie, że przeszkodził w gładkim przebiegu uroczystej ceremonii. Głos Gletkina zabrzmiał rzeczywiście o jeszcze jeden stopień chłodniej i bardziej poprawnie niż zazwyczaj:

— Czy macie jeszcze jakieś pytanie?

— To na razie wszystko — powiedział Rubaszow.

— Nikt nie twierdził, że wasze instrukcje kazały mordercy ograniczyć się wyłącznie do użycia trucizny — rzekł spokojnie Gletkin. — Daliście rozkaz zamordowania; wybór sposobu pozostawiliście wykonawcy. — Zwrócił się do Zajęczej Wargi: — Czy się zgadza?

— Tak — powiedział Zajęcza Warga i ton jego głosu zdradził jakby ulgę.

Rubaszow pamiętał, że oskarżenie mówiło wyraźnie o „namowie do morderstwa za pomocą trucizny”, ale cała sprawa stała mu się nagle obojętna. Czy młody Michał naprawdę próbował tego szaleńczego zamachu, czy też nosił się tylko z takim zamiarem, czy to całe zeznanie zostało w niego sztucznie wtłoczone, czy też tylko jego części, miało dla Rubaszowa w tej chwili tylko znaczenie czysto formalne; natomiast nie miało żadnego znaczenia dla jego winy. Istotne było, że ten obraz ludzkiej niedoli był konsekwencją jego logiki, obleczonej w ciało. Role się zmieniły; to nie Gletkin, ale on, Rubaszow, próbował zamącić jasną sprawę, bawiąc się w rozszczepianie włosa na czworo. Oskarżenie, które do tej chwili wydawało mu się aburdałne, w rzeczywistości wstawiało tylko — choć w sposób niezręczny i prostacki — brakujące ogniwa do najzupełniej logicznie wiążącego się łańcucha.

A jednak Rubaszowowi zdawało się, że w jednym punkcie go krzywdzą. Ale był zbyt wyczerpany, by wyrazić to słowami.

— Czy macie jeszcze jakieś pytanie? — zapytał Gletkin. Rubaszow potrząsnął głową.

— Możecie odejść — powiedział Gletkin do Zajęcej Wargi. Nacisnął dzwonek; wszedł umundurowany dozorca i założył młodemu Kiefferowi kajdanki na ręce. Zanim go wyprowadzono, już w drzwiach, Zajęcza Warga jeszcze raz odwrócił głowę w stronę Rubaszowa, jak to zwykle robił pod koniec przechadzki na podwórzu. Rubaszow czuł na sobie ten wzrok jak ciężar; zdjął binokle, wytarł je o rękaw i odwrócił oczy.

Kiedy Zajęcza Warga wyszedł, odczuł prawie zazdrość. Głos Gletkina wwiercał mu się w uszy, pedantyczny i brutalnie świeży:

— Czy przyznajecie teraz, że zeznanie Kieffera jest, w najważniejszych punktach, zgodne z prawdą?

Rubaszow musiał się znów odwrócić do lampy. W uszach mu szumiąło, a światło za cienką skórą powiek pałało gorąco i czerwono. Nie uszło jednak jego uwagi zdanie: „w najważniejszych punktach”. Gletkin naprawiał tym zdaniem wyrwę w oskarżeniu i stwarzał sobie możliwość zastąpienia „podmawiania do morderstwa za pomocą trucizny” na proste „podmawianie do morderstwa”.

— W najważniejszych punktach — tak — stwierdził Rubaszow.

Mankiety Gletkina zachrzęściły, i nawet stenotypistka porużyła się na krześle. Rubaszow zrozumiał, że powiedział w tej chwili zdanie decydujące i przypieczetował przyznanie się do winy. Jakże by ci neandertalczycy mogli kiedykolwiek zrozumieć, co on, Rubaszow, uważa za winę — co on, według własnych miar, nazywa prawdą?

— Czy światło wam dolega? — zapytał nagle Gletkin.

Rubaszow uśmiechnął się. Gletkin płacił gotówką. Oto umysłowość neandertalczyków. A jednak, kiedy oślepiające światło lampy o stopień zelżało, Rubaszow poczuł ulgę i nawet coś w rodzaju wdzięczności.

Mógł teraz spojrzeć Gletkinowi w twarz, choć tylko ze zmrużonymi oczami. Zauważył znowu szeroką bliznę na ogolonej głowie.

— ...z wyjątkiem jednego punktu, który jest dla mnie istotny — powiedział Rubaszow.

— Mianowicie? — powiedział Gletkin, znów sztywno i poprawnie.

— Teraz myśli oczywiście, że chodzi mi o rozmowę z chłopcem w cztery oczy, która się nigdy nie odbyła — pomyślał Rubaszow: — Oto co dla niego jest ważne: stawiać kropki nad i, i to nawet, jeśliby te kropki miały być bardziej podobne do kleksów. Zresztą ze swego punktu widzenia ma może słuszność...

— Oto punkt, który jest dla mnie istotny — powiedział głośno. — To prawda, że zgodnie z moimi przekonaniem w tym okresie mówiłem o konieczności użycia przemocy. Ale mówiąc tak, miałem na myśli działalność polityczną, a nie terror jednostkowy.

— Więc woleliście wojnę domową? — rzekł Gletkin.

— Nie. Akcję mas — odparł Rubaszow.

— Która, jak wicie, nieuchronnie prowadzi do wojny domowej. Czy o to rozróżnienie tak bardzo wam chodzi?

Rubaszow nie odpowiedział. Był to istotnie właśnie ten punkt, który jeszcze przed chwilą wydawał się tak istotny — teraz i to stało się obojętne. Jeśli opozycja mogła naprawdę zwyciężyć biurokrację partyjną i jej cały olbrzymi aparat jedynie za pomocą wojny domowej — to dlaczego ta możliwość miała być lepsza od przemycenia trucizny do zakąski Nr 1, którego usunięcie przyczyniłoby się może w szybszy i mniej krwawy sposób do obalenia reżymu? W jakim sensie mord polityczny jest mniej godny szacunku do masowego zabójstwa politycznego? Ten nieszczęsny chłopak wyraźnie źle zrozumiał jego myśl — ale czy w tym błędzie nie było więcej konsekwencji, aniżeli w jego własnym zachowaniu się w ciągu ostatnich lat?

Kto przeciwstawia się dyktaturze, musi uznać wojnę domową jako jeden ze środków do celu. Kto cofa się przed wojną domową, powinien wyrzec się opozycji i pogodzić się z dyktaturą.

Te proste zdania, które napisał na początku swojej drogi w polemice z „umiarkowanymi”, były wyrokiem na niego samego. Nie czuł się na siłach, by podtrzymać rozprawę z Gletkinem. Świadomość zupełnej klęski napełniała go swoistą ulgą; zdjęto z niego obowiązek dalszej walki i ciężar odpowiedzialności; wróciła poprzednia senność. Pulsowanie w głowie czuł już tylko jako słabe echo i przez chwilę zdawało mu się, że za biurkiem siedzi nie Gletkin, ale Nr 1 i patrzy na niego z tym samym wyrazem dziwnie ironicznego zrozumienia, z jakim go pożegnał, kiedy uścisnęli sobie ręce po ostatnim spotkaniu. Przypominał mu się napis, który przeczytał kiedyś nad bramą w

Errancis, gdzie leżą St. Just, Robespierre i ich szesnastu zgilotynowanych towarzyszy. Jest to tylko jedno słowo:

Dormir — spać.

Począwszy od tej chwili pamięć wydarzeń znów miała zatarte kontury. Prawdopodobnie zasnął po raz drugi — na kilka minut czy sekund; nie pamiętał jednak, czy tym razem śnił cokolwiek. Obudził go prawdopodobnie Gletkin, żądając aby podpisał zeznanie. Podał mu wieczne pióro, które, jak Rubaszow z lekkim uczuciem odrazy zauważył, zachowało ciepłotę kieszeni przytykającej do ciała. Stenotypistka przestała notować; w pokoju panowała zupełna cisza. Lampa także przestała syczeć i rozlewała normalne, raczej słabe światło, bo w oknie widać już było brzask.

Rubaszow podpisał.

Pozostało mu uczucie ulgi i wyzbycia się odpowiedzialności, choć nie pamiętał, jak do tego doszedł; potem, półprzytomny z senności, przeczytał protokół, w którym było przyznanie się, że namawiał młodego Kieffera do zabójstwa przywódcy Partii. Przez chwilę miał wrażenie, że cała sprawa jest groteskowym nieporozumieniem; przelotnie powstał w nim odruch, każący przekreślić podpis i podrzeć dokument; potem przypomniał sobie wszystko, wytarł binokle o rękaw i podał przez biurko papier Gletkinowi.

Następnym szczegółem, który zachował w pamięci było to, że szedł wzdłuż korytarza. Eskortował go umundurowany olbrzym, który go był prowadził do Gletkina nieskończenie dawno temu. Na pół śpiąc przeszedł obok fryzjera i schodów do podziemia; przypomniały mu się obawy w drodze na badanie; zdziwił się trochę sobie samemu i uśmiechnął blade w przestrzeń. Potem słyszał, jak drzwi celi zatrzasnęły się za nim i padł na prycę z uczuciem fizycznego błogostanu; dojrzał jeszcze szare światło poranka na szybach i dobrze znany skrawek gazety, przyczepiony do framugi okna, po czym zasnął natychmiast.

Dzień jeszcze niezupełnie nastał, kiedy drzwi celi otwarły się ponownie; spał najwyżej godzinę. Wpierw myślał, że przyniesiono śniadanie; ale na zewnątrz, zamiast starego dozorca, stał znów umundurowany olbrzym. Rubaszow zrozumiał, że musi wrócić do Gletkina i że badanie rozpocznie się na nowo.

Wytarł nad miednicą czoło i kark zimną wodą, nałożył binokle i znów rozpoczął marsz przez korytarz, mijając izbę fryzjera i schody do podziemi z lekka chwiejnymi krokami, z czego sobie już nie zdawał sprawy.

Mgła zasnuwająca pamięć Rubaszowa zagęszczała się od tej chwili. Przypominał sobie później tylko oderwane urywki rozmowy z Gletkinem, która ciągnęła się poprzez wiele dni i nocy z krótkimi tylko, jedno czy dwugodzinnymi przerwami. Nie mógł nawet dokładnie określić, ile było tych dni i nocy; musiało to trwać chyba z tydzień.

Rubaszow słyszał kiedyś o tej metodzie całkowitego fizycznego miażdżenia człowieka; zwykle w czasie takiego zabiegu zmienia się dwu lub trzech sędziów, prowadząc kolejno nieprzerwane badania krzyżowe. Różnica w metodzie Gletkina polegała na tym, że on sam nie dawał sobie chwili odetchnięcia i wymagał od siebie zupełnie tyle samo, co od Rubaszowa. W ten sposób odbierał Rubaszowowi ostatnie wsparcie psychiczne: patos męczeństwa, moralną wyższość ofiary.

Po czterdziestu ośmiu godzinach Rubaszow przestał odróżniać dzień od nocy. Kiedy po godzinie snu budził go olbrzym, trzęsąc z całej siły, nie był już w stanie powiedzieć, czy szare światło za oknem to świt czy zmierzch. Korytarz, pokój fryzjera, stopnie do podziemi i zamknięte sztabą drzwi były zawsze tak samo oświetlone mdłym światłem żarówek. Gdy w czasie przesłuchania okno zaczynało się stopniowo rozświetlać i Gletkin gasił lampę, znaczyło to, że nastął dzień. Jeśli się ściemniało i Gletkin zapalał lampę, można się było domyślić, że nastawał wieczór.

Jeśli w czasie przesłuchania Rubaszow zaczynał odczuwać głód, Gletkin kazał mu przynosić herbatę i kanapki. Rzadko kiedy jednak miał apetyt do jedzenia; to znaczy, miewał napady dzikiego głodu, ale z chwilą gdy stawiano przed nim chleb zaczynało go mdlić. Gletkin nie jadł nigdy w jego obecności, a Rubaszow, z jakichś niewytłumaczonych przyczyn, uważał za upokarzające prosić o posiłek. Wszystko co dotyczyło funkcji fizycznych było dla Rubaszowa w obecności Gletkina upokarzające, bo Gletkin nigdy nie okazywał oznak zmęczenia, nigdy nie ziewał, nigdy nie palił, wydawało się, że nie jadł i nie pił i zawsze siedział za biurkiem w niezmiennie poprawnej postawie, w tym samym sztywnym mundurze z chrzęszczącymi mankietami. Najgorszym poniżeniem było dla Rubaszowa, gdy musiał prosić o pozwolenie wyjścia za potrzebą. Gletkin kazał go prowadzić do ubikacji służbowemu dozorczy (zwykle był to ów olbrzym), który czekał na niego na zewnątrz. Raz Rubaszow zasnął za zamkniętymi drzwiami. Odtąd zawsze zostawiano drzwi uchylone.

Stan Rubaszowa w czasie przesłuchań wahał się między zupełną apatią i nienaturalnie wyostrzoną trzeźwością. Raz tylko stracił zupełnie przytomność; często był tego bliski, ale zawsze w ostatniej chwili ratowała go ambicja. Zapalał papierosa, trzepotał powiekami i badanie szło dalej.

Niekiedy zdumiewał się, że wytrzymuje to wszystko. Wiedział jednak, że opinia laików grubo nie docenia możliwości człowieka w stawianiu oporu fizycznego; że nie ma żadnego pojęcia o jego zadziwiającej elastyczności. Słyszał o przypadkach, kiedy nie dawano więźniom spać przez piętnaście do dwudziestu dni, a oni to wytrzymywali.

Po pierwszym przesłuchaniu przez Gletkina, kiedy podpisał przyznanie się do winy, wyobrażał sobie, że jest już po wszystkim. W czasie drugiego przesłuchania zrozumiał, że to ledwie początek. Oskarżenie składało się z siedmiu punktów, a on przyznał się dopiero do pierwszego. Wydawało mu się, że wypił do dna czarę upokorzenia, teraz rozumiał, że bezsilność może mieć tyle samo stopni, co siła; że klęska może być równie zawrotna jak zwycięstwo i że jej otchłań nie da się zgruntować. Krok po kroku Gletkin zmuszał go do schodzenia po stopniach drabiny.

Oczywiście Rubaszow mógł sobie wszystko uprościć. Mógł po prostu podpisać wszystko, tak jak było, albo też wszystkiemu za jednym zamachem zaprzeczyć — wtedy miałby spokój. Dziwne, skomplikowane poczucie obowiązku powstrzymywało go, aby nie ulec tej pokusie. Życie Rubaszowa było tak bez reszty wypełnione jedną myślą, że zjawisko „pokusy” znał tylko z teorii. Teraz pokusa towarzyszyła mu w ciągu owych nierozróżnianych dni i nocy, w chwiejnym przemarszu przez korytarz, w każdej chwili pod białym światłem lampy Gletkina — pokusa, na którą składało się tylko jedno jedyne słowo wyryte nad cmentarzem pokonanych: Spać.

Trudno było się jej opierać, bo była to pokusa cicha i spokojna; bez jaskrawej szminki i pozbawiona cielesności. Była niema; nie posługiwała się żadnymi argumentami. Wszystkie argumenty wytaczał Gletkin; ona powtarzała tylko słowa, które napisano na kartce fryzjera: „Umrzyj w milczeniu”.

Czasem, w chwilach apatii, które przychodziły w ślad za ostrowidzącą trzeźwością, usta Rubaszowa poruszały się, ale Gletkin nie mógł dosłyszeć słów. Wtedy chrząkał i poprawiał mankiety, a Rubaszow wycierał binokle o rękaw i kiwał głową osłupiały i senny; bo oto zidentyfikował kusiciela z owym niemym rozmówcą, choć mogło się zdawać, że go już dawno

zapomniał i choć nie miał on czego szukać właśnie w tym pokoju: — z fikcją gramatyczną...

— A więc wypieracie się rokowań w imieniu opozycji z przedstawicielami obcego państwa, rokowań zmierzających do tego, by doprowadzić do obalenia obecnego reżymu? Odrzucacie oskarżenie, że byliście gotowi opłacić pomoc bezpośrednią lub pośrednią dla waszych planów ustępstwami terytorialnymi — ściśle mówiąc poświęceniem pewnych prowincji naszego kraju?

Tak jest, Rubaszow zaprzeczał; Gletkin powtórzył mu więc dzień i okoliczności, w których odbył rozmowę z wymienionym dyplomatą — i Rubaszowowi przypomniała się znowu owa mała, nieważna scena, która przewinęła mu się przez pamięć, gdy Gletkin odczytywał oskarżenie. Śpiący i stropiony spojrzął na Gletkina i zrozumiał, że jest to beznadziejne, próbować wyjaśniania tej sceny. Odbyła się ona po jakimś śniadaniu dyplomatycznym w poselstwie B. Rubaszow siedział obok tłustego pana von Z., drugiego radcy ambasady tego samego państwa, w którym kilka miesięcy wcześniej wybito mu zęby. Prowadził wysoce interesującą rozmowę na temat pewnego rzadkiego gatunku morskich świnek, które hodowano zarówno w posiadłości pana von V., jak i ojca Rubaszowa; najprawdopodobniej w swoim czasie ojciec Rubaszowa i ojciec pana von. Z. wymienili między sobą okazowe egzemplarze tych świnek.

— Co się teraz stało z morskimi świnkami pańskiego ojca? — zapytał pan von Z.

— Zabito je i zjedzone w czasie Rewolucji — odpowiedział Rubaszow.

— Z naszych robi się teraz namiastkę tłuszczu — powiedział melancholijnie pan von Z. Nie usiłował wcale ukryć pogardy dla nowego reżymu swego kraju, który prawdopodobnie tylko przez przeoczenie zapomniał go dotąd wylać ze stanowiska.

— Jesteśmy obaj, jak przypuszczam, w bardzo podobnej sytuacji — stwierdził beztrósco i wychylił kieliszek likieru. — Obaj przeżyliśmy naszą epokę. Skończyła się hodowla morskich świnek; żyjemy w wieku plebsu.

— Niech pan nie zapomina, że jestem po stronie plebsu — odparł z uśmiechem Rubaszow.

— Nie o to mi chodziło — rzekł pan von Z. — Właściwie i ja nie mam nic przeciwko programowi naszego człowieczka z czarnym wąsikiem — gdyby tylko tak nie wrzeszczał. Ostatecznie można się dać ukrzyżować jedynie w imię własnej wiary.

Jeszcze chwilę siedzieli razem, pijąc kawę i po drugiej filiżance pan von Z. powiedział: — Gdybyście w waszym kraju

mieli znowu zrobić rewolucję i złożyć z tronu waszego Nr 1, proszę się lepiej opiekować morskimi świnkami.

— To jest bardzo nieprawdopodobne — powiedział Rubaszow, a po chwili dodał: — ... chociaż mam wrażenie, że przyjaciele pana jak gdyby liczyli się z taką możliwością?

— Zapewne — powiedział pan von Z. takim samym niewymuszonym tonem. — Po tym, co usłyszeliśmy w czasie wazszych ostatnich rozpraw sądowych, należy sądzić, że w waszym kraju dzieją się bardzo dziwne rzeczy.

— W takim razie przyjaciele pana muszą chyba także mieć jakiś pogląd co do tego, jakie kroki przedsięwzięto by z ich strony w owym wysoce nieprawdopodobnym przypadku? — zapytał Rubaszow.

Na co pan von Z. odpowiedział bardzo precyzyjnie, prawie tak, jak gdyby oczekiwał tego pytania: — Siedzieliby cicho. Ale za pewną cenę.

Stali teraz koło stolika, trzymając filiżanki w rękach. — A czy cenę także już ustalono? — zapytał Rubaszow, czując, że jego swobodny ton brzmi trochę sztucznie.

— Oczywiście — odpowiedział pan von Z. i wymienił pewną prowincję znaną z uprawy pszenicy i zamieszkałą przez mniejszość narodową. Po czym się pożegnali...

Rubaszow nie myślał o tej scenie przez lata — albo przynajmniej nigdy jej świadomie nie wywoływał z pamięci. Czcza gadanina przy kawie i likierach — jakże tu wytłumaczyć jej zupełną nieważność? Rubaszow patrzył sennym wzrokiem na Gletkina, siedzącego naprzeciwko z kamiennym, nieruchomym wyrazem twarzy, jak zawsze. Nie, niepodobna wszczynać z nim rozmowy o morskich świnkach. Taki Gletkin nie przecież o nich nie wie. Nigdy nie pił kawy z panami von Z. Przypomniał sobie, jak powoli Gletkin czytał, z jak fałszywym często akcentem. Pochodzi z proletariatu i nauczył się czytać i pisać już jako dorosły człowiek. Nigdy nie zrozumie, że rozmowa, zaczynająca się od morskich świnek, może się Bóg wie na czym skończyć.

— Przyznajecie więc, że taka rozmowa się odbyła — rzekł Gletkin.

— Nie miała najmniejszego znaczenia — odpowiedział Rubaszow zmęczonym głosem i pojął, że Gletkin zepchnął go znowu o jeden stopień niżej.

— Tak samo — powiedział Gletkin — jak wasze czysto teoretyczne wywody wobec młodego Kieffera o konieczności usunięcia przywódcy siłą?

Rubaszow wytarł binokle o rękaw. Czy ta rozmowa naprawdę

nie miała żadnego znaczenia, jak usiłował sobie wmówić? Na pewno ani nie „pertraktował”, ani nie zawarł żadnej umowy, a uprzejmy pan von Z. nie miał po temu żadnego oficjalnego upoważnienia. Całą sprawę można by co najwyżej uznać za to, co w języku dyplomatycznym nazywa się „sondowaniem terenu”. Ale to sondowanie było jednym z ogniw w logicznym łańcuchu jego ówczesnych poglądów; pozostawało zresztą w zgodzie z pewnymi tradycjami Partii. Czyż stary przywódca tuż przed Rewolucją nie korzystał z usług sztabu głównego tego samego kraju, by wrócić z wygnania i poprowadzić Rewolucję ku zwycięstwu? Czy później, w pierwszym traktacie pokojowym, nie odstąpił pewnych terytoriów w zamian za to, że jego krajowi dano pokój? „Stary poświęca przestrzeń, by zyskać na czasie”, zauważył wtedy jakiś dowcipny przyjaciel Rubaszowa.

Owa zapomniana, „nie mająca żadnego znaczenia” rozmowa tak dokładnie przystawała do łańcucha, że teraz i Rubaszowowi trudno było patrzeć na nią inaczej niż oczami Gletkina. Tego właśnie nieudolnie czytającego Gletkina, którego umysł pracuje tak samo niezręcznie i dochodzi do prostych, namacalnych wyników może właśnie dlatego, że wcale nie zna się na morskich świnkach...

Ale skąd Gletkin wie o tej rozmowie? Albo ją podsłuchano, co w tamtych okolicznościach było dość nieprawdopodobne, albo też uprzejmy pan von Z. występował w roli prowokatora — dla Bóg wie jakich złożonych powodów. Takie przypadki zdarzały się dawniej i wcale nierzadko. Zastawiono pułapkę na Rubaszowa — pułapkę skonstruowaną w zgodzie z prymitywną umysłowością Gletkina i Nr 1, a on, Rubaszow, wpadł w nią tak łatwo...

— Znając tak dokładnie moją rozmowę z panem von Z. — powiedział Rubaszow — chyba wiecie także, że nie miała ona żadnych praktycznych następstw.

— Oczywiście — odpowiedział Gletkin. — Dzięki temu, że aresztowaliśmy was w porę i wytępiiliśmy opozycję w całym kraju. Skutki planowanej zdrady byłyby się ujawniły, gdybyśmy tego wszystkiego nie zrobili.

Cóż można było na to odpowiedzieć? Że w żadnym razie nie byłoby poważnych skutków, chociażby z tego powodu, że on, Rubaszow, był już zbyt stary i zdarty, aby postępować tak konsekwentnie, jak się tego domaga tradycja partyjna i jak by to na jego miejscu uczynił Gletkin? Że cała działalność tak zwanej opozycji ograniczała się do starczego zrządzenia, bo całe pokolenie starej gwardii było tak samo zdarte, jak on sam?

Zdarte latami walki podziemnej, zżarte wilgocią ścian więziennych, wśród których spędziło połowę młodości, wysrane do szpiku ciągłym napięciem nerwowym, aby stłumić fizyczny strach, o którym się nigdy nie mówi, z którym każdy musi się sam uporać — i to nie raz, ale w ciągu lat, czy dziesiątków lat? Zużyte latami wygnania, jadowitym kwasem rozgrywek partyjnych, bezwzględnością z jaką je przeprowadzano, wyczerpane niekończącymi się klęskami i demoralizacją końcowego zwycięstwa? Czy mógł mu powiedzieć, że czynna, zorganizowana opozycja przeciwko dyktaturze Nr 1 w rzeczywistości nigdy nie istniała; że była to tylko gadanina, bezpłodne igranie z ogniem, bo generacja starej gwardii wydatkowała już wszystko co posiadała, była wyciśnięta do ostatniej kropli, do ostatniej kalorii duchowej; i że została jej tylko, jak owym umarłym z cmentarza w Errancis, jedna nadzieja: spać i czekać, aż potomność odda jej należną sprawiedliwość.

Co odpowiedzieć temu niewzruszonemu człowiekowi z Neandertalu? Że we wszystkim ma słusność i popełnia tylko jeden zasadniczy błąd: wierzy, iż ciągle jeszcze siedzi przed nim stary Rubaszow, podczas gdy to jest tylko jego cień? Że cała sprawa sprowadza się do tego — ukarać go nie za czyny, które popełnił, ale za te, których zaniedbał popełnić? „Można dać się ukrzyżować tylko w imię własnej wiary”, powiedział kiedyś uprzejmy pan Z...

Zanim Rubaszow podpisał zeznanie i wrócił do celi, by leżeć bez przytomności na pryczy do chwili, kiedy męka zacznie się na nowo — sam postawił Gletkinowi jedno pytanie. Nie miało ono nic wspólnego z dyskutowanym punktem, ale Rubaszow wiedział, że za każdym razem, kiedy dochodzi do podpisania protokołu, Gletkin staje się bardziej przystępny — Gletkin płaci gotówką. Pytanie, które Rubaszow postawił — dotyczyło losu Iwanowa.

— Obywatel Iwanow został aresztowany — powiedział Gletkin.

— Czy wolno wiedzieć, z jakiego powodu? — zapytał Rubaszow.

— Obywatel Iwanow prowadził niedbale dochodzenie w waszej sprawie, a w rozmowach prywatnych wyrażał cyniczne powątpiewanie co do słusności oskarżenia.

— A jeśli w nie naprawdę nie wierzył? — zapytał Rubaszow. — Może miał o mnie zbyt dobrą opinię?

— W tym przypadku — odparł Gletkin — powinien był

zawiesić badanie i oficjalnie powiadomić odpowiednie władze, że według jego zdania jesteście niewinni.

Czy Gletkin sztydził z niego? Wyglądał tak samo nienaganie i patrzył oczami bez wyrazu, jak zawsze.

Następnym razem, kiedy Rubaszow znów pochylał się nad protokołem dziennym, trzymając w rękę ciepłe pióro Gletkina — stenotypistki już nie było w pokoju — powiedział:

— Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

Mówiono mi, że jesteście zwolennikiem pewnych drastycznych sposobów — tak zwanej „twardej ręki”. Dlaczego w stosunku do mnie nie użyliście nigdy bezpośredniego nacisku fizycznego?

— Tortury fizycznej, chcieliście powiedzieć — stwierdził Gletkin rzeczowym tonem. — Jak wiadomo, nasz kodeks karny tego zabrania.

Zatrzymał się. Rubaszow właśnie podpisał protokół.

— Poza tym — ciągnął dalej Gletkin — istnieje pewien gatunek oskarżonego, który składa zeznania pod naciskiem, ale na rozprawie publicznej je odwołuje. Wy należycie do tego gatunku upartych. Pożytek polityczny waszego zeznania na rozprawie będzie w tym, że zostało złożone dobrowolnie.

Po raz pierwszy Gletkin wspomniał rozprawę publiczną. Ale w drodze powrotnej przez korytarz, gdy szedł za olbrzymem, nie to zajmowało Rubaszowa, ale zdanie: „wy należycie do tego gatunku upartych”. Mimo woli napełniało go przyjemnym zadowoleniem z siebie.

„Robię się stary i zdziecinniały”, myślał, leżąc na pryczy. Ale przyjemne uczucie nie ustępowało aż do chwili, gdy zasnął.

Za każdym razem, kiedy po upartym użeraniu się podpisywał nowe zeznanie i kładł się na pryczy, wyczerpany a jednak w jakiś dziwny sposób zadowolony, z pełną świadomością tego, że zbudzą go za godzinę, najdalej dwie — za każdym razem Rubaszow miał tylko jedno życzenie: żeby Gletkin choć raz pozwolił mu spać i odzyskać przytomność. Wiedział dokładnie, że życzenie jego się nie spełni, póki walka nie dojdzie do gorzkiego kresu, póki ostatnia kropka nie zostanie postawiona nad ostatnim „i”. Wiedział także, że każda nowa potyczka skończy się nową

porażką i że co do ostatecznego wyniku nie może być najmniejszej wątpliwości.

Dlaczego więc zamęczał sam siebie i dawał się męczyć, zamiast poddać się w tej przegranej bitwie i uzyskać to, by go już więcej nie budzono? Myśl o śmierci straciła już dawno wszelkie cechy metafizyczne; stała się czymś ciepłym, kuszącym, cielesnym — oznaczała sen. A jednak jakieś dziwne, zawiłe poczucie obowiązku zmuszało go do trzeźwości i prowadzenia przegrywanej walki do końca — nawet gdyby to miała być tylko walka z wiatrakami. To poczucie obowiązku zmuszało go do wytrzymania aż do chwili, w której Gletkin strąci go z ostatniego szczebla drabiny i w jego przymrużonych oczach nie przemieni ostatniego nieudolnego kleksa oskarżenia w „i” z kropką logicznie postawioną.

Musi iść swoją koleją aż do samego końca. Dopiero wtedy, kiedy wejdzie w ciemność z otwartymi oczami, zdobędzie sobie prawo do snu i do tego, by go już więcej nie budzono.



W ciągu tego nieprzerwanego łańcucha dni i nocy pewna zmiana zaszła także i w Gletkinie. Nie była ona wielka, ale nie uszła zapalonym oczom Rubaszowa. Do końca Gletkin siedział sztywno, z nieporuszoną twarzą i chrzęszczącymi mankietami w cieniu lampy, stojącej za biurkiem; ale powoli, krok po kroku, brutalność jego głosu znikwała, tak samo jak stopień po stopniu zmniejszał jaskrawe natężenie lampy, póki nie zaczęła płonąć prawie normalnym światłem. Nie uśmiechał się nigdy i Rubaszow zastanawiał się, czy neandertalczyki w ogóle potrafiały się uśmiechać; jego głos nie był także dość podatny, by wyrazić jakikolwiek odcień uczuciowy. Raz jednak, kiedy po wielogodzinnej rozmowie zapas papierosów Rubaszowa się wyczerpał, Gletkin, sam niepalący, wyjął z kieszeni paczkę i podał ją przez biurko Rubaszowowi.

W jednym punkcie Rubaszow zdołał osiągnąć zwycięstwo; był to punkt oskarżenia, dotyczący rzekomego sabotażu w truście aluminowym. W ogólnej sumie zbrodni, do których się przyznał, był to zarzut małej wagi, ale Rubaszow bronił się przeciw niemu z tym samym uporem, jaki zdradzał w punktach istotnych.

Siedzieli naprzeciwko siebie prawie całą noc. Szczegół po szczególe, Rubaszow odparował wszelkie dowody oskarżenia i jednostronne dane statystyczne; głosem ochryplym ze zmęczenia cytował cyfry i daty, które we właściwej chwili jakby cudem

wyłaniały się z jego odurzonej pamięci i przez cały czas Gletkin nie był w stanie znaleźć punktu zaczepienia, od którego można by zacząć odwijać łańcuch logiczny.

Już bowiem od czasu drugiego czy trzeciego spotkania stała między nimi niepisana umowa: jeśli Gletkin potrafił dowieść, że sama podstawa oskarżenia była słuszna — nawet jeśli była ona natury czysto logicznej, abstrakcyjnej — mógł dowolnie wstawiać brakujące szczegóły; „stawiać kropki nad i”, jak to Rubaszow nazywał. Nie zdając sobie z tego sprawy, przyzwyczaili się do tych zasad gry i ani jeden ani drugi nie odróżniali już czynów, które Rubaszow popełnił naprawdę od tych, które tylko powinien był popełnić w logicznym wyniku swoich przekonań; stopniowo stracili poczucie pozoru i rzeczywistości, logicznej fikcji i faktów realnych. Czasem, w rzadkich chwilach rozjaśnienia świadomości, Rubaszow zdawał sobie z tego sprawę i miał wtedy poczucie, że budził się z dziwnego stanu narkozy; Gletkin jednak bodaj nigdy nie dochodził do takiego rozeznania.

Na ranem, kiedy Rubaszow ciągle jeszcze nie poddał się oskarżeniu o sabotaż w truście aluminiowym, głos Gletkina zaczął zdradzać pewną nerwowość — zupełnie jak wtedy, na samym początku, gdy Zajęcza Warga wyrecytował fałszywą odpowiedź. Zaostrzył znowu światło, czego nie robił od dłuższego czasu; ale natychmiast je znowu zmniejszył, dostrzegłszy ironiczny uśmiech Rubaszowa. Postawił jeszcze kilka pytań, które także do niczego nie doprowadziły, i wreszcie rzekł na zakończenie:

— A więc ostatecznie przeczyście temu, jakobyście się dopuścili się w przemyśle powierzonym waszej pieczy jakichkolwiek czynów niszczycielskich lub dywersyjnych — czy też nawet zamierzali coś podobnego przedsięwziąć?

Rubaszow kiwnął głową — pełen sennej ciekawości, co się teraz stanie. Gletkin zwrócił się do stenografki:

— Piszcie: sędzia śledczy proponuje odstąpić od tego punktu oskarżenia, z braku dowodów.

Rubaszow zapalił szybko papierosa, by ukryć uczucie dzieciennego triumfu, jakie go ogarnęło. Po raz pierwszy zwyciężył Gletkina. Było to wprawdzie wzruszające, drobne, lokalne zwycięstwo w przegranej bitwie, ale zwycięstwo; a tyle miesięcy, lat nawet minęło, kiedy ostatni raz zaznał takiego uczucia... Gletkin wziął od sekretarki protokół i odesłał ją, zgodnie ze zwyczajem, który się ostatnio między nimi ustalił.

Kiedy zostali sami i Rubaszow wstał, by podpisać protokół, Gletkin, podając mu pióro, powiedział:

— Doświadczenie uczy, że sabotaż przemysłowy jest dla

opozycji najskuteczniejszym środkiem, aby stwarzać trudności rządowi i wywołać niezadowolenie wśród robotników. Dlaczego się tak upieracie przy tym, że nie użyliście, czy też nie mieliście zamiaru użyć tego sposobu?

— Bo to jest, technicznie biorąc, absurd — rzekł Rubaszow. — I dlatego także, że to wieczne posługiwanie się sabotażystą jako straszakiem wywołuje epidemię donosów, które mnie oburzają.

Dawno niedoznane uczucie triumfu sprawiało, że Rubaszow czuł się świeższy i mówił głośniejszym głosem niż zwykle.

— Jeżeli uważacie sabotaż za czysty wymysł, jakie są, waszym zdaniem, rzeczywiste przyczyny niezadowolającego stanu naszego przemysłu?

— Zbyt niskie wynagrodzenia, system niewolniczy i barbarzyńskie metody dyscyplinarne — odpowiedział Rubaszow. — Znam szereg przypadków w moim truście, kiedy rozstrzelano robotników jako sabotażystów z powodu jakiegoś drobnego zaniedbania, spowodowanego przemęczeniem. Jeśli robotnik spóźni się dwie minuty do roboty, idzie na zieloną trawę, a na dowódzie osobistym stawia mu się stempel, który uniemożliwia znalezienie jakiegokolwiek pracy.

Gletkin patrzył na niego oczyma, które, jak zwykle, nie miały żadnego wyrazu i zapytał normalnym, bezbarwnym tonem:

— Czy dostaliście zegarek w podarku — kiedy byliście jeszcze chłopcem?

Rubaszow spojrział na niego ze zdziwieniem. Najbardziej uderzającą cechą charakteru neandertalczyków był całkowity brak poczucia humoru, albo ściślej, brak jakiegokolwiek lekkomyślności.

— Czy nie chcecie odpowiedzieć na moje pytanie? — zapytał Gletkin.

— Ależ tak — odparł Rubaszow, coraz bardziej zdumiony.

— Ile mieliście lat, kiedy wam dano pierwszy zegarek?

— Nie pamiętam dokładnie — odpowiedział Rubaszow — może osiem albo dziewięć.

— Ja — rzekł Gletkin normalnie poprawnym tonem — miałem szesnaście lat, kiedy mnie nauczono, że godzina dzieli się na minuty. Gdy chłopci z mojej wsi musieli jechać do miasta, szli na stację o świcie i spali w poczekalni aż do nadejścia pociągu, co zwykle miało miejsce w południe; czasem pociąg przyjeżdżał dopiero wieczorem lub następnego ranka. Ci chłopci pracują teraz w naszych fabrykach. W mojej wsi na przykład stoi teraz największa na świecie fabryka szyn żelaznych. W ciągu

pierwszego roku nadzorcy kładli się spać między jednym wypróżnieniem pieca hutniczego a drugim; robili to z takim uporem, że trzeba ich było rozstrzelać. We wszystkich innych krajach chłopci mieli sto lub dwieście lat czasu, aby wyrobić w sobie poczucie precyzji przemysłowej i przywyknąć do obchodzenia się z maszynami. Tutaj dano im na to tylko dziesięć lat. Gdybyśmy ich za każde najmniejsze przewinienie nie wyrzucali i nie rozstrzeliwali, stanąłby cały kraj, a chłopci położyliby się spać na podwórzach fabryk i spali, póki by trawa nie wyrosła ponad kominy i wszystko nie było znowu jak przedtem. W przeszłym roku przyjechała do nas jakaś delegacja kobiet z Manchesteru, z Anglii. Pokazano im wszystko, a one napisały potem artykuły pełne oburzenia, w których twierdziły, że robotnicy przędzalni w Manchesterze nigdy by nie pozwolili na takie traktowanie siebie. Czytałem, że przemysł włókienniczy w Manchesterze istnieje dwieście lat. Czytałem także, jak się tam odnoszono do robotników dwieście lat temu, kiedy wszystko się zaczynało. Wy, towarzyszu Rubaszow, posłużyliście się właśnie tymi samymi argumentami, co owa delegacja kobiet z Manchesteru. A wy przecież znacie się lepiej na rzeczy, niż te kobiety. Można się więc dziwić, że używacie tych samych argumentów. Ale mimo wszystko wy macie z nimi jedną rzecz wspólną: dano wam zegarek, kiedy byliście jeszcze dzieckiem...

Rubaszow nie odpowiedział i spojrzął na Gletkina ze świeżym zaciekawieniem. Co to ma znaczyć? Czyżby neandertalczyk wyszedł nareszcie ze skorupy? Ale Gletkin siedział sztywno na krześle i patrzył tak samo bez wyrazu, jak zwykle.

— Może w pewnym sensie macie słusność — powiedział w końcu Rubaszow. — Ale to wy wyciągnęliście mnie na rozmowę o tych sprawach. Dlaczegoż wynajdować kozły ofiarne, jeśli trudności mają przyczyny naturalne, które przed chwilą sami opisaliście tak przekonująco?

— Doświadczenie uczy — rzekł Gletkin — że masom trzeba dać proste, łatwo zrozumiałe wytłumaczenie wszystkich trudnych i skomplikowanych procesów. Z tego co ja wiem o historii wynika, że ludzkość nigdy nie potrafiła się obejść bez kozłów ofiarnych. Jestem przekonany, że była to instytucja niezbędna we wszystkich epokach; wasz przyjaciel Iwanow objaśnił mi, że jest ona pochodzenia religijnego. Jeśli dobrze pamiętam, tłumaczył mi, że samo słowo wywodzi się z obyczaju Hebrajczyków, którzy raz do roku ofiarowali swemu bogu kozła, obciążonego ich grzechami. — Gletkin przerwał i poprawił mankiety. — Są zresztą w historii także przykłady dobrowolnych kozłów ofiar-

nych. W tym samym wieku, kiedy wam dano zegarek, proboszcz wioskowy uczył mnie, że Jezus Chrystus nazywał sam siebie barankiem, który wziął na siebie wszystkie grzechy świata. Nigdy nie rozumiałem, w jaki sposób może to być dla ludzkości pomocą, jeśli ktoś oświadcza, iż poświęca się dla jej dobra. Ale przez dwa tysiące lat wydawało się to ludziom najwidoczniej zupełnie naturalne.

Rubaszow patrzył na Gletkina. O co mu chodzi? Jaki cel ma ta rozmowa? Po jakich labiryntach błąka się ten neandertalczyk?

— Jakkolwiek by było — rzekł Rubaszow — bardziej zgodne z naszą ideą byłoby powiedzieć ludziom prawdę, zamiast zaludniać świat sabotażystami i diabłami.

— Gdyby ludziom z mojej wsi powiedziano — odparł Gletkin — że mimo Rewolucji i fabryk wciąż jeszcze są zacofani i powolni, nie odniosłoby to żadnego skutku. Jeśli się im mówi, że są bohaterami pracy, że są bardziej wydajni od Amerykanów i że złu są winni jedynie diabli i sabotażyści, ma to przynajmniej pewien skutek. Prawdą jest to, co ludzkości przynosi pożytek, kłamstwem to, co jej szkodzi. W zarysie historii, wydanym przez Partię dla kursów wieczornych dla dorosłych jest podkreślone, że w ciągu pierwszych stuleci religia chrześcijańska była motorem obiektywnego postępu ludzkości. Czy Jezus mówił prawdę czy nie, utrzymując, że jest synem Boga i dziewicy, nie przedstawia dla rozsądnych ludzi żadnego znaczenia. Ma to podobno sens symboliczny, ale chłopci biorą to dosłownie. My mamy takie samo prawo tworzyć pożyteczne symbole, które chłopci rozumieją dosłownie.

— Wasze rozumowanie — rzekł Rubaszow — przypomina czasem rozumowanie Iwanowa.

— Obywatel Iwanow — odpowiedział Gletkin — należał, podobnie jak wy, do starej inteligencji; w rozmowie z nim można było sobie przyswoić trochę tej wiedzy historycznej, której nam brakuje z powodu niedouczenia. Różnica polega na tym, że ja staram się wykorzystać ową wiedzę dla dobra Partii; obywatel Iwanow zaś był cynikiem.

— Był...? — zapytał Rubaszow, zdejmując binokle.

— Obywatel Iwanow — odpowiedział Gletkin, patrząc na niego bez wyrazu — został wczoraj w nocy rozstrzelany, w wykonaniu wyroku, wydanego w trybie administracyjnym.



Po tej rozmowie Gletkin pozwolił Rubaszowowi spać pełne dwie godziny. Wracając do celi, Rubaszow zastanawiał się nad tym, dlaczego wiadomość o śmierci Iwanowa nie wywarła na nim głębszego wrażenia. Sprawiała ona tylko, że podniecający skutek małego zwycięstwa zniknął i że on sam poczuł się znowu znudzony i senny. Doszedł widać już do tego stanu, w którym ustaje zdolność do głębszych wzruszeń. Zresztą i tak, zanim się jeszcze dowiedział o śmierci Iwanowa, wstydził się tego bezcelowego uczucia triumfu.

Osobowość Gletkina zyskała nad nim już taką przewagę, że nawet zwycięstwa obracały się w klęski. Siedział tam, masywny i patrzący bez wyrazu, jako brutalne wcielenie owego państwa, które samo swoje istnienie zawdzięczało właśnie Rubaszowom i Iwanowom. Jest to ciało z ich ciała, które się oddzieliło i utraciło poczucie związku. Czy Gletkin nie przyznał sam, że jest duchowym spadkobiercą Iwanowa i starej inteligencji?

Rubaszow powtórzył sobie po raz setny, że Gletkin i nowi neandertalczyki dopełniają tylko dzieła, rozpoczętego przez generację ponumerowanych głów. To, że ta sama nauka przybiera w ich ustach dźwięk tak nieludzki ma przyczynę, jak widać, jedynie w konstelacji klimatycznej. Te same argumenty, przytaczane przez Iwanowa, miały w sobie jeszcze ów ton, który wywodził się ze wspomnień przeszłości, z pamięci o zaginionym świecie. Można się wyprzeć swego dzieciństwa, ale nie można go wymazać. Iwanow włókł za sobą swoją przeszłość, aż do samego końca; to właśnie nadawało wszystkiemu, co mówił, ów odcień frywolnej melancholii; dlatego właśnie Gletkin nazywał go cynikiem. Gletkin nie mają czego wymazywać; nie muszą się wypierać przeszłości, bo jej nie mają. Urodzili się bez pępownicy, bez frywolności, bez melancholii.

5

WYCIĄG Z DZIENNIKA M. S. RUBASZOWA

...jakim prawem my, którzy schodzimy ze sceny, patrzymy z taką wyższością na Gletkinów? Kiedy na ziemi ukazał się pierwszy neandertalczyk, małpy się pewnie śmiały. Małpy, wysoko cywilizowane, przerzuciły się zgrabnie z gałęzi na gałąź; neandertalczyk był niezdarny i przygwożdżony do ziemi. Małpy, nasycone i spokojne, żyły w atmosferze subtelnej rozbawienia, albo też, pogrążone w filozoficznej kontemplacji, łapały muchy;

neandertalczyk czałpał ponuro po świecie, wywijając maczugę. Małpy patrzyły na niego z uśmiechem z wysokości drzew i obrzucały go orzechami. Czasem ogarniała je zgroza: one jadły owoce i słodkie rośliny, delikatnie i z wyrafinowaniem; neandertalczyk pożerał surowe mięso, mordował zwierzęta i swoich współtowarzyszy. Zwalał drzewa, które rosły od niepamiętnych czasów, poruszał skały z prawiecznej posady, wykraczał przeciwko każdemu prawu i każdej tradycji dżungli. Był prostacki, okrutny, nie miał godności zwierząt — z punktu widzenia wysoko rozwiniętych małp był barbarzyńskim cofnięciem się historii. Ostatni potomkowie szympansów wciąż jeszcze odwracają się z pogardą na widok istoty ludzkiej...

6

Po pięciu czy sześciu dniach zdarzył się wypadek: Rubaszow zemdlał w czasie przesłuchania. Doszli właśnie do końcowego punktu oskarżenia: do sprawy motywów działania Rubaszowa. Oskarżenie określało je po prostu jako „umysłowość kontrrewolucyjną” a nadto ubocznie, jakby to było samo przez się zrozumiałe, wzmiankowało, że był na służbie wrogiego państwa obcego. Rubaszow toczył ostatnią bitwę o to sformułowanie. Dyskusja ciągnęła się od brzasku do południa, kiedy Rubaszow, w zupełnie niedramatycznej chwili, zsunął się bokiem z krzesła i upadł na podłogę.

Gdy po kilku minutach wrócił do przytomności, zobaczył nad sobą małą, opierzoną czaszkę lekarza, lejącego mu wodę z butelki na twarz i nacierającego skronie. Poczul jego oddech, zalatujący miętą, chlebem i smalcem i zwymiotował. Lekarz wymyślał swoim ostrym głosem i zalecił wyprowadzić Rubaszowa na świeże powietrze. Gletkin przyglądał się tej scenie martwymi oczami. Zadzwonił i kazał oczyścić dywan; potem polecił odprowadzić Rubaszowa do celi. Parę minut później stary dozorca wyprowadził go na przechadzkę po podwórzu.

Przez pierwszych kilka minut Rubaszow był jakby pijany szczypiącym świeżym powietrzem. Odkrył, że ma płuca, które piją tlen, jak usta słodki, rzeźwiący napój. Słońce świeciło blado i jasno; była właśnie jedenasta w południe — godzina, o której wyprowadzano go na przechadzkę, wieki temu, zanim zaczął się długi, mglisty ciąg dni i nocy. Jakże był niemądry, nie doceniając tego błogosławieństwa. Czemu nie można po prostu żyć i oddychać i iść po śniegu i czuć letnie ciepło słońca na

twarzy? Dlaczego nie można strząsnąć z siebie koszmaru, przeżywanego w pokoju Gletkina, oślepiającego światła lampy, tej całej upiornej inscenizacji — i żyć jak inni ludzie?

Ponieważ była to normalna godzina jego przechadzki, w czasie całej rundy towarzyszył mu znowu chłop w słomianych trepach. Obserwował z boku Rubaszowa, chodzącego obok nieco chwiejnymi krokami, odchrząknął raz i drugi, potem powiedział, zerkając na strażników:

— Już dawno nie widziałem jaśnie wielmożnego pana. Wygląda pan źle, niedługo już pan pociągnie. Mówią, że będzie wojna.

Rubaszow nie odpowiedział. Walczył z pokusą, aby zgarnąć garść śniegu i ugnieść go dłońią w kulę. Koło poruszało się powoli dokoła podwórza. Dwadzieścia kroków przed nimi, pośrodku niskich wałów śniegu, stąpała druga para — dwaj mężczyźni mniej więcej równego wzrostu, ubrani w szare płaszcze; przed ich ustami kłębiły się obłoczki pary.

— Niedługo będzie pora siewu — podjął chłop. — Po odwilży owce idą w góry. Zanim dojdą, trwa trzy dni. Dawniej wszystkie wieś w okolicy wysyłały swoje owce w drogę tego samego dnia. Zaczynało się o świcie; owce były wszędzie, na wszystkich ścieżkach i polach. Przez pierwszy dzień szła za nimi cała wieś. Jaśnie wielmożny pan chyba w całym swoim życiu nie widział tylu owiec i tylu psów, i tyle kurzu i tyle szczekania i beczenia... O Matko Boża, co to była za radość...

Rubaszow trzymał twarz uniesioną ku słońcu; ciągle jeszcze było blade, ale już nasycalo powietrze letnią miękkością. Przypatrywał się igraniu ptaków kołujących, spadających w dół i wzlatających w górę, wysoko ponad wieżę z karabinem maszynowym. Chłop ciągnął swoje płaczliwym głosem:

— Taki dzień jak dziś, kiedy czuć w powietrzu odwilż, chwyta za serce. Żaden z nas już długo nie wytrzyma, jaśnie wielmożny panie. Zmiażdżyli nas, bo jesteśmy reakcjonistami, bo dawne czasy, w których byliśmy szczęśliwi, nie śmia więcej wrócić...

— Czy naprawdę byliście wtedy tak szczęśliwi? — zapytał Rubaszow, ale chłop tylko coś niezrozumiale mamrotał i grdyka poruszyła mu się kilkakrotnie w górę i w dół gardła.

Rubaszow obserwował go z boku; po chwili powiedział: — Czy pamiętacie to miejsce w Biblii, kiedy plemiona zaczynają płakać na pustyni: „Ustanówmy sobie wodza, a wróćmy się do Egiptu”?

Chłop przytaknął skwapliwie i bezmyślnie... Potem odprowadzono ich do budynku.

Działanie świeżego powietrza minęło, wróciły ołowiana senność, zawrót głowy i mdłości. Przy wejściu Rubaszow się pochylił, zgarnął odrobinę śniegu i wytarł sobie nim czoło i palące oczy.

◆ Nie odprowadzono go z powrotem do celi, jak się spodziewał, ale prosto do pokoju Gletkina. Siedział przy biurku, w tej samej postawie, w jakiej Rubaszow go opuścił — jak dawno temu? Wyglądał tak, jak gdyby w czasie nieobecności Rubaszowa nie ruszył się z miejsca. Zasłony były zaciągnięte, lampa się paliła; w tym pokoju czas stanął w miejscu, jak w gnijącej sadzawce. Siadając znowu naprzeciwko Gletkina, Rubaszow zauważył mokrą plamę na dywanie. Przypomniały mu się torsje. Od czasu gdy opuścił ten pokój, minęła więc zaledwie godzina.

— Myślę, że czujecie się teraz lepiej — rzekł Gletkin. — Przerwaliśmy przy końcowej sprawie motywów waszej działalności kontrrewolucyjnej.

Z lekkim zdziwieniem wpatrzył się w prawą rękę Rubaszowa, która spoczywała na poręczu krzesła i wciąż jeszcze trzymała garsteczkę śniegu. Rubaszow poszedł za jego wzrokiem; uśmiechnął się i podniósł rękę do lampy. Obaj przypatrywali się, jak malutka kula śnieżna topniała na jego dłoni od ciepła żarówki.

— Sprawa motywów jest ostatnim punktem — rzekł Gletkin. Gdy to podpiszecie, skończymy ze sobą.

Lampa promieniowała ostrzejszym światłem niż kiedykolwiek w ostatnich czasach. Rubaszow musiał zmrużyć oczy.

— ... i wtedy będziecie mogli odpocząć — dokończył Gletkin.

Rubaszow potarł ręką skronie, ale chłód śniegu już się ulotnił. Słowo „odpocząć”, którym Gletkin zamknął zdanie, zawisło w ciszy. Odpocząć i spać. „Ustanówmy sobie wodza, a wróćmy się do Egiptu”... Spojrzał ostro przez binokle na Gletkina, mrużąc powieki:

— Znacze motywów mego działania równie dobrze, jak ja sam — powiedział. — Wiecie, że ani nie działałem z nakazu „umysłowości kontrrewolucyjnej”, ani nie byłem na usługach obcego państwa. Co myślałem i robiłem, myślałem i robiłem zgodnie z własnymi przekonaniem i własnym sumieniem.

Gletkin wyciągnął akta z szuflady. Przeglądał je, wyjął jeden arkusz i odczytał swoim monotonnym głosem:

— Dla nas sprawa subiektywnej wiary nie ma znaczenia.

Kto się pomylił, musi zapłacić; kto ma rację, zostanie rozgrzeszony. Oto nasze prawo... Napisaliście to w waszym dzienniku, wkrótce po aresztowaniu.

Rubaszow poczuł za powiekami znane pałanie światła. Zdanie, które pomyślał i napisał, w ustach Gletkina miało szczególnie nagi dźwięk — jakby spowiedź, przeznaczoną wyłącznie dla ucha bezmiennego duchownego, zanotowano na płycie gramofonowej, która teraz powtarza ją blaszanym głosem.

Gletkin wyciągnął inny arkusz z aktów, ale odczytał z niego tylko jedno zdanie, wpatrując się wciąż w Rubaszowa swymi martwymi oczami:

— Honor to: służyć bez próżności i do ostatecznej konsekwencji.

Rubaszow usiłował wytrzymać jego wzrok.

— Nie bardzo rozumiem — powiedział — w czym to się może przysłużyć Partii, jeśli jej członkowie będą się czołgać w błocie na oczach całego świata. Podpisałem wszystko, czegoście ode mnie żądali. Przyznałem się, że jestem winny, bo uprawiałem politykę fałszywą i z obiektywnego punktu widzenia szkodliwą. Czy to wam nie wystarcza?

Nałożył binokle, zatrzepotał bezradnie powiekami w stronę lampy i zakończył znużonym, ochrypłym głosem:

— Przecież nazwisko M. S. Rubaszow jest samo w sobie także kawałkiem historii partyjnej. Tarzając je w brudzie, szargacie historię Rewolucji.

Gletkin przeglądał teczkę z papierami:

— I na to mogę wam odpowiedzieć cytatem z waszych własnych notatek. Napisaliście tak:

„Masom trzeba wbijać każde zdanie w umysł przez ciągłe powtarzanie i upraszczanie. Co się uznaje za słuszne, musi świecić jak złoto; co uważa się za złe, musi być czarne jak smoła. Wypowiedzi polityczne winny być dla użytku mas barwione, jak pierniki na jarmarku”.

Rubaszow milczał. Wreszcie rzekł:

— A więc o to wam chodzi: mam wziąć na siebie rolę diabła w szopce, mam wyć, zgrzytać zębami, pokazywać język — i to wszystko dobrowolnie. Dantonowi i jego przyjaciółom przynajmniej tego oszczędzono.

Gletkin zamknął teczkę. Pochylił się trochę w przód i poprawił mankiety:

— Wasze zeznanie na rozprawie będzie ostatnią przysługą, jaką możecie oddać Partii.

Rubaszow nie odpowiedział. Oczy miał zamknięte i odpoczy-

wał w promieniach lampy jak znużony człowiek na słońcu; ale od głosu Gletkina nie było ucieczki.

— Wasz Danton i cały Konwent — mówił głos — byli sielankową zabawą w porównaniu z tym, o co tutaj idzie gra. Czytałem o nich: nosili pudrowane warkoczki i deklamowali o osobistym honorze. Dla nich liczyło się tylko to, by umrzeć ze szlachetnym gestem, bez względu na to, czy gest był pożyteczny, czy szkodliwy.

Rubaszow nie odzywał się. W uszach mu brzęczało i szumiało; głos Gletkina był ponad nim, osaczał go ze wszystkich stron; uderzał bezlitośnie w bolącą czaszkę.

— Wiecie o jaką stawkę tu chodzi — ciągnął dalej Gletkin. — Po raz pierwszy w historii rewolucja nie tylko doszła do władzy, ale ją utrzymała. Zrobiliśmy z naszego kraju bastion nowej epoki. Obejmuje on jedną szóstą kuli ziemskiej i jedną dziesiątą jej ludności.

Głos Gletkina rozlegał się teraz zza pleców Rubaszowa. Gletkin wstał i przechadzał się po pokoju. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Jego buty skrzypiały przy każdym kroku, krochmalony mundur chrzęścił, w powietrzu zaczął się rozchodzić kwaśny zapach potu i skóry.

— Kiedy w naszym kraju Rewolucja się powiodła, myśleliśmy, że reszta globu ziemskiego pójdzie w ślad za nami. Zamiast tego nadeszła fala reakcji, która groziła nam zalewem. W Partii były dwie frakcje. Jedna składała się z awanturników, którzy byli gotowi zaryzykować nasze zdobycze po to, by rozszerzyć rewolucję za granicami kraju. Do nich wyście należeli. My doszliśmy do przekonania, że taka frakcja jest niebezpieczna i zlikwidowaliśmy ją.

Rubaszow chciał podnieść głowę i coś powiedzieć. Kroki Gletkina odbijały się echem w jego głowie. Był zbyt zmęczony. Opadł z powrotem w tył krzesła i nie otworzył oczu.

— Perspektywa Przywódcy Partii — ciągnął dalej głos Gletkina — była szersza, a jego taktyka bardziej długofalowa. Zrozumiał, że wszystko zależy od tego, by przetrzymać okres reakcji na świecie i utrzymać bastion obronny. Zrozumiał, że może minąć dziesięć, dwadzieścia, może nawet pięćdziesiąt lat, zanim świat dojdzie do nowej fali działań rewolucyjnych. Do tego czasu jesteśmy osamotnieni. Do tego czasu mamy tylko jeden obowiązek: nie zginąć.

Przez pamięć Rubaszowa mgliście przewinęło się zdanie: „Obowiązkiem rewolucjonisty jest zachować swoje życie”. Kto

to powiedział? On sam? Iwanow? W imię tej zasady poświęcił Arłową. I do czego go to doprowadziło?

— ... Nie zginąć — brzmiał głos Gletkina. — Trzeba utrzymać przyczółek, za wszelką cenę, nie szczczędając żadnej ofiary. Przywódca Partii zrozumiał tę zasadę z nieporównaną jasnością i stosował ją konsekwentnie. Polityka Międzynarodówki musiała się podporządkować naszej polityce narodowej. Trzeba było zniszczyć wszystkich, którzy nie pojmowali tej konieczności. Trzeba było zlikwidować fizycznie całe zespoły naszych najlepszych pracowników w Europie. Nie cofnęliśmy się przed zmiażdżeniem własnych organizacji na terenie wewnętrznym, jeśli tego wymagał interes bastionu. Nie cofnęliśmy się przed współpracą z policją krajów wstecznych, by zdławić ruchy rewolucyjne, które się podnosiły w niewłaściwym momencie. Nie cofnęliśmy się przed wydaniem przyjaciół i kompromisem z nieprzyjaciółmi po to, by utrzymać bastion. Bo na tym polega zadanie, jakie historia złożyła na nas, przedstawicieli pierwszej, zwycięskiej rewolucji. Nie rozumieli nas krótkowidze, esteci, moralisci. Ale Przywódca Rewolucji wie, że wszystko zależy od tej jednej rzeczy: być tym, który wytrzyma najdłużej”.

Gletkin zatrzymał się w swojej wędrówce po pokoju. Stał za krzesłem Rubaszowa. Blizna na wygolonej czaszce lśniła od potu. Dyszał, otarł głowę chustką i był jakby zawstydzony tym, że przełamał zwykłą powściągliwość. Wrócił z powrotem za biurko i poprawił mankiety. Zmniejszył trochę światło i ciągnął dalej zwykłym, bezbarwnym głosem:

— Linia postępowania Partii była wyraźnie nakreślona. Taktyka opierała się na zasadzie, że cel uświęca środki bez wyjątku. W imię tej zasady Prokurator zażąda waszego życia, obywatelu Rubaszow.

— Wasza frakcja, obywatelu Rubaszow, została pobita i wytracona. Chcieliście rozbić Partię, chociaż musieliście sobie zdawać sprawę z tego, że rozbięcie Partii oznacza wojnę domową. Wiedzieliście o niezadowoleniu chłopów, którzy jeszcze nie pojęli sensu wyrzeczeń, jakich się od nich żąda. Podczas wojny, która może wybuchnąć już w najbliższych miesiącach, takie prądy mogą doprowadzić do katastrofy. Stąd absolutna konieczność utrzymania jedności Partii. Musi ona być jak z jednego odlewu — przeniknięta duchem ślepej dyscypliny i bezwzględного zaufania. Wy, obywatelu Rubaszow, i wasi przyjaciele doprowadziliście do rozłam w Partii. Jeśli wasza skrucha jest szczerą, musicie nam pomóc naprawić ten rozłam. Powiedziałem wam już, że to jest ostatnia przysługa, jakiej Partia będzie się od was domagała.

— Zadanie wasze jest proste. Sami je sobie postawiliście: ozłocić to co słuszne, oczernić to co błędne. Polityka opozycji jest błędna. Waszym zadaniem jest więc zozydzić opozycję; dać masom do zrozumienia, że opozycja jest zbrodnią i że przywódcy opozycji są zbrodniarzami. To jest prosty język, który masy rozumieją. Jeśli zaczniecie przedstawiać wasze skomplikowane motywy, wywołacie wśród nich tylko zamieszanie. Zadaniem waszym, obywatelu Rubaszow, jest nie dopuścić do wzbudzenia sympatii i współczucia. Sympatia i współczucie dla opozycji są niebezpieczeństwem dla kraju.

— Towarzyszu Rubaszow, mam nadzieję, że zrozumieliście zadanie, jakie wam Partia wyznaczyła.

Po raz pierwszy od czasów ich znajomości Gletkin nazwał Rubaszowa „towarzyszem”. Rubaszow podniósł szybko głowę. Czuł, jak go zalewa gorąca fala, przed którą nie był w stanie się obronić. Broda mu się z lekka trzęsła, kiedy nakładał binokle.

— Zrozumiałem.

— Zwracam uwagę — ciągnął dalej Gletkin — że Partia nie obiecuje wam żadnej nagrody. Niektórych oskarżonych zmiekczo naciskiem fizycznym. Innych obietnicą uratowania głowy — czy też głów ich krewnych, którzy dostali się w nasze ręce jako zakładnicy. Wam, towarzyszu Rubaszow, nie proponujemy żadnego targu, nie przyrzekamy niczego.

— Rozumiem — powtórzył Rubaszow.

Gletkin spojrzął na akta.

— Jest w waszym dzienniku ustęp, który zrobił na mnie duże wrażenie — mówił dalej. — Napisaliście: Myślałem i postępowalem, jak należało. Jeśli miałem rację, nie mam czego żałować; jeśli się pomyliłem, zapłacę.

Podniósł wzrok znad papierów i spojrzął Rubaszowowi prosto w twarz:

— Pomyliliście się i musicie zapłacić, towarzyszu Rubaszow. Partia daje tylko jedno przyrzeczenie: po zwycięstwie, kiedyś, kiedy to już nikomu nie zaszkodzi, opublikuje się wszystkie tajne archiwa. Wtedy świat się dowie, co stało za ową szopką — jak wyście to nazwali — którą musieliśmy przed nim odegrać zgodnie ze skryptem reżyserskim historii...

Zatrzymał się parę sekund, poprawił mankiety i skończył trochę niezręcznie, a bliźna na czasce nabiegła mu krwią:

— I wtedy wy i niektórzy wasi przyjaciele ze starszego pokolenia doznacie sympatii i współczucia, których wam się dzisiaj odmawia.

Mówiąc jeszcze, podsunął Rubaszowowi przygotowane oświadczenie i położył obok niego pióro. Rubaszow wstał i rzekł z wymuszonym uśmiechem:

— Zastanawiałem się zawsze, jak wygląda neandertalczyk na sentymentalno. Teraz już wiem.

— Nie rozumiem — powiedział Gletkin, który wstał także.

Rubaszow podpisał oświadczenie, w którym przyznawał się, że wszystkie swoje zbrodnie popełnił z pobudek kontrrewolucyjnych i w służbie obcego mocarstwa. Kiedy podniósł głowę, jego wzrok padł na portret Nr 1, wiszący na ścianie i raz jeszcze rozpoznał ów wyraz wszystkowiedzącej ironii, którym wiele lat temu Nr 1 go pożegnał — ów cynizm melancholijny, spoglądający na ludzkość z wszędzie obecnego portretu.

— To nie ma znaczenia, że nie rozumiecie — powiedział Rubaszow. — Są rzeczy, które rozumiała tylko starsza generacja, właśnie Iwanowowie, Rubaszowowie i Kiefferowie. Teraz to minęło.

— Dam rozkaz, by wam nie przeszkadzano aż do rozprawy — rzekł Gletkin po krótkiej przerwie, znowu sztywny i precyzyjny. Uśmiech Rubaszowa wyprowadził go z równowagi. — Czy macie jakieś inne specjalne życzenie?

— Spać — odpowiedział Rubaszow. Stał w otwartych drzwiach, obok strażnika-olbrzyma, mały, starawy i niepozorny w swoich binoklach i ze zwykłą swoją bródką.

— Dam rozkaz, by wam nie przerywać snu — rzekł Gletkin.

Kiedy drzwi zamknęły się za Rubaszowem, wrócił do biurka. Przez kilka sekund siedział bez ruchu. Potem zadzwonił na sekretarkę.

Usiadła na zwykłym miejscu, w kącie. — Winszuję wam zwycięstwa, towarzyszu Gletkin — powiedziała.

Gletkin zmniejszył światło lampy do normalnego natężenia.

— To — powiedział, wskazując wzrokiem lampę — plus brak snu i wyczerpanie sił. Wszystko jest sprawą konstytucji fizycznej.

FIKCYJA GRAMATYCZNA

„Show us not the aim without the way.
For ends and means on earth are so entangled
That changing one, you change the other too;
Each different path brings other ends in view”.

(„Nie wskazuj celu, nie wskazując drogi.
Bo cel i środki są tu tak zmieszane,
że mieniając jedno, zmieniasz także drugie;
co nowa droga, nowy cel wskazuje”).

FERDINAND LASSALLE:
Franz von Sickingen.

1

„Zapytany, czy przyznaje się do winy, oskarżony Rubaszow odpowiedział 'tak' głośno i wyraźnie. Na dalsze pytanie prokuratora, czy oskarżony działał jako agent kontrrewolucji, znowu odpowiedział 'tak', tym razem ciszej...”.

Córka dozorca Wasylego czytała powoli, sylabizując. Rozłożyła gazetę na stole i wodziła palcem po liniach; od czasu do czasu przyglądała na głowie chustkę w kwiaty.

„... Zapytany, czy chce wziąć obrońcę, oskarżony oświadczył, że zrzeka się tego prawa. Po czym sąd przystąpił do odczytania aktu oskarżenia...”.

Dozorca Wasyli leżał na łóżku odwrócony twarzą do ściany. Wiera Wasyliwna nie była nigdy pewna, czy stary słucha jej czytania czy śpi. Czasem coś tam do siebie mruczał. Nauczyła się już nie zwracać na to uwagi i przyjęła zwyczaj czytania co wieczór gazety na głos „ze względów wychowawczych” — nawet jeśli po robocie w fabryce musiała iść na zebranie komórki partyjnej i wracała późno do domu.

„... Sentencja oskarżenia stwierdza, że oskarżonemu Rubaszowowi dowiedziono winy we wszystkich punktach oskarżenia na podstawie dowodów piśmiennych i jego własnych zeznań w czasie badania wstępnego. Na zapytanie Prezydenta Trybunału, czy ma jakiegokolwiek powody do skargi co do sposobu, w jaki było prowadzone wstępne badanie, oskarżony odpowiedział przecząco i dodał, że zeznania złożył z własnej woli, ze szczerą skruchą za popełnione zbrodnie kontrrewolucyjne...”

Dozorca Wasyli się nie ruszał. Nad łóżkiem, tuż nad jego głową, wisiał portret Nr 1. Obok niego wystawał ze ściany zardzewiały gwóźdź: do niedawna wisiała tam fotografia Rubaszowa jako dowódcy Partyzantów. Ręka Wasylego automatycznie namacała dziurę w sienniku, w której zwykł był przed córką chować zatłuszczoną Biblię; ale niedługo po aresztowaniu Rubaszowa Wiera znalazła ją i wyrzuciła, ze względów wychowawczych.

„... Na żądanie Prokuratora oskarżony Rubaszow przystąpił do opisu ewolucji, która doprowadziła go od przeciwstawienia się linii Partii do działalności kontrrewolucyjnej i zdrady ojczyzny. W obecności audytorium, słuchającego w najwyższym napięciu, oskarżony zaczął zeznania jak następuje: 'Obywatele Sędziowie, wytłumaczę, co mnie skłoniło do skapitulowania przed sędzią śledczym i przed wami, jako przedstawicielami prawa naszego kraju. Historia moja wykaże, że najłżejsze odchylenie od linii postępowania Partii prowadzi niechybnie do kontrrewolucyjnego bandytyzmu. Nieuniknionym skutkiem naszej walki opozycyjnej było brnięcie w błoto coraz dalej i dalej. Przedstawię wam mój upadek, który może być ostrzeżeniem dla tych, którzy w tej decydującej chwili okazują jeszcze chwiejność i mają jakieś ukryte wątpliwości co do przywództwa Partii i słuszności jej linii postępowania. Okryty hańbą, zgnieciony na proch, stojący w obliczu śmierci, opowiem wam smutną historię jak człowiek staje się zdrajcą, aby milionom mieszkańców naszego kraju posłużyła ona jako lekcja i odstraszający przykład’...”

Dozorca Wasyli przewrócił się na łóżku i przywarł twarzą do siennika. W oczach stała mu postać Rubaszowa, dowódcy partyzantów, który nawet w najgorszym położeniu umiał kłąć tak przyjemnie, że serce człowieka i Boga się radowało. „Zgnieciony, stojący w obliczu śmierci...” jęknął Wasyli. Biblii już nie miał, ale wiele jej ustępów znał na pamięć.

„... w tym miejscu Prokurator przerwał opowiadanie oskarżonego, by zadać kilka pytań, dotyczących dawnej sekretarki

Rubaszowa, obywatelki Arłowej, która została skazana na śmierć na skutek oskarżenia o zradziecką działalność. Z odpowiedzi oskarżonego Rubaszowa wynika, że ten ostatni, przyciśnięty w swoim czasie do muru dzięki czujności Partii, zwałił cały ciężar własnych zbrodni na karb Arłowej, by uratować własną głowę i móc dalej uprawiać swoją obrzydliwą działalność. M. S. Rubaszow przyznał się do tej potwornej zbrodni z bezwstydną i cyniczną szczerością. Na uwagę Obywatela Prokuratora: 'Nie macie widać żadnego czucia moralnego', oskarżony odpowiedział z sarkastycznym uśmiechem: 'Widocznie'. Jego zachowanie wywołało spontaniczne objawy gniewu i pogardy ze strony publiczności. Jednakowoż Obywatel Prezydent Trybunału stłumił je natychmiast. W pewnej chwili te przejawy rewolucyjnego poczucia sprawiedliwości znalazły wyraz w wybuchu wesołości — było to mianowicie wtedy, kiedy oskarżony przerwał opowiadanie na temat swoich zbrodni prośbą o zawieszenie przewodu na kilka minut, bo cierpi na 'nieznośny ból zęba'. Typowym świadectwem poprawności, jaka cechuje wymiar rewolucyjnej sprawiedliwości jest to, że Prezydent natychmiast spełnił życzenie oskarżonego i wruszając z pogardą ramionami, zarządził zawieszenie zeznań na pięć minut''.

Dozorca Wasyli leżał na plecach i myślał o czasach, kiedy po wyratowaniu Rubaszowa z rąk wrogów prowadzono go w triumfie na wiece, kiedy na estradzie, pod czerwonymi flagami i dekoracjami stał wsparty na kulach i, uśmiechając się wśród nieustających okrzyków i oklasków, wycierał szkła o rękaw.

„A żołnierze zaprowadzili go na dziedziniec ratusza i zwołali całą rotę. I przyoblekli go w purpurę i włożyli nań, upłótszy, cierniową koronę. I zaczęli go pozdrawiać: Witaj Królu Żydowski!''

— Co tam mruzcicie pod nosem? — zapytała córka.

— Co to ciebie obchodzi — odpowiedział Wasyli i odwrócił się do ściany. Namacał ręką dziurę w sienniku, ale była pusta. Haczyk nad jego głową był także pusty. Nie protestował, kiedy córka zdjęta ze ściany portret Rubaszowa i wyrzuciła go na śmietnik — był już za stary, by wytrzymać hańbę więzienia.

Córka przerwała czytanie i postawiła na stole prymus, aby zagotować herbatę. W stróżówce rozszedł się ostry zapach nafty.

— Czy słyszeliście co czytałam? — zapytała córka.

Wasyli odwrócił posłusznie głowę w jej stronę. — Słyszałem wszystko — powiedział.

— Teraz sami widzicie — rzekła Wiera Wasyliwna, pompując naftę do syczącego aparatu. — Sam mówi, że jest zdrajcą. Nie powiedziałby tego, gdyby to nie była prawda. Na zebraniu naszej fabryki przeprowadziliśmy rezolucję i wszyscy muszą ją podpisać.

— Dużo się na tym znacie — powiedział z westchnieniem Wasyli.

Wiera Wasyliwna spojrzała na niego szybko takim wzrokiem, że dozorca odwrócił się do ściany na nowo. Za każdym razem, gdy w ten sposób na niego patrzyła, Wasylemu przypominało się, że stoi na zawadzie Wierze Wasyliwnej, która chce stróżówkę mieć wyłącznie dla siebie. Trzy tygodnie temu wpisała się z młodym mechanikiem ze swej fabryki do rejestru małżeństw, ale młoda para nie ma domu; chłopak mieszka w jednym pokoju z dwoma kolegami, a w obecnych czasach trwa to nieraz całe lata, zanim trust mieszkaniowy przydzieli mieszkanie.

Prymus wreszcie się palił. Wiera Wasyliwna nastawiła czajnik.

— Sekretarz komórki odczytał nam rezolucję. Jest w niej powiedziane, że domagamy się bezlitosnego wytepienia zdrajców. Ktokolwiek okaże im współczucie, sam jest zdrajcą i powinien być zadenuncjowany — tłumaczyła umyślnie rzeczowym głosem. — Robotnicy muszą być czujni. Wszyscy dostali kopię rezolucji, by zebrać podpisy.

Wyciągnęła spod bluzki trochę pomięty arkusz papieru i rozprostowała go na stole. Wasyli leżał teraz na wznak; tuż nad głową sterczał zardzewiały gwóźdź. Zerknął na papier, leżący obok prymusa. Potem szybko odwrócił głowę.

„A on powiedział: Powiadam ci Piotrze, zanim dziś kur zapieje, trzy razy zaprzesz się, że mnie znasz”.

Woda w czajniku zaczęła szumieć. Twarz starego Wasylego przybrała wyraz chytrności:

— Czy ci, którzy brali udział w Wojnie Domowej, także muszą podpisać?

Córka w kwiecistej chustce na głowie schylała się nad czajnikiem. — Nikt nie musi podpisać — rzekła z tym samym dziwnym wyrazem oczu, co przedtem. — W fabryce wiedzą oczywiście, że on mieszkał w tym domu. Sekretarz komórki zapytał mnie po zebraniu, czy do końca byliście w przyjaźni i czy często rozmawialiście ze sobą.

Stary Wasyli usiadł gwałtownie na sienniku. Nagły wysiłek

przyprawił go o kaszel i żyły nabrzmiały mu na cienkiej, skrofulicznej szyi.

Córka postawiła na brzegu stołu dwie szklanki i z papierowej torebki nasypała do każdej odrobinę herbacianego pyłu. — Co tam znowu mruzcycie? — zapytała.

— Daj mi ten cholerny papier — rzekł stary Wasyli.

Córka podsunęła mu rezolucję. — Czy wam przeczytać, abyscie dokładnie wiedzieli co tam jest powiedziane?

— Nie trzeba — rzekł stary, stawiając swoje nazwisko. — Nie jestem ciekaw. Daj mi teraz herbaty.

Córka podała mu szklankę. Wargi Wasylego się poruszały; pijąc małymi łykami blado-żółty płyn, mruczał do siebie.

Po wypiciu herbaty córka podjęła na nowo czytanie gazety. Proces oskarżonych Rubaszowa i Kieffera dobiegał końca. Dyskusja nad oskarżeniem o planowane zabójstwo przywódcy Partii wywołała huragan oburzenia ze strony publiczności; kilkakrotnie rozległy się krzyki: „Rozstrzelać te wściekle psy!” Na ostatnie pytanie Prokuratora dotyczące motywów całego działania oskarżony Rubaszow, który się widocznie załamał, odpowiedział zmęczonym, rwącym się głosem:

— Mogę tylko powiedzieć, że gdy my, opozycja, raz powzięliśmy zbrodnicze postanowienie, aby usunąć siłą rząd ojczyzny Rewolucji, posługiwaliśmy się środkami, które odpowiadały naszym celom i były tak samo podłe i nikczemne, jak samo postanowienie.

Wiera Wasyliowna odsunęła krzesło. — To obrzydliwe — powiedziała. — Rzygać się chce, patrząc na to tarzanie się w błocie.

Odłożyła gazetę i zaczęła hałaśliwie sprzątać prymus i szklanki. Wasyli ją obserwował. Gorąca herbata napęniała go od wagą. Usiadł na łóżku.

— Nie wmawiaj sobie, że coś z tego rozumiesz — powiedział. — Bóg wie, co miał na myśli, mówiąc w ten sposób. Partia nauczyła nas wszystkich chytrłości, a kto robi się chytry, ten traci przyzwoitość. Nie wzruszaj ramionami — ciągnął dalej gniewnie. — Do tego doszło teraz na tym świecie, że chytrność i przyzwoitość nie idą w parze, i kto opowiada się za jednym, musi się wyprzec drugiego. Niedobrze jest, gdy ktoś chce być za mądry. Dlatego napisano: „A niechaj mowa wasza będzie: Jest, jest; Nie, nie. A co nadto więcej jest, od złego jest”.

Opadł z powrotem na siennik i odwrócił głowę, by po tym wszystkim nie widzieć twarzy córki. Dawno już nie przeciwstawił jej się tak odważnie. Nie wiadomo, co teraz z tego wy-

niknie, jeśli postanowiła, że chce izby dla siebie i męża. Trzeba jednak na tym świecie być chytrym — inaczej pójdzie się na stare lata do więzienia, albo trza będzie spać pod mostem, na mrozie. To właśnie jest to co mówił: albo się postępuje chytrze, albo przyzwoicie; jednego z drugim nie da się pogodzić.

— Przeczytam wam teraz koniec — oznajmiła córka.

Prokurator skończył publiczne przesłuchiwanie Rubaszowa. Po nim przesłuchano po raz wtóry oskarżonego Kieffera; powtórzył z wszystkimi szczegółami zeznanie, dotyczące usiłowanego zamachu. „... Zapytany przez Prezydenta, czy chce zadać Kiefferowi jakieś pytanie, do czego jest uprawniony, oskarżony Rubaszow zrzekł się przysługującego mu prawa. Na tym skończyło się przesłuchanie i sesję przerwano. Po ponownym otwarciu przewodu rozpoczął przemówienie Prokurator...”.

Stary Wasyli nie słuchał przemówienia Prokuratora. Odwrócił się do ściany i zasnął. Nie wiedział później, jak długo spał, jak często córka dolewała nafty do lampy ani też, jak często jej palec wskazujący docierał do końca strony i rozpoczynał wędrówkę od nowej szpalty. Obudził się dopiero w miejscu, w którym Prokurator, po zakończeniu mowy, domagał się kary śmierci. Być może córka pod koniec zmieniła ton, być może zatrzymała się na chwilę; Wasyli w każdym razie nie spał, kiedy doszła do ostatniego, wydrukowanego tłustymi czcionkami zdania w przemówieniu Prokuratora.

„Żądam rozstrzelania tych wściekłych psów”.

Potem pozwolono oskarżonym wypowiedzieć ostatnie słowo:

„... Oskarżony Kieffer odwrócił się do sędziów i błagał, by mu darowano życie, biorąc pod uwagę jego młody wiek. Jeszcze raz uznał podłość popełnionych zbrodni i próbował zwalić całą odpowiedzialność na podżegacza Rubaszowa. W czasie swego przemówienia zaczął się gwałtownie jąkać, wywołując tym wesołość słuchaczy, którą jednakże Obywatel Prezydent szybko stłumił. Po czym pozwolono mówić Rubaszowowi...”.

Reporter bardzo plastycznie opisywał w tym miejscu, jak oskarżony Rubaszow „wpatrywał się w publiczność rozgorączkowanymi oczyma, a nie znalazłszy wśród niej ani jednej współczującej twarzy, opuścił głowę z rozpaczą”.

Ostatnie słowo Rubaszowa była bardzo krótkie. Wzmogło ono jeszcze nieprzyjemne wrażenie, jakie wywarło całe jego poprzednie zachowanie w sądzie.

„Obywatelu Prezydencie”, oświadczył oskarżony Rubaszow, „przemawiam tu po raz ostatni w życiu. Opozycja została pobita i zmiażdżona. Pytając się dziś, „za co umieram?” stoję przed

zupelną nicością. Nie ma niczego, za co warto umierać, gdyby się miało umrzeć bez skruchy i bez pogodzenia się z Partią i naszym Ruchem. Dlatego więc, na progu ostatniej godziny, klękam przed moim krajem, przed masami i przed całym narodem. Skończyła się maskarada polityczna, zabawa w dyskusje i konspirację. Politycznie umarliśmy już dawno przedtem, zanim Obywatel Prokurator domagał się naszych głów. Biada pokonanym, których historia ściera na proch. Mam wobec was tylko jedno usprawiedliwienie. Obywatele Sędziowie: że nie ułatwiłem sobie niczego. Próżność i resztki dumy podszeptowały mi: umrzyj w milczeniu, nie powiedz niczego; albo umrzyj z wielkim gestem, z wzruszającym śpiewem łabędzim na ustach; wypruj duszę z siebie i wyzwij oskarżycieli. Byłoby to dla starego rebelianta łatwiejsze, ale nie uległem tej pokusie. Na tym kończy się moje zadanie. Zapłaciłem; moje porachunki z historią są zamknięte. Byłoby śmieszne prosić o łaskę. Nie mam nic więcej do powiedzenia”.

„... Po krótkiej naradzie, Prezydent odczytał wyrok. Najwyższy Trybunał Rewolucyjny skazał oskarżonych w każdym przypadku na najwyższy wymiar kary: śmierć przez rozstrzelanie i konfiskatę własności osobistej”.

Stary Wasyli wlepił wzrok w zardzewiały haczyk nad głową. Szepnął:

— Niech się dzieje wola Twoja. Amen — i odwrócił się do ściany.

2

Teraz było już po wszystkim. Rubaszow wiedział, że przed północą przestanie istnieć. Przechadzał się po celi, do której wrócił po tumulcie rozprawy; sześć i pół kroku do okna, sześć i pół kroku z powrotem. Kiedy się zatrzymywał na trzecim czarnym flizie od okna nasłuchując, z bielonych ścian, jak gdyby z głębi studni wychodziła mu naprzeciw cisza. Ciągłe jeszcze nie pojmował, skąd się brał ten spokój, zewnętrzny i wewnętrzny. Wiedział jednak, że teraz już nic nie jest w stanie go zamącić.

Cofając się myślą wstecz, pamiętał nawet, kiedy nawiedziło go to błogosławione ukojenie. Stało się to w czasie rozprawy, zanim zaczął swoje ostatnie słowo. Był przekonany, że wypalił ze świadomości ostatnie resztki egotyzmu i próżności, ale w tej chwili, w której jego oczy przepatrywały twarze publiczności

i napotykały tylko obojętność i szyderstwo, w tej chwili przeniknęło go po raz ostatni pragnienie odrobiny litości; drżąc z zimna, chciał się rozgrzać własnymi słowami. Targnęła nim pokusa, by mówić o swojej przeszłości, by choć raz się zbuntować i potargać sieć, w którą go usidlili Iwanow i Gletkin, by jak Danton rzucić swoim oskarżycielom w twarz: „Położyliście ręce na całym moim życiu. Niechże ono teraz wstanie i wyzwie was...”. Oh, jak dobrze pamiętał mowę Dantona przed trybunałem rewolucyjnym. Mógłby ją powtórzyć słowo w słowo. Nauczył się jej na pamięć jako chłopiec: „Chcicie Republikę udusić we krwi. Jak długo jeszcze każdy krok ku wolności będzie kamieniem grobowym? Podniosła się tyrania; zdarła zasłonę z głowy, podniosła wysoko czoło, stąpa po naszych trupach”.

Te słowa paliły mu język. Ale pokusa trwała tylko chwilę; potem, kiedy zaczął swoje ostatnie przemówienie, zamknął się nad nim dzwon ciszy. Zrozumiał, że jest już za późno.

Za późno, by wrócić tą samą drogą, za późno, by wejść z powrotem w groby własnych kroków. Słowa nie zmienia niczego.

Za późno dla nich wszystkich. Kiedy przyszła godzina ich ostatniego wystąpienia przed światem, żaden z nich nie był już w stanie przemienić ławy oskarżonych w trybunę, żaden z nich nie mógł odsłonić przed światem prawdy i jak Danton odrzucić oskarżenia z powrotem w twarz sędziów.

Niektórzy zaniemówili z fizycznego strachu, jak Zajęcza Warga; niektórzy łudzili się, że uratują głowy; inni znowu, że żony i synów wyrwą ze szponów Gletkina i jemu podobnych. Najlepsi milczeli, by w ten sposób oddać Partii ostatnią przysługę, idąc na ścieżkę jak kozły ofiarne — a zresztą nawet najlepsi z nich mieli jakąś Arłową na sumieniu. Zbyt głęboko wikłali się we własną przeszłość, w sieć, którą sami uprzedli, zgodnie z prawami własnej zawiłej etyki i zawiłej logiki; wszyscy byli winni; choć nie tych czynów, o które sami się obwiniali. Nie było dla nich drogi powrotu. Zejście ze sceny odbywało się ściśle według reguł ich dziwnej gry. Publiczność nie oczekiwała od nich łabędzich pieśni. Musieli działać zgodnie ze skryptem reżyserskim, a według niego przypadła im rola wilków wyjących wśród nocy...

A teraz wszystko przeszło. Teraz nie ma on już nic wspólnego z tym wszystkim. Nie musi już wyc wraz z wilkami. Zapłacił, wyrównał rachunki. Jest człowiekiem, który rozstał się z własnym cieniem, uwolnił się od wszystkich więzów. Wycią-

gnął z każdej myśli ostateczną konkluzję i zgodnie z tym postępował aż do końca; godziny, które mu jeszcze zostały, są własnością owego milczącego partnera, którego domena zaczyna się właśnie tam, gdzie kończy się logiczne rozumowanie. Ze wstydlivością, którą Partia wpaja w swoich uczniów wobec pierwszej osoby liczby pojedynczej, nazwał go — „fikcją gramatyczną”.

Zatrzymał się przed ścianą, która go dzieliła od Nr 406. Od czasu, gdy zabrano z niej Rip van Winkla, cela była pusta. Zdjął binokle, obejrzał się ukradkiem i wystukał:

2—5; 1—1...

Słuchał z dziecinnym zawstydzeniem i znowu wystukał:

2—5; 1—1...

Nasłuchiwał i znów powtórzył tę samą serię znaków. Ściana milczała. Nigdy jeszcze świadomie nie wystukał słowa „ja”. Prawdopodobnie nigdy nie zrobił tego w ogóle. Słuchał. Stukanie zamarło bez echa.

Znowu podjął wędrówkę po celi. Od chwili, kiedy przykrył go dzwon ciszy, zastanawiał się nad pewnymi sprawami, które pragnąłby rozwiązać, nim będzie za późno. Były to sprawy dość naiwne; dotyczyły sensu cierpienia, albo ściślej mówiąc, różnicy między cierpieniem, które ma sens a cierpieniem bez sensu. Oczywiście tylko takie cierpienie ma sens, którego nie można uniknąć; to znaczy to, które wyrasta z konieczności biologicznej. Z drugiej zaś strony każde cierpienie pochodzenia społecznego jest przypadkowe, a więc bezcelowe i bezsensowne. Jedynym celem Rewolucji było usunięcie bezsensownego cierpienia. Okazało się jednak, że zniesienie tego drugiego rodzaju cierpienia jest możliwe jedynie za cenę chwilowego, olbrzymiego wzrostu ogólnej sumy pierwszego rodzaju cierpienia. Powstaje więc pytanie: czy taki zabieg jest usprawiedliwiony? Niewątpliwie tak, jeśli mowa o „ludzkości” w sensie oderwanym; ale w odniesieniu do „człowieka” w liczbie pojedynczej, do cyfr 2—5, 1—1, do prawdziwej ludzkiej istoty z krwi i kości, zasada ta jest absurdalna.

Jako chłopiec wierzył, że pracując dla Partii znajdzie odpowiedź na wszystkie pytania tego rodzaju. Jego praca trwała czterdzieści lat i zaraz na początku zapomniał o pytaniu, w imię którego ją rozpoczął. Teraz, kiedy minęły te cztery dziesiątki lat, nawrócił do bezradności chłopięctwa. Partia wzięła wszystko, co tylko jej mógł ofiarować, i nigdy nie dała mu odpowiedzi. Ale nie dał jej także ów milczący partner, którego tajemnicze imię wystukał na ścianie pustej celi. Był głuchy na pytania stawiane wprost, jakkolwiek by one były gwałtowne i rozpaczliwe.

A jednak można się z nim porozumieć. Czasem odpowiada nieoczekiwanie na jakąś melodię albo choćby wspomnienie melodii, albo na wspomnienie złożonych rąk „Piety”, albo na wspomnienie pewnych scen z dzieciństwa. Jak, gdy się uderza w kamerton, w odpowiedzi zaczynają się rozchodzić fale, tak gdy się raz zacznie, przychodzi stan, który mistycy nazywają „ekstazą” a święci „kontemplacją”; najwięksi i najbardziej trzeźwi z nowoczesnych psychologów rozpoznali ten stan jako rzeczywistość istniejący i nazwali go „stanem oceanicznym”. I w rzeczy samej, osobowość człowieka rozplywa się wtedy niby ziarno soli w morzu; a jednocześnie wydaje się, że całe nieskończenie wielkie morze zamyka się w owym ziarnku soli. Ziarna tego nie można już umiejscowić w czasie i przestrzeni. Jest to stan, w którym myśl zatracza wszelki kierunek i zaczyna krążyć, jak igła magnetyczna w pobliżu koła magnetycznego, aż wreszcie odrywa się od podstawy i porusza się swobodnie w przestrzeni, jak snop światła w nocy; aż dochodzi się do tego, że wszelka myśl i wszelkie uczucie, nawet sam ból i sama radość są tylko liniami spektralnymi jednego i tego samego promienia światła, rozszczepionego przez pryzmat świadomości.

Rubaszow wędrował po celi. Za dawnych czasów byłby sobie wstydliwie zabronił tego dziecinnego rozmyślenia. Teraz się nie wstydził. W obliczu śmierci metafizyka staje się rzeczą realną.

Zatrzymał się przy oknie i oparł czoło o szybę. Nad wieżą z karabinem maszynowym widać było skrawek błękitu. Był błady i przypominał ową szczególną niebieskość, którą widywał nad sobą, gdy jako chłopiec leżał w trawie ojcowskiego parku, przyglądając się jak gałęzie topoli poruszały się zwolna na tle nieba. Widocznie nawet skrawek niebieskiego nieba wystarczy, by wywołać „stan oceaniczny”. Czytał o tym, że według ostatnich odkryć z dziedziny astrofizyki obszar świata jest skończony — chociaż przestrzeń nie ma granic, jest tylko samoograniczona, jak powierzchnia kuli. Nigdy nie potrafił tego pojąć, a teraz czuł gwałtowną potrzebę zrozumienia tego. Teraz także przypomniał sobie, gdzie o tym czytał: w czasie pierwszego aresztowania w Niemczech towarzysze przemycili mu do celi arkusz nielegalnego pisma partyjnego; na górze trzy szpalty mówiły o strajku w jakiejś przędzalni; u dołu jednej ze szpalt, dla wypełnienia dziury, była małutkimi literami wydrukowana wiadomość o odkryciu, że świat jest skończony, ale urywała się w połowie, bo brakowało kawałka strony. Nigdy nie wykrył, co było w owej oddartej części.

Rubaszow stał przy oknie i stukał binoklami w pustą ścianę.

Jako chłopiec miał rzeczywiście zamiar studiować astronomię i oto przez czterdzieści lat robił co innego. Dlaczego prokurator nie zapytał go: „Oskarżony Rubaszow, co z nieskończonością?”. Nie potrafiłby dać odpowiedzi i w tym, właśnie w tym tkwi właściwy załęczek jego winy... Czy mogła być większa?

Gdy przeczytał tę notatkę w gazecie, tak samo samotny w celi, ze stawami jeszcze obolałymi po ostatnich torturach, wpadł w dziwną ekstazę — porwał go „stan oceaniczny”. Potem się tego wstydził. Partia karci takie stany. Nazywa je mistyką drobnomieszczańską, ucieczką do wieży z kości słoniowej. Nazywa je „ucieczką od zadania”, „dezercją z walki klas”. „Stan oceaniczny” jest kontrrewolucyjny.

Bo prowadząc walkę, trzeba stać mocno na ziemi obiema nogami. Partia uczy człowieka, jak się to robi. Nieskończoność jest ilością politycznie podejrzaną, „ja” jest podejrzaną jakością. Partia nie uznaje ich istnienia. Indywiduum określa się jako tłum milionowy, dzielony przez milion.

Partia odmawia jednostce wolnej woli — a jednocześnie domaga się jej dobrowolnego samopoświęcenia. Odmawia jej zdolności wyboru między dwiema możliwościami — a jednocześnie domaga się, by ciągle wybierała możliwość jedynie słuszną. Odmawia jej zdolności odróżnienia dobrego od złego — a jednocześnie mówi pompacyjnie o winie i zdradzie. Jednostka, według niej, jest naznaczona fatalizmem ekonomicznym, jest kółkiem mechanizmu nakręconego na całą wieczność, mechanizmu, którego nie można zatrzymać i na który nie można wpływać — a Partia wymaga, by to kółko zbuntowało się przeciwko mechanizmowi i zmieniło jego bieg. Gdzieś w tym obliczeniu tkwi błąd; równanie się nie zgadza.

Przez czterdzieści lat walczył z fatalizmem ekonomicznym. Jest to ośrodkowa choroba ludzkości, rak, który zżera jej wnętrze. To właśnie trzeba zoperować; potem reszta organizmu ozdrowieje. Wszystko inne to dyletantyzm, romantyzm, szarlatanstwo. Nie można człowieka śmiertelnie chorego uzdrowić nabożnymi zaklęciami. Jedyne wyjście jest skalpel chirurga i zimne obliczenie. Ale gdzie tylko przyłożono skalpel, pojawia się nowy wrzód na miejscu dawnego. I znowu równanie się nie zgadzało.

Przez czterdzieści lat żył ściśle według ślubów swego zakonu, Partii. Trzymał się zasad logicznego rozumowania. Kwasm rozumu wypalił ze świadomości resztki starej, nielogicznej moralności. Odwrócił się od kuszeń milczącego partnera, z całej siły walczył przeciwko „stanowi oceanicznemu” i dokąd go to

zawiodło? Drogi nieskalanej prawdy doprowadziły do mety zupełnego absurdu; nieodparte dedukcje Iwanowa i Gletkina zaprowadziły go prosto na niepojęte, upiorne widowisko rozprawy publicznej. Może człowiekowi nie przystoi domyślać każdej myśli do logicznej konkluzji.

Rubaszow wpatrywał się przez kraty okna w skrawek niebieskości nad wieżą z karabinem maszynowym. Gdy spoglądał na swoją przeszłość, zdawało mu się, że przez czterdzieści lat biegł niewstrzymanie jak opętany amokiem: szalem-amokiem czystego rozumu. Może nie przystoi człowiekowi wyzwalać się całkowicie ze starych więzów, z hamulców wszystkich „Nie będziesz” i „Nie uczynisz”, może nie wolno mu biec prosto do celu.

Niebieskość zaczynała lekko różowieć, zapadał zmierzch, dookoła wieży krążyła chmura czarnych ptaków, uderzając powoli i miarowo skrzydłami. Nie, równanie się nie zgadza. To wyraźnie nie wystarcza, skierować oczy człowieka na jakiś cel i dać mu nóż do ręki; nie przystoi mu eksperymentować nożem. Może kiedyś, później. Na razie jest jeszcze zbyt młody i zbyt nieporadny. Jak szalał na owym wielkim polu doświadczalnym, w ojczyźnie Rewolucji, w Bastionie Wolności! Gletkin usprawiedliwia wszystko, co się dzieje, zasadą, że należy utrzymać bastion. Ale jak ten bastion wygląda od wewnątrz? Nie, raju nie buduje się z betonu. Bastion może się utrzymać, ale nie przyniesie światu już żadnego zwiastowania, ani nie będzie mu przykładem. Reżym, kierowany przez Nr 1, zszargał ideał Państwa Socjalistycznego tak samo, jak papieże średniowiecza zszargali ideał Cesarstwa Chrześcijańskiego. Flaga Rewolucji jest opuszczona do połowy masztu.

Rubaszow przechadzał się po celi. Było cicho i prawie ciemno. Niedługo przyjdą po niego. Gdzieś tkwi błąd w równaniu — nawet w całym matematycznym sposobie myślenia. Podejrzał to już dawno, od czasu sprawy Ryszarda i Piety, ale nigdy nie miał odwagi przyznać tego przed samym sobą. Może Rewolucja przyszła za wcześnie, może był to płód poroniony, o potwornych, wynaturzonych kształtach. Może wszystko zostało źle obliczone w czasie. Cywilizacja rzymska wydawała się już w pierwszym wieku przed Chrystusem także skazana na zagładę; wydawała się tak przegniła do szpiku kości, jak nasza; i wtedy najlepsi myśliciele, że nadszedł czas wielkiej przemiany; a jednak stary, sterany świat wytrzymał jeszcze dalszych pięćset lat. Historia żyje wolnym tętnem; człowiek oblicza na lata, historia na pokolenia. Może to ciągle jeszcze dopiero drugi dzień

stworzenia. Jakże by pragnął jeszcze żyć i rozbudować teorię o względnej dojrzałości mas!...

W celi było cicho. Rubaszow słyszał tylko skrzywienie własnych kroków na płytach. Sześć i pół kroku do drzwi, skąd po niego przyjdą, sześć i pół kroku do okna, za którym zapada noc. Niedługo będzie po wszystkim. Ale kiedy pyta sam siebie: za co właściwie umierasz?, nie znajduje odpowiedzi.

Błąd tkwi w samym systemie; może tkwi w założeniu, które wydawało mu się dotąd niepodlegające dyskusji, w którego imię poświęcił innych i sam stał się ofiarą: w założeniu, że cel uświęca środki. Właśnie to zdanie zabiło wielkie braterstwo Rewolucji i spowodowało, że wszyscy popadli w obłąd. Cóż to zapisał w dzienniku? „Wyrzuciliśmy za burtę wszelkie konwencje, jedyną naszą zasadą przewodnią jest konsekwentna logika; płyniemy bez balastu etycznego”.

Może w tym jest źródło zła? Może nie przystoi ludzkości płynąć bez balastu. Może sam rozsądek jest niedoskonałym kompasem, prowadzącym po tak krętym, zawiłym kursie, że cel traci się w końcu we mgle.

Może nastąpi teraz okres wielkiej ciemności.

Może później, o wiele później, podniesie się nowy ruch — uwieńczony nowymi sztandarami, przeniknięty nowym duchem, który będzie rozumiał obie rzeczy: ekonomiczną konieczność i „stan oceaniczny”. Może członkowie nowej partii będą nosili mnisie kaptury i głosili, że tylko czystość środków usprawiedliwia cel. Może będą nauczali, że doktryna mówiąca: człowiek to milion podzielony przez milion jest fałszywa i wprowadzą nowy rodzaj arytmetyki, oparty na mnożeniu: na połączeniu miliona jednostek, by stworzyć nową całość, która nie będzie już bezkształtną masą; która rozwinie własną świadomość i własną osobowość, wraz z „uczuciem oceanicznym”, milionkroć wzmożonym w nieskończonej a jednak samoograniczonej przestrzeni.

Rubaszow przerwał swoją przechadzkę i nasłuchiwał. Wzdłuż korytarza biegł oddźwięk stłumionego bębnienia.

Bębnienie brzmiało, jak przywiane wiatrem z daleka; było jeszcze odległe, zbliżało się powoli. Rubaszow stał nieporuszony. Nogi, stojące na kaflach, przestały podlegać jego woli; czuł, jak powoli narasta w nich siła ciężenia całej ziemi. Nie spuszczać oczu z otworu judasza, cofnął się o trzy kroki wstecz,

pod okno. Odetchnął głęboko i zapalił papierosa. Usłyszał tykanie w murze, przy którym stała prycza:

PRYSZLI PO ZAJĘCZĄ WARGĘ. PRZESYŁA WAM POZDROWIENIA.

Ciężkość z nóg ustąpiła. Podeszedł do drzwi i zaczął szybko i rytmicznie uderzać w metal rozprostowanymi dłońmi. Podawanie wiadomości Nr 406 było teraz bezcelowe. Cela była pusta; łańcuch urywał się w tym miejscu. Bębnił i przyciskał oko do otworu judasza.

Mdłe światło elektryczne paliło się na korytarzu, jak zawsze. Widział żelazne drzwi nr 401 do nr 407, jak zwykle. Bębnienie się wzmogło, zbliżały się kroki, wolne i powłóczące, było je wyraźnie słychać na flizach. Nagle Zajęcza Warga znalazł się w polu widzenia judasza. Stał jak zawsze, z drżącymi ustami, jak wtedy w świetle reflektora, w pokoju Gletkina; ręce skute w kajdanki, zwisały mu za plecami w dziwnie wykręconej pozycji. Nie mógł widzieć oka Rubaszowa za judaszem i wpatrywał się w drzwi ślepyimi, szukającymi źrenicami, jakby tam leżała ostatnia nadzieja ratunku. Potem rozległ się rozkaz i Zajęcza Warga posłusznie obrócił się i ruszył dalej. Za nim szedł umundurowany olbrzym z rewolwerem u pasa. Jeden po drugim zniknęli z pola widzenia Rubaszowa.

Bębnienie zamarło; znowu zapanowała cisza. Od ściany nad pryczą rozległo się stukanie:

DOBRCZE SIĘ TRZYMAŁ...

Od dnia, w którym Rubaszow powiedział Nr 402 o swojej kapitulacji, nie rozmawiali więcej ze sobą. Nr 402 ciągnął dalej:

ZOSTAJE WAM JESZCZE OKOŁO DZIESIĘCIU MINUT. JAK SIĘ CZUJECIE?

Rubaszow zrozumiał, że Nr 402 rozpoczął konwersację, by mu ułatwić czekanie. Był mu za to wdzięczny. Usiadł na pryczy i odstukał:

CHCIAŁBYM, ŻEBY JUŻ BYŁO PO WSZYSTKIM...

NIE WYWIESICIE BIAŁEJ CHORAĞWI, stukał Nr 402. **WIEMY, ŻE JESTEŚCIE BYCZY CHŁOP...** Przerwał, potem szybko powtórzył ostatnie słowa: **BYCZY CHŁOP...** Wyraźnie nie chciał dopuścić do przerwania rozmowy. **PAMIĘTACIE: „PIERSI JAK CZARY OD SZAMPANA”? HA-HA! BYCZY Z WAS CHŁOP...**

Rubaszow nasłuchiwał dźwięków, dochodzących z korytarza. Nie było nic słychać. Nr 402 zdawał się odgadywać jego myśli, bo zastukał natychmiast:

NIE NASŁUCHUJCIE. ZAWIADOMIĘ WAS ZAWCZA-

SU JAK PRZYJDA... CO BYŚCIE ZROBILI, GDYBY WAS
UŁASKAWIONO?

Rubaszow zastanowił się, Potem wystukał:

STUDIOWAŁBYM ASTRONOMIĘ.

HA-HA! wystukał Nr 402. JA MOŻE RÓWNIEŻ. LUDZIE MÓWIĄ, ŻE GWIAZDY SĄ MOŻE TAKŻE ZAMIESZKAŁE. POZWÓLCIE, ŻE DAM WAM JEDNĄ RADĘ.

PROSZĘ BARDZO — odpowiedział Rubaszow zdziwiony.

NIE BIERZCIE MI TEGO ZA ZŁE, PROSZĘ. TO TECHNICZNA SUGESTIA STAREGO ŻOŁNIERZA. WYPRÓŻNIJCIE PĘCHERZ. ZAWSZE LEPIEJ W TAKICH PRZYPADKACH. DUCH JEST SILNY, ALÉ CIAŁO MDŁE. HA-HA!

Rubaszow uśmiechnął się i posłusznie poszedł do kubła. Potem usiadł z powrotem na pryczy i wystukał:

DZIĘKUJĘ. ŚWIETNY POMYSŁ. A JAKIE SĄ WASZE WIDOKI?

Nr 402 milczał przez chwilę. Potem wystukał, trochę wolniej niż poprzednio:

JESZCZE OSIEMNAŚCIE LAT. NIECAŁE, TYLKO 6.530 DNI... Przerwał, potem dodał:

WŁAŚCIWIE ZAZDROSZCZĘ WAM. A później, po dalszej przerwie: POMYŚLCIE TYLKO — JESZCZE 6.530 NOCY BEZ KOBIETY...

Rubaszow nie odpowiedział. Potem wystukał:

PRZECIEŻ MOŻECIE CZYTAĆ, STUDIOWAĆ...

NIE MAM DO TEGO GŁOWY — odstukał Nr 402. A potem głośno i szybko: IDĄ...

Przerwał, ale po kilku sekundach dodał:

SZKODA. TAK NAM SIĘ WŁAŚNIE PRZYJEMNIE ROZMAWIAŁO...

Rubaszow wstał z pryczy. Namyslał się przez chwilę, potem wystukał:

POMOGLIŚCIE MI BARDZO. DZIĘKUJĘ.

Klucz zazgrzytał w zamku. Drzwi się rozwarły. Na zewnątrz stał olbrzym w mundurze i jakiś cywil. Cywil wywołał nazwisko Rubaszowa i wyrecytował tekst jakiegoś dokumentu. Podczas gdy mu wykręcali ręce w tył i nakładali kajdanki, usłyszał jeszcze jak Nr 402 szybko stukał:

ZAZDROSZCZĘ WAM. ZAZDROSZCZĘ WAM. BÓG Z WAMI.

Na korytarzu rozległo się znowu bębnienie. Szło za nimi aż do pokoju fryzjera. Rubaszow wiedział, że z za każdych drzwi

przez otwór judasza przypatrują mu się jakieś oczy; ale nie odwracał głowy, ani w prawo, ani w lewo. Kajdanki wpijały mu się w przeguby; olbrzym przykręcił je zbyt mocno i naciągnął mu ramiona wyłamując je w tył: bolały go teraz.

Pojawiły się schody prowadzące do podziemi. Rubaszow zwolnił kroku. Cywil zatrzymał się na górze. Był mały i miał z lekka wytrzeszczone oczy. Zapytał:

— Czy macie jakieś życzenie?

— Żadnego — odpowiedział Rubaszow i zaczął schodzić po schodach. Cywil stał wciąż na górze i patrzył na niego wytrzeszczonymi oczami.

Schody były ciasne i źle oświetlone. Rubaszow musiał uważać, by się nie potknąć, bo nie mógł się trzymać poręczy. Bębnienie ustało. Słyszał, jak umundurowany funkcjonariusz schodził trzy kroki za nim.

Schody skręcały się w spiralę. Rubaszow pochylił się w przód, by lepiej widzieć; binokle oderwały mu się od twarzy i spadły dwa kroki przed nim; stłukły się, odbiły i spadły niżej, zatrzymując się na ostatnim stopniu. Rubaszow przystanął, wahając się chwilę, potem zaczął schodzić dalej po omacku. Słyszał, że umundurowany funkcjonariusz schylił się za nim i wsadził stłuczone binokle do kieszeni. Ciągle nie odwracał głowy.

Był teraz prawie ślepy, ale znowu miał pod nogami stały grunt. Otworzył się przed nim długi korytarz; ściany były zamazane i nie widział końca. Człowiek w mundurze trzymał się wciąż trzy kroki za nim. Rubaszow czuł jego wzrok na swoim karku, ale nie odwracał głowy. Ostrożnie stawiał nogę przed nogą.

Zdawało mu się, że idą tym korytarzem już kilka minut. Wciąż jeszcze nic się nie działo. Prawdopodobnie usłyszy, jak człowiek w mundurze wyciągnie rewolwer z kabury. Tak długo ma więc czas, ciągle jeszcze jest bezpieczny. Czy też może ten człowiek idący za nim postępuje jak dentysta, który chowa instrumenty w rękawie, gdy się nachyla nad pacjentem? Rubaszow starał się myśleć o czymś innym, ale musiał całą uwagę skupić na tym, by nie odwrócić głowy.

Dziwne, że ból zęba ustał z chwilą, kiedy podczas rozprawy zamknęła się nad nim owa błogosławiona cisza. Może wtedy właśnie pękł ropień. Co powiedział? „Klękam przed krajem, przed masami, przed całym narodem...”. I co z tego? Co się stanie z tymi masami, z tym narodem? Gnano go przez czterdzieści lat przez pustynię, groźbami i obietnicami, wyimagi-

nowanym terrorem i wymagowanymi nagrodami. A gdzie jest Ziemia Obiecana?

Czy ten cel istnieje rzeczywiście dla błąkającej się ludzkości? Na to pytanie chciałby znaleźć odpowiedź, nim będzie za późno. Mojżeszowi także nie było dane wejść do Ziemi Obiecanej. Ale pozwolono mu spojrzeć na nią, ze szczytu góry zobaczyć, jak się roztaczała u jego stóp. Umrzeć tak, mając przed oczami dotykalny cel, jest łatwo. Jego, Mikołaja Salomonowicza Rubaszowa nie zaprowadzono na szczyt góry i gdzie tylko spojrzy, nie widzi nic, prócz pustyni i mroku i nocy.

Poczuł tępe uderzenie w tył głowy. Czekał na nie od dawna, a jednak przyszło nieoczekiwanie. Czuł ze zdziwieniem, że uginają się pod nim kolana i ciało okręca się dokoła własnej osi. „Jak teatralnie”, myślał padając, „a przecież nic nie czuję”. Leżał skulony na ziemi, dotykając policzkiem zimnego kamienia. Robiło się ciemno, morze unosiło go, kołysząc na swej mrocznej powierzchni. Przepływały przez niego wspomnienia, jak pasma mgły nad wodą.

Ktoś stukał do drzwi z zewnątrz, śniło mu się, że przychodzą go aresztować; ale w jakim jest kraju?

Próbował utrafić ręką w rękaw szlafroka. Ale czyj to oleodrukowy portret wisi nad jego łóżkiem i patrzy na niego?

Czy to Nr 1, czy to ten drugi — ten z ironicznym uśmiechem i szklanym wzrokiem?

Bezkształtna postać schyliła się nad nim, poczuł zapach świeżej skóry pasa; ale jakie odznaki ma ta postać na rękawach i naramiennikach munduru — i w czyim imieniu podnosi ciemną lufę pistoletu?

Drugie, ogłuszające uderzenie trafiło go w ucho. Potem nastała cisza. Oto znowu morze ze swym poszumem. Jakaś fala unosi go powoli. Przychodzi z daleka i przepływa spokojnie. To wieczność wzrusza ramionami.

KONIEC



SPIS RZECZY

KATALOG KSIĄSEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

<i>Przedmowa</i>	7
<i>Pierwsze przestuchanie</i>	17
<i>Drugie przestuchanie</i>	82
<i>Trzecie przestuchanie</i>	130
<i>Fikcja gramatyczna</i>	183
<i>Białkowski, A.: Casu de Ora. Sólwa i opowiadania</i>	272 25,00
<i>Brodys, K.: Miodowe (1978-1979)</i>	274 25,00
<i>Brodys, K.: Tęskoty i protesty (Latajcie, dziewczynko)</i>	272 25,00
<i>Choma, A.: Złoty wózek (Piosenki)</i>	64 7,00
<i>Chojak, A.: Wzrost w Juroku</i>	140 20,00
<i>Chojaka, M.: Casu adulatory</i>	100 20,00
<i>Czapka, J.: Turanci i wódka</i>	580 45,00
<i>Czyżkowski, B.: Piosenki-pioski (Piosenki)</i>	96 10,00
<i>Czyżkowski, B. i Sali, B.: Piosenki w Wąskiej stryżni</i>	101 20,00
<i>Czuchowski, A.: Wiek piły (Piosenki)</i>	96 25,00
<i>Dawidowicz-Białucha, M.: Bibliografia. Książki (1959-1978), Leczyki Międzyzemskie (1962-1978), Dziadziaki wydawnictwa (1959-1978)</i>	413 25,00
<i>Dawidowicz-Białucha, M.: Bibliografia. Książki (1975-1980), Leczyki Międzyzemskie (1975-1980), Dziadziaki Wydziału na (1975-1980)</i>	310 25,00
<i>Dawidowicz-Białucha, M.: Wypowiedzi i Słuchanie Nowości w Farmacie</i>	70 15,00
<i>Dobek, G.: Długość życia i inne opowiadania</i>	252 25,00
<i>Gołaszki, M.: Tęskoty dziewczynki</i>	72 20,00
<i>Górniewicz, W.: „Dobry Książka” z J. Forysińskim</i>	200 20,00

SPIS RZECZY

7	Przedmowa
17	Pierwsze przesłuchanie
82	Drugie przesłuchanie
130	Trzecie przesłuchanie
183	Bieżąca gramatyka

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

Czerwiec 1983

	Stron	F.
Arżak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka (Poezje)</i>	64	9,00
Bierezin, J.: <i>W a m (Poezje)</i>	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro. Szkice i opowiadania</i>	272	20,00
Brandys, K.: <i>Miesiące (1978-1979)</i>	256	75,00
Bronski, M.: <i>Teksty i preteksty (eseje literackie)</i>	272	75,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne (Poezje)</i>	64	7,00
Checiuk, A.: <i>Wisyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point (Poezje)</i>	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty (Poezje)</i>	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia (Kultura 1958-1973), Zeszyty Historyczne (1962-1973), Działalność wydawnicza (1959-1973)</i>	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura (1973-1980), Zeszyty Historyczne (1973-1980), Działalność Wydawni- cza (1973-1980)</i>	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i>	72	20,00
Gombrowicz, W.: „ <i>Dzieła Zebrane</i> ” t. I, <i>Ferdydurke</i>	296	55,00

Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. III, <i>Pornografia</i>	168	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „ <i>V a r i a</i> ”	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia polskie. — Wędrówki po Argentynie</i>	256	50,00
G ł o s („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guilley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Haupt, Z.: <i>Pierścien z papieru</i>	245	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą (1973-1979)</i> , t. II	368	75,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas (Poezje)</i>	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść? (Seria „Dokumenty”)</i>	80	25,00
Januszkiewicz, Maria: <i>Kazachstan</i>	200	55,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”)</i> ..	176	10,00
Jeleński, K. A.: <i>Zbiegi okoliczności</i>	424	120,00
Karpiński, W.: <i>Amerykańskie cienie</i>	192	65,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb (1943)</i>	223	8,00
Kisielewski, St.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i>	208	70,00
Korybutowicz, Z.: <i>Grudzień 1970</i>	160	55,00
Koszeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1968 (Seria „Dokumenty”)</i> ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirydz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: <i>„Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury</i> ..	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie roślinie (Wiersze). (Seria „Bez Cenzury”)</i>	104	25,00
Kuźmirek, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Lipaki, L.: <i>Piotrus</i>	80	7,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury (Seria „Bez Cenzury”)</i>	208	30,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i> ..	104	25,00

	Stron	F.
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)	196	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11) ..	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 6) ..	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Świadectwo poezji</i>	96	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 9)	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)	160	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 3) ..	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Mrożek, Sł.: <i>Vatlav. — Ambasador</i> (dwie sztuki sceniczne)	124	40,00
Nowakowski, M.: <i>Raport o stanie wojennym</i>	100	35,00
Nowakowski, M.: <i>Raport o stanie wojennym II</i>	96	40,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Orłóś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
PPN — <i>Polskie Porozumienie Niepodległościowe</i>	160	35,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”) ..	288	18,50
Rekulski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
Seherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Stawka</i>	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i>	300	20,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00

Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	65,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)	524	24,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. I/III	1324	99,00
Włoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszyński, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Zagajewski, A.: <i>List — Oda do wielości</i>	96	35,00
Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939</i> , t. I i II, str. 238 i 342	670	170,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie. Każdy <i>Zeszyt</i> liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57 są wyczerpane. Ukazał się <i>Zeszyt</i> 64 (maj 1983). Cena pojedynczego <i>Zeszytu</i>		60,00

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %. We Francji liczymy efektywne koszty porta (taryfa znacznie wyższa niż za granicę).

Prenumerata **KULTURY** na rok 1983:

rocznie — F. 340,00; półrocznie — F. 175,00.

Prenumerata **ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH** na rok 1983:

rocznie — F. 240,00 (pojedynczy *Zeszyt* — F. 60,00

(dla prenumeratorów **KULTURY** — F. 220,00).

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 10 JUIN 1983
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 2^e trim. 1983.

Odkwaszone

24-09-2003

.....

21-190,-

Just. di #
Maisons-Laffitte

F 70